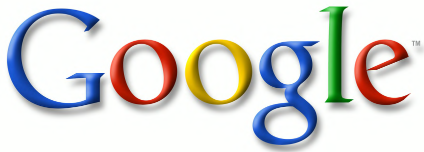

Google

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		**Z przesyłką pocztową:**	
Rocznie . (52 tomy).	rs. 10	Rocznie. . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25. kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . .	rs. 6 kop.	—
Półrocznie. (za 26 tomów). . . .	„ 3 „	—
Kwartalnie (za 13 tomów). . .	„ 1 „	50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

Wszyscy prenumeratorzy otrzymują Literaturę P. Chmielowskiego w miejsce zwyczajnego tomu, bez żadnej dopłaty.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670, we Lwowie, Plac Mariacki l. 4.

D ... y-Świat 47

Dla prenumeratorów

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH.

HISTORYA

Literatury Polskiej

Piotra Chmielowskiego

z przedmową

Bronisława Chlebowskiego.

(Z ilustracyami).



TOM V.

Cena 2 rs.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya

47. Nowy-Świat 47.

1900.

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ.

Piotr Chmielowski.

HISTORYA
Literatury Polskiej.

Z przedmową

Bronisława Chlebowskiego.

(Z ILUSTRACYAMI).

Tom V.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Апрѣля 1900 г.

OKRES III.

(1831 do 1850).

Część druga. Literatura w kraju.

Warunki rozwoju literatury w kraju były bardzo niepomyślne. Zniszczenie materyalne po klęskach r. 1831 dawało się ciężko odczuwać na wielkiej ziem przestrzeni. Brak rozumnego gospodarstwa rolnego nie pozwalał szybko zacierać śladów zubożenia. Naśladowców Andrzeja Zamojskiego (1800 † 1874), działającego w tym kierunku, było niewielu. Rozwijający się poprzednio, wobec poparcia ministra Lubeckiego, przemysł, teraz ledwie dyszał, mało znajdując takich przedsiębiorczych mężów, jak Piotr Steinkeller († 1854). Ogniska wyższej oświaty—uniwersytety, licea, Towarzystwa naukowe—zostały pogaszone w Warszawie, Wilnie, Krzemieńcu; na ich miejscu założony uniwersytet w Kijowie r. 1834 nie mógł mieć z powodu zasadniczej swej cechy tego znaczenia, co tamte. We Lwowie istniał wprawdzie uniwersytet, ale całkiem niemiecki, z lichym wykładem języka i literatury polskiej, prowadzonym w dalszym ciągu przez *Mikołaja Michalewicza* (1790 † 1846), redaktora „Gazety Lwowskiej“ od r. 1827 do 1834. W W. Ks. Poznańskiem napróżno dopominano się o zaprowadzenie wszechni-

cy. Na całym tedy obszarze dawnej Polski jedynie w Krakowie, stolicy miniaturowej rzeczypospolitej, istniała instytucya naukowa wyższa z wykładem polskim, ale oprócz kilku pracowitych lub utalentowanych profesorów, nie stała ona na wysokości owoczesnej wiedzy, a prócz tego dostęp do niej z innych dzielnic był utrudniony wielce.

Skutkiem takiego stanu rzeczy ogólny poziom oświaty obniżał się, badania gruntowne, nie mając ani zachęty, ani pomocy, zanikały; szerzyła się natomiast albo płytkość i powierzchowność, albo też zupełna zależność od wiedzy obcej, mianowicie niemieckiej. Te nieliczne jednostki, co miały możność i chęć wyjazdu do uniwersytetów niemieckich, traciły wiele ze swego rodzimego charakteru, przyzwyczajały się myśleć, mówić i pisać z cudzoziemska. Zjawiały się oczywiście i pomiędzy niemi talenty, które przemógłszy trudności obcej mowy i otrząsnąwszy się przynajmniej częściowo z wpływu niemieckiego, zajaśniały w literaturze, mianowicie filozoficznej, ale nie mogły naturalnie w oddziaływaniu na oświatę ogólną zastąpić całej masy ludzi wykształconych, choćby mierniejszej zdolności. Ci, co wyjeżdżali do uniwersytetów w Moskwie i Petersburgu, mieli przeważnie cel praktyczny na oku, pragnęli się kształcić, by otrzymać posady w sądownictwie, administracyi, nauczycielstwie. Działali oni bardzo pożytecznie w swoich zawodach, lecz nauki nie wzbogacili. Ci, co w Dorpacie słuchali wykładów, byli to po większej części paniczykowie lub bursze. Uniwersytet kijowski dopiero pod koniec tego okresu zaczął gromadzić większą liczbę studentów Polaków i stawać się w pewnej mierze dźwignią ruchu umysłowego.

Koszta, połączone z wyjazdem w dalsze strony, utrudnienia paszportowe, nie pozwalały szukać wyższego światła i poświęcać się nauce wielu z tych, co czuli w sobie ku temu skłonność. Przedstawicielami nauki w kraju byli ci tylko, co swe studya uni-

wersyteckie ukończyli przed rokiem 1831; nowych, rzetelnie zdolnych sił w tej dziedzinie przybywało nadzwyczaj mało.

Nizki poziom naukowości musiał ujemnie oddziaływać i na twórczość poetycką. Brak rozległych i głębokich pomysłów daje się widzieć we wszystkich ówczesnych poezyach. Są pomiędzy niemi rzeczy piękne pod względem artystycznego obrobienia, lecz niema żadnego, któryby mógł iść w porównanie z celniejszemi dziełami Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, ogłoszonych po r. 1831. Nawet wpływ tych dzieł był w tym okresie nie wielki. Z Mickiewicza czytano głównie to, co wydał przed r. 1831; tem się tłomaczy obfitość ballad i poematów fantastyczno-ludowych w poezyi krajowej wówczas, gdy na wychodztwie żywioły te zupełnie zostały zaniechane. Najznakomitszym pisarzom naszym w kraju przez lat kilka po swojem wyjściu nawet „Pan Tadeusz" całkiem był nieznany; a gdy go poznali, nie umieli jego wartości należycie ocenić. Z poematów Słowackiego i Krasińskiego drobna tylko cząstka i to nie najlepsza, rozpowszechniała się wśród młodzieży; dla starszych cokolwiek przedstawiały się one jako niezrozumiałe dziwactwa. Natomiast usiłowano uwydatnić pierwiastek rodzimy, ludowy, częstokroć w związku z ogólno-słowiańskim.

Kierunek demokratyczny i wolnomyślny przemagał i tu także; wszyscy znakomitsi poeci i powieściopisarze w jego duchu pisali; a lubo znaleźli się i przedstawiciele zachowawczości, a nawet wstecznictwa, połączonego z ideami arystokratycznemi i klerykalnemi, przedstawiciele niepospolitego talentu, daleko większego, aniżeli bojownicy tych zasad na wychodztwie; to wpływu silniejszego wywrzeć nie zdołali. Oczywiście mieli oni swoich stronników wśród klasy zamożnej, lecz stronnicy ci w owej dobie objawiali swe sympatye po cichu tylko, gdy tymczasem demokraci wyjawiali swe opinie głośno, chociaż ich

dokładnie i wyraźnie sformułować nie mogli z powodu przeszkód zewnętrznych.

Wszyscy demokraci pragnęli uwłaszczenia włościan, gdy najbardziej postępowi zachowawcy dążyli tylko do oczynszowania (Andrzej Zamojski, Aleksander Wielopolski i inni). Wszyscy demokraci byli wolnomyślni mniej lub więcej, ale zawsze na tle chrześcijańskiem, walcząc przeciw uroszczeniom hierarchii, wykazując szkodliwy wpływ jezuitów w przeszłości i teraźniejszości, domagając się swobody badania prawd najważniejszych dla człowieka;—zachowawcy zaś dowodzili słabości rozumu ludzkiego i kazali się korzyć przed nauką kościoła, bronili powagi duchowieństwa, drwili z „filozofii niezależnej“, „bezwzględnej”. Demokraci poddawali przeszłość krytyce, mianowicie zaś działalność szlachty; zachowawcy chcieli zapewnić „tradycyi” nienaruszalną świętość. Demokraci domagali się wyższego wykształcenia kobiet, większej dla nich swobody towarzyskiej i zniesienia niektórych praw, krępujących je pod względem prawnym; zachowawcy dowodzili, że dążność taka jest zabójczą dla rodziny, jest poniżeniem kobiety.

Poezya prawie wyłącznie miała barwę demokratyczną, niekiedy bardzo nawet jaskrawą; powieściopisarstwo, rozwinięte nader szeroko, choć nie odznaczające się psychologiczną głębią, o ile dotykało kwestyi włościańskiej, przeważnie zajmowało stanowisko postępowe i jeżeli nie mówiło wprost o konieczności uwłaszczenia, to upomiuało się przynajmniej o ludzkie, humanitarne postępowanie z chłopami; czasopiśmiennictwo postępowe i liczbą i wpływem górowało stanowczo nad zachowawczem. Prawdą jest, że cały ten ruch demokratyczny nie może się pochlubić jakimiś widocznymi a wielkimi wynikami; ale kto z tego stanowiska poddaje go krytyce, ten zapomina, jak powolną drogę przechodzą wszystkie ulepszenia, jak trudno jest wzruszyć masy, nawet in-

teligentne, z nałogów wiekowych. Prócz tego, wśród samych rozpowszechnicieli idei demokratycznych nie było spójności w działaniu; z powodu drobnych różnic w sposobie pojmowania pewnych zagadnień lub też metod rozwiązania tych zagadnień rozpraszali się na kółka, i choć mieli cel wspólny, nie pomagali sobie wzajem, czasami nawet gwałtownemi między sobą polemikami szkodzili samej sprawie. Pod względem filozoficznym, pod względem walki o „prawo" swobodnego badania, dokonano najmniej, bo choć posiadaliśmy znakomitych myślicieli, za mało mieliśmy umysłów dostatecznie przygotowanych, by pomysły tych myślicieli należycie zrozumieć, ocenić i dalej rozwijać mogły. Zachwycano się pismami „ojca Bronisława" (Trentowskiego), wielbiono Libelta i Cieszkowskiego, ale nie zdobyto się nawet na dokładne popularne przedstawienie ich teoryj. Nie tylko ogół „inteligentny", lecz nawet znaczna liczba piszących nie znała z nich wiele więcej, nad tytuły dzieł, ogłoszonych przez nich, i kilku czy kilkunastu myśli stamtąd wyrwanych. Płytkość i powierzchowność w pojmowaniu i przyswajaniu pomysłów filozoficznych najdobitniej uczuwać się daje. Mieliśmy gorących entuzyastów, dających się porwać każdej myśli szlachetnej, lub każdej nowości, lecz nie było wytrwałych i gruntownych pracowników, którzyby długo nad pewnem zagadnieniem rozmyślać potrafili i dopiero dojrzałe wyniki swoich badań przedstawiali publiczności. Zdawało się im, że każdą myśl, która się im narazie piękną i szlachetną wydała, powinni byli wygłosić natychmiast, idąc za pierwszym popędem, poczytywanym powszechnie za najlepszy.

Ruch demokratyczny w kraju był odbiciem takiegoż ruchu na emigracyi, skąd czerpał swoje hasła. Wielu prawdziwych poświęceń, wielu przykładów wzniosłej cnoty stał się on rodzicielem; choć mimowoli sprowadził też i klęsk wiele. Byłoby niesprawiedliwością potępiać go za te klęski. Zamiary były

najwznioślejsze; przyczyny skrzywienia ich w wykonaniu tkwiły w postronnych, zewnętrznych wpływach. Ażeby psychologię ówczesnych demokratów w kraju zrozumieć, nie dosyć mieć na pamięci dążność zasadniczą—wyzwolenie ludu z więzów poddaństwa lub pańszczyzny, dla wyższego jeszcze celu—ale i okropnie duszną atmosferę, w jakiej żyli.

Działanie poezyi Mickiewicza i wielkich mistrzów obcych na serca młode, zapalne, na wyobraźnie żywe, na umysły dzielne ładnie wyraził Tadeusz Łada Zabłocki, pisząc na Kaukazie te heksametry, naśladowane z powieści Wajdeloty w Konradzie Wallenrodzie:

W duszy wrzącej młodzieńca, niby w ogromnej pracowni,
Wszystkie myśli i mary wnet wyrabiały się w kształty
Nowe, jasne i dziwne, pełne harmonii niebios,
Gwiazdą prawdy olśnione, słońcem wiary ogrzane.
I świat się przed nim rozjaśnił i step żywota rozkwitnął,
Wkoło spółczucie zadrżało, wszędzie rozległy się dźwięki,
Potok w pustyni zaśpiewał, zimna skała westchnęła
I gaj samotny przemówił słodkim, pojętnym językiem...
Z duszą pełną miłości, z zaczarowanem pojęciem,
Kij ująwszy pielgrzymi, w świat się puścił młodzieniec...
(Poezye T. Ł. Zabłockiego. Petersburg, 1845, str. 212).

Lecz jakichże doznawał zawodów w tej pielgrzymce! Każdy lotniejszy, energiczniejszy młodzian, wchodzący w świat „z duszą pełną miłości, z zaczarowanem pojęciem," nieraz pytał się, jak bohater „Amerykanki w Polsce" (Petersburg, 1837): „Możeż być jaki inny okrutniejszy udział? Czuć w sobie serce rozległe, siły stworzone dla świata i mieć to serce ciśnione, dla sił mieć wrota zaparte! Stan taki, takie uczucia mógłżeby przenieść ktokolwiek? Cóż się dzieje z naczyniem, w którem płyn umieszczony burzy się i rozpiera, a otwór głucho zatkany?..."

Gorączkowa, często bardzo nierozważna działalność, chęć burzycielska z jednej strony, a hojne wydatkowanie życia nieraz na błahostki z drugiej, były

następstwem koniecznem takiego położenia. „Wszyscy wiecie to — pisał wtedy Zygmunt Krasiński — bracia moi, żeśmy się urodzili na łonie śmierci, i od kolebki oczy wasze wzwyczajone poglądać na sińce zgonu, rozciągające się po ciele europejskiego świata! Stąd ból wieczny, co toczy wam serca, stąd niepewność, co życiem waszem się stała. Idziecie, a nie wiecie dokąd, i nie modlicie się już jak za dawnych lat, jedno powtarzacie: źle nam jest... Żądza nieskończona ciągnie za sobą wieczną tęsknotę i żal nieskończony. Jak w osobniku, tak i w rodzie ludzkim zdarza się melancholia; ze zbiorowego człowieka także cieknie czasami pot krwawych udręczeń na górach oliwnych historyi."

Idea mesyaniczna była w tych udręczeniach pewną pociechą i pokrzepieniem, a myśl przyłożenia się do jej urzeczywistnienia środkami ziemskimi, silnie działała na wszystkie umysły żywe a szlachetne. Wiele poniosły one ofiar bezpłódnych; młodsze pokolenie wychowało się wśród zasad demokratycznych i częściowo doczekało się uwłaszczenia chłopów w Galicyi, a choć niebawem, po r. 1849, rozpoczęła się reakcya, choć na razie szerszych pragnień swoich ujawniać nawet nie mogło, to przecież stało się pochopniejszem do załatwienia sprawy wyzwolenia ludu na wielkiej przestrzeni kraju. Ruch demokratyczny między 1831 a 1850 był okresem przygotowawczym do tego ostatecznego dokonania społecznej części programu.

Jakiejś osobistości wybitnej, zwracającej ku sobie oczy wszystkich nie było w kraju w tym okresie; wielcy wieszczowie i filozofowie królowali z dali, a każda dzielnica w sprawach życia codziennego sama zajmowała się sobą; w miarę większej lub mniejszej łatwości w pokonywaniu przeszkód zewnętrznych, rozwijała tę lub ową stronę działalności literackiej. Nie liczbą, lecz jakością pracowników wysunęło się wtedy, po raz pierwszy i jak dotąd jedyny

na czoło literatury Wielkie Księstwo Poznańskie, gdzie też najłatwiej krążyły wydawnictwa wychodźcze; obok niego przez czas bardzo krótki zajaśniał Kraków; a dopiero w drugim rzędzie szły Galicya właściwa, Królestwo Polskie, Litwa i Ruś.

W tym też porządku rozpatrzymy przejawy życia literackiego, uwydatniając w każdej dzielnicy to, co było jej znamienną właściwością. Dodam tylko, że wszędzie dopiero około r. 1834 ukazują się wyraźniejsze przejawy ruchu wydawniczego, zaznaczone ogłoszeniem na ten rok właśnie czterech noworoczników: „Jutrzenki" w Warszawie „Znicza" w Wilnie, „Ziewonii" we Lwowie, „Marzanny" we Wrocławiu.

---

1. W. Księstwo Poznańskie. Śląsk. Prusy polskie.

I.

Ze wszystkich dzielnic dawnej Rzeczypospolitej W. Ks. Poznańskie najwcześniej się doczekało nadania chłopom własności ziemskiej, nie tylko w dobrach rządowych i instytutowych, ale i w prywatnych. „Regulacya" włościan zaczęła się tam w r. 1823 i w przeciągu dwudziestu lat została całkowicie przeprowadzoną. Odbyła się ona prawie wszędzie na drodze dobrowolnej ugody między dziedzicami a chłopami, z wielką nieraz ofiarnością szlachty [1]). Dążność do uobywatelenia ludu przejawiła się tu najskuteczniej przez zakładanie szkółek, czytelni, kółek rolniczych, przez wydawanie czasopisma w Lesznie p. t.

---

[1]) J. Michalski: „Regulacya stosunków włościan" 1845, str. 40. — Paweł Łubieński: „O uregulowaniu stosunków włościańskich w W. Ks. Poznańskiem," 1843, Lipsk.

„Szkółka niedzielna“ od 1837 do 1853, najprzód pod redakcyą księdza *Tomasza Borowicza*, potem *Ignacego Koteckiego*. Prawie równocześnie wśród Mazurów pruskich zacne duchowieństwo ewangelickie budzić zaczęło świadomość narodową. Odznaczył się pod tym względem mianowicie ksiądz *Herman Marcin Gustaw Gizewiusz* (1810 † 1848), który między innemi pracami podjął także wydawnictwo „Przyjaciela ludu łeckiego“ od czerwca 1842 r., powołując do spółpracownictwa nie tylko księży, ale i gospodarzy. Pod koniec tego okresu na Śląsku pruskim księgarz C. Schemmel zaczął wydawać w Pszczynie „Tygodnik polski dla włościan“ (1845 — 6); ksiądz *Fietzek* († 1862) w Niemieckich Piekarach koło Bytomia roku 1848—49 ogłaszał „Tygodnik Katolicki,“ jako organ Towarzystwa Maryańskiego, a ksiądz *Bernard Bogedain* († 1860) w Opolu r. 1849—50 ogłaszał „Gazetę Wiejską dla Górnego Szlązka.“ Najgorliwszym, najwytrwalszym zaś pracownikiem, uświadamiającym polskość na Ślązku pruskim był *Józef Lompa* (1797 † 1863), pedagog, powieściopisarz, dziennikarz, poeta. Były to skromne początki tego odrodzenia polskości na Ślązku, które dzisiaj już poważne wydaje następstwa.

Zaczynano tu rzeczywiście od warstw ludowych. Zacny i rozumny dr. *Karol Marcinkowski* († 1846) założył „Towarzystwo pomocy Naukowej“ r. 1841, a w ustawie cel jego określił, jako dążenie do wydobywania zdatnej młodzieży z pośród mas ludu i dopomagania jej w rozwijaniu zdolności swoich czy to w dziedzinie nauki, czy też przemysłu. Towarzystwo to, istniejące do dziś dnia, oddało i oddaje ogromne usługi sprawie oświaty, dopomagając niezamożnej młodzieży w jej osiągnięciu.

Wykształcenie średnie, gimnazyalne, znajdowało się także w pomyślnych warunkach. Szkoły owoczesne w W. Ks. Poznańskiem, w których uwzględniano język i literaturę polską, stały na wysokim

stopniu pod względem pedagogicznym i wykształciły kilku takich młodzieńców, którzy później (od r. 1862) zajęli wydatne stanowisko jako uczeni i profesorowie uniwersytetu w Warszawie. Najwyższy też stopień oświaty o tyle był dla młodzieży poznańskiej ułatwiony, że blizkie położenie Berlina, słynącego jeszcze wciąż znakomitościami, nie narażało na zbyt wielkie wydatki tych, co mieli chęć i zdolność słuchania w nim wykładów. Zamyślano też w samym Poznaniu drogą składek ufundować dwa przynajmniej wydziały uniwersyteckie: teologiczny i filologiczny, a gdy projekt ten urzeczywistnić się nie dał, postanowiono systematycznie urządzonymi odczytami brak wyższego zakładu częściowo zastąpić.

Pierwszy rozpoczął je w kwietniu 1841 r. znany nam filozof i dzielny publicysta *Karol Libelt* szeregiem wykładów „o literaturze niemieckiej" Ściągały one niezmiernie liczny, jak na stosunki miejscowe, zastęp słuchaczów. Prelegent bynajmniej się nie ograniczał ściśle ramami tematu. „Ze wzrokiem zwróconym na historyczny rozwój literatury niemieckiej, na charakterystyczne jej epoki i wybitne postaci, obejmował on swem opowiadaniem sztukę niemiecką, muzykę i malarstwo, co najważniejsza zaś, nie zapominał nigdy o podstawie, z której wychodził, o celu, do którego dążył. Obok owej literatury niemieckiej znajdowało się miejsce i dla dziejów oświaty polskiej; Nibelungi nie zajęły tak znacznego w wykładzie Libelta obszaru, aby się w nim nie była miała znaleźć wzmianka o początkach oświaty w Polsce, o pierwszym śladzie piśmiennego języka polskiego w hymnie Boga-Rodzica. Minnesengery i Meistersengery pozwoliły również nie zapomnieć tak zupełnie o Janie z Czarnolesia, czy Mikołaju Reju; Schiller i Goethe dali tem pożądańszą sposobność wspomnieć o Mickiewiczu i o rozkwicie literatury ojczystej w XIX w.; Mozart i Weber niemniejszą sposobność oddania czci Chopinowi"...

Odczyty Libelta, z tak wielkiem prowadzone powodzeniem, zachęciły innych, a przedewszystkiem jednego z najruchliwszych literatów poznańskich, JĘDRZEJA MORACZEWSKIEGO (1802 † 1855). Wykształciwszy się w uniwersytetach lipskim i berlińskim, spróbowawszy sił swoich jako rymotwórca w przekładzie Elegij Tybulla, bawił czas jakiś w Warszawie i był spółpracownikiem „Dziennika Powszechnego". W r. 1831 odbywał kampanię razem z Libeltem, poczem osiadłszy w Poznańskiem, oddał się gospodarstwu, dopóki ostatecznie nie przeniósł się do miasta i nie rozwinął bardzo ożywionej działalności. W październiku 1841 rozpoczął w pałacu Działyńskich raz na tydzień wykłady o „dziejach słowiańskich i polskich aż do końca XV wieku" z niemniejszem od Libelta uznaniem. Zbierano się licznie i słuchano ciekawie, co Moraczewski opowiadał, „czy to o Obotrytach, ginących pod żelazem Henryka Lwa, czy o państwie Morawskiem, upadajacem pod ciosami sprowadzonych przez zawiść Arnulfową Madziarów, czy o Nestorowych Drewlanach i Krywiczanach, czy o początkach rodzącej się między Wartą a Wisłą Polski." Z tych odczytów, o ile się odnosiły do naszego kraju, powstał pierwszy tom obszernie zakrojonego dzieła p. t. „Dzieje Rzeczypospolitej Polskiej." Pierwszy ten tom pod względem naukowym był słaby, nie odpowiadał ówczesnemu stanowi wiedzy (wobec istniejącego już wtedy znakomitego dzieła Roeppla o historyi naszej do r. 1300), ale następne (wszystkich jest 9) były coraz lepsze; zdołał w nich opowieść doprowadzić do końca panowania Jana Kazimierza. Nie odznaczają się „Dzieje" sztuką dziejopisarską, nie zawierają w sobie nawet umiejętnego ugrupowania faktów, a styl ich mdły i rozwlekły; ale w swoim czasie oddały wielką usługę oświacie narodowej; pisane z wielką miłością, lubo nie ukrywały wad i błędów, miały dążność szlachetną podniesienia uczuć przez wskazanie, że ideał wolności u nas wcześniej niż gdziein-

dziej, choć jednostronnie, bo tylko w zastosowaniu do szlachty, został urzeczywistniony. W ogólnym poglądzie na dzieje nasze wyznawał za Lelewelem. zasadę „gminowładztwa“ szlacheckiego. „W Moraczewskim dwóch ludzi rozróżniać należy: uczonego archeologa (wydawcę i po większej części autora encyklopedycznie obrobionych „Starożytności polskich“ w 2 dużych tomach 1842 — 52), organizatora towarzystw starożytniczych; następnie człowieka politycznego, wyznającego nibyto bardzo skrajne teorye (demokratyczne) i podzielającego wszelką dążność ludzi ruchu, przenoszącego, choć w skromnej bardzo dozie teorye te i dążności w dziedzinę zależnej od siebie publicystyki... Teorye te nie mają przecież zbyt niebezpiecznego charakteru: pozostają nieszkodliwą własnością jego wnętrza, lub co najwięcej, otaczającego i słuchającego jego pogawędek kółka. W gruncie rzeczy zaś była to skromna, pracowita, nie mająca ani potrzeb, ani namiętności, stworzona jakoby na uczonego natura, która się na pole praktycznej polityki puszczać nie umiała.“

W dalszym ciągu z jego nazwiskiem nieraz się jeszcze spotkamy, a teraz wróćmy do odczytów poznańskich. Po Moraczewskim zasiadł na katedrze znowu Libelt i wykładał „Estetykę“ Wykłady te odznaczały się „piękną i ozdobną formą“ dziwną umiejętnością popularyzowania nauki; wreszcie owem serdecznem ciepłem, przetapiającem ze szczególną zdolnością obcy kruszec na rodzimą i rodzimie wyglądającą monetę narodową“. Następnie dr. *Teofil Matecki* (1810 † 1886) „jeden z najuczeńszych i najwięcej wziętych naówczas lekarzy poznańskich, a mianowicie jeden z najwierniejszych adeptów Marcinkowskiego“, prowadził wykłady o fizyce i chemii; a „ekscentryczny może i fantazyjny, ale uzdolniony a nadewszystko bardzo szczerze i gorąco po polsku czujący adwokat“, *Jakób Krauthofer*, podjął rzecz o „Encyklopedyi i metodologii prawa“. Odczyty te trwały

przez r. 1842 i 1843, cieszyły się ciągle żywym udziałem ogółu i rozbudzały zamiłowanie do życia umysłowego.

II.

Do tegoż samego celu zdążała publicystyka, której rozmaite stopnie i rodzaje dają nader interesujący i wielce wpływowy na inne nawet dzielnice przykład umiejętnego podejmowania ciekawych i doniosłych zagadnień, by przyzwyczajać publiczność do myśli poważniejszych. W. Ks. Poznańskie było wtedy najodpowiedniejszem polem do rozwoju takiej publicystyki. Wydawnictwa paryskie czy brukselskie, przez wychodźców ogłaszane, krążyły tutaj dość swobodnie i zaznajamiały z najświeższymi utworami poezyi, ze wszystkimi szczegółami dążeń i kierunków politycznych. Znalazło się też dosyć uzdolnionych pisarzów, co w umiejętny sposób zarówno te emigracyjne, jak wogóle zagraniczne pomysły uprzystępniać potrafili, wobec dość wyrozumiałej cenzury, sprawowanej przez profesorów Polaków.

Pierwszem wydawnictwem literackiem po roku 1831, jakie się na gruncie wielkopolskim zrodzilo, a we Wrocławiu drukiem ogłoszone zostało, była: „Marzanna, noworocznik literacki i genealogiczny dla płci pięknej na rok 1834“, ozdobiony czterema „ślicznemi“, jak na owe czasy, rycinami, ale pożyczonemi od obcych. Poezye i powiastki tu pomieszczone są liche, językiem zepsutym germanizmami pisane, z wyjątkiem wierszy znanego z dawniejszych czasów *Ludwika Kamińskiego.* Są tu i ballady i sonety i piosnki sielskie; są przekłady z niemieckiego, a między innymi pierwszy bodaj u nas tłomaczony z Jean Paula wyjątek (z „Quintus'a Fixlein'a“). Na szczególniejszą atoli zasluguje uwagę fakt zajęcia się poe-

zyą ludową słowiańską, co jeszcze silniej zaznaczy się w równoczesnych wydawnictwach lwowskich i krakowskich, gdy w Warszawie i Wilnie objawu tego nie znajdujemy. W „Marzannie“, znawca angielszczyzny, tłomacz Moore'a i Byrona, słaby zresztą, *Edmund Stanisław Bojanowski*, dał przekład „Pieśni serbskich“, poprzedziwszy go obszernym wstępem prozą, zawierającym dzieje Serbii.

Pierwszem zaś *czasopismem* poznańskiem był skromny rozmiarami, ale cenny pod względem treści, a zacną odznaczający się dążnością „Przyjaciel ludu” (od połowy 1834 do końca r. 1849), wydawany w Lesznie. Zadaniem redakcyi było gromadzenie jaknajwiększej ilości pamiątek polskich, opisywanie ich i przedstawianie w obrazkach *roboty miejscowej*. Drobne powiastki i poezye stanowiły główne urozmaicenie. „Przyjaciel ludu zamieszczał portrety królów, królowych, hetmanów, uczonych, ludzi znanych, lub zasłużonych czembądź w dziejach polskich, co uwagi godniejsze gmachy i miejscowości, medale i monety z różnych epok, faksymilia podpisów... Otaczające, współczesne życie natomiast nie znajdowało w jego kolumnach żadnego odgłosu. Mimo to w tejże samej epoce i pośród tegoż samego społeczeństwa, które wrzało i żyło tylko polityką, Przyjaciel ludu miał wyjątkowe szczęście nie zrażać, nie drażnić podobną abstynencyą nikogo. Przeciwnie, był zawsze, w każdym domu wiejsko-szlacheckim pożądanym gościem, a co rzecz szczególna, spotykał się w bratniej najczęściej i zgodnej spółce, na jednym i tym samym stole z jakim *Pszonką, Demokratą Polskim* i t. p.“ Redakcyą jego zajmowali się bracia Poplińscy i Józef Łukaszewicz.

Jan Popliński, nauczyciel gimnazyum w Lesznie, zmarł bardzo młodo, w r. 1839 i zasłużył się głównie wydaniem „Wypisów polskich“ 1838, których część druga zawierała starannie ułożoną chrestomatyę historyi prozy polskiej, od XVI głównie wie-

ku do czasów ogłoszenia książki. Wiadomości życiorysowe i bibliograficzne, dodane do wyjątków z naszych prozaików, dla wielu naówczas w W. Ks. Poznańskiem były zupełną nowością; a książka cała niejednego pobudziła do zajęcia się starszą literaturą naszą.

Brat jego *Antoni Popliński* († 1868) znacznie przeżył go i ogłosił kilka podręczników szkolnych do nauki języka łacińskiego, geografii i historyi powszechnej, które nie tylko w Poznańskiem, ale i po za jego obrębem w domu i w szkole były używane. Pisał dobrą, czystą polszczyzną.

Józef Łukaszewicz († 1873) był niezmordowanym badaczem przeszłości pod względem dziejów wyznań religijnych i szkoły. We wszystkich zebrał moc materyałów nowych, wydobytych z archiwów i bibliotek; we wszystkich dbał o prawdę i sumiennie zapisywał szczegóły. Jego „Historya Szkół w Polsce" (1849—51) jest dotychczas jedyną książką, przedstawiającą przedmiot ten w całości aż do upadku Rzeczypospolitej. „Dzieje Kościołów wyznania helweckiego na Litwie" oraz takież dzieje w Małopolsce straciły już wprawdzie dzisiaj ogólne swe znaczenie z powodu znacznie pogłębionych studyów, ale zostaną kopalnią faktów. Zdolności konstrukcyjnej nie posiadał; w poglądzie na dzieje był „monarchistą," wrzawę sejmową szlachty potępiał i żałował, że nie mieliśmy rządu silnego. W tym względzie był zachowawcą, strzegąc pilnie tradycyi sejmu czteroletniego. Jego tolerancya względem dyssydentów oraz jego bardzo wyraźna niechęć do jezuitów z tegoż płynęły źródła. Rozpowszechnienie wiedzy dziejowej za rzecz najważniejszą uważał. Z chwilą bieżącą i jej hasłami zżyć się nie mógł; do demokracyi czerwonej nie należał, lubo wyzwolenie ludu za rzecz pożądaną poczytywał. Był to człowiek trzeźwy, kierujący się w poglądach swoich rozsądkiem, ale ani wyobraźni,

ani lotności umysłu nie posiadał, obracając się w pewnym ściśle określonym obrębie pojęć i dążeń.

Do wyższej niż „Przyjaciel ludu“ warstwy inteligencyi zwracał się „Tygodnik literacki“ (1838—46). Miał on na celu zaznajamiać ogół z ruchem umysłowym w całym ucywilizowanym świecie ze szczególniejszem oczywiście uwzględnieniem stosunków polskich. Zasady demokratyczne silnie zaznaczone, filozofia niezależna od wiary, a zabarwiona mniej lub więcej heglizmem, ideały swobody i równouprawnienia politycznego przewodniczyły duchowi tego czasopisma, zapewniając mu silny wpływ na umysły. Dział krytyki prowadzony był pilnie. Poezya dość obficie pojawiała się w łamach tego organu myśli postępowej. Założycielem jego był młody, bogaty a ułomny *Antoni Wojkowski* († 1850), który już w „Marzannie“ pierwsze swe powiastki drukował. „Znakomity fortepianista, czciciel Chopina, gorliwy pośród publiczności poznańskiej propagator jego utworów, sam nie bez talentu kompozytor mazurów i innych piosnek narodowych, był znany jako muzyk przedewszystkiem. Zaprzyjaźniony z ówczesną młodzieżą, przedstawiającą element ruchu“, jak Karol Libelt, Jędrzej Moraczewski, Napoleon Kamieński, Kajetan Buchowski, Waleryan Breański, przy ich współudziale, a mianowicie trzech pierwszych, stworzył i utrzymywał czasopismo, w którem zogniskował wszystkie niemal wybitniejsze siły literackie, jakie czy to w kraju czy na wychodztwie wówczas istniały. Sam wyznawał zasady krańcowe, ale przez trzy lata ulegając przewadze duchowej Libelta i Moraczewskiego, umiarkowanych w sposobie wyrażania poglądów, pozostawiał im kierownictwo. Sprzykrzyła mu się jednak kontrola; poróżnił się z dotychczasowymi przyjaciołmi i sam zajął się redakcyą. Dopomagała mu wysoce wrażliwa nauczycielka, „pierwsza nasza emancypantka”, *Julia Molińska* († 1851). Oboje żądni nowości, oboje pragnący reformować społeczeństwo, nie

uważali za potrzebne uświęcić związku swojego błogosławieństwem kościelnem. Wskutek tego utrudnili sobie możność korzystnego oddziaływania na społeczeństwo, które się ich stosunkiem gorszyło. Dawniejsi znajomi usuwali się od nich, zwłaszcza gdy majętny początkowo wydawca „Tygodnika” nadwyrężył mienie na wydawnictwa, wystawne życie i przyjaciół. Sprowadziło to w obojgu wielkie rozdraźnienie i do coraz jaskrawszych pobudzało wystąpień. Julia Wojkowska od drugiej połowy r. 1841 zaczęła pomieszczać w „Tygodniku“ swoje „pieśni ludu wiejskiego“ i „dumki“, ułożone na nutę ludową. Często banalne w pomysłach, a słabe w wykonaniu, miały tę dodatnią stronę, że zajmowały się dolą biednych i uciśnionych, że zwracały na nią uwagę warstw inteligentnych a zamożnych, że budziły dla niej spółczucie. Oczywiście brzmiała tu donośnie nuta niechęci do klas uprzywilejowanych; autorka wymawiała panom brak prawdziwego ducha ofiarności dla kraju, wytykała nadużycia, np. rozrywanie kochających się par wieśniaczych, posuwała się nawet do groźby i przepowiedni nienawistnych dla „pałaców”:

Ale przyjdzie, ale przyjdzie
    Wiosenka królówna,
Będzie chatka, będzie chatka
    Pałacowi równa.
Przyjdą burze, przyjdą burze,
    Przyjdą niespodzianie,
Runie pałac, runie pałac,
    A chatka zostanie..

Nie wszystkie wszakże pieśni i dumki Wojkowskiej wpadają w taką przesadę; są w nich obrazki, tchnące bolesną prawdą. Oto widzimy dziewczę siedzące nad potokiem, patrzące w górę i roszące łzami swe lica. Nie tęskni ono za wiosną, lecz przenikającą zanosi skargę na brak kawałka chleba. Cóż z tego, że każda rola pełna kłosów, a las pełen jagód! Nie dla niej te bogactwa! Raz zgłodniała matka wy-

szła na jagody. Panicz zoczył ją, gwizdnął na stróżów, srodze została skaraną i umarła z głodu. I córka jej napróżno od dnia do dnia płakała, prosząc o chleb i schronienie; śmierć dopiero zlitowała się nad nią i zabrała ją „do nieba, do matki". Zbiorek tych utworów wyszedł w Poznaniu r. 1843 — 4 p. n. „Piosnki dla ludu wiejskiego, z muzyką do czterech pieśni A. Wojkowskiego".—W artykułach prozą pisanych ścigała i ostro karciła wszelkie objawy mistycyzmu, fanatyzmu, powierzchownej, formułkowej pobożności, dyplomatyzowania, sentymentalnych uniesień nawet nad wadami narodowemi; nie lubiła też entuzyazmu, który według niej w stosunkach naszych jest grzechem śmiertelnym; nie znosiła wreszcie bierności, a wstrętną jej była salonowość. Wśród powszechnego uwielbienia dla uczucia i natchnień, a pomiatania chłodnym rozumem, miała odwagę odmienny wypowiedzieć pogląd. „Oszukany tylu natchnieniami—pisała ona—błąkający się tak długo nadaremnie za marzeniem świat nasz dziś żąda dedukcyi rozumowanej aż po kres, dokąd sięga myśl ludzka; samo natchnienie podciąga on pod krytyczny rozbiór, mszcząc się niejako za zniewagę tak długo rozumowi czynioną. Miną te czasy, a nastaną inne, i rozum i uczucie podadzą sobie bratnie dłonie, lecz tymczasem, dziś więcej, niż kiedy, biada temu, kto powstaje przeciw rozumowi, przeważnemu dziś natchnień pogromcy. Nie powstawać przeciw rozumowi, ale dążyć ku osiągnięciu harmonii między nim a uczuciem; nie na szczycie stawiać uczucie, ale przez uczucie rownowagę nadawać myślą brzemiennemu światu — to powołanie poety dzisiaj! Dość dlugo świat był niewiastą; gdy zechciał być mężem, nikt wchodzić mu w drogę nie może... Sam płacz i narzekania, tęsknota i żale nie wywołają z grobu umarłych, ale ich wywoła silne zaklęcie. Sam Bóg nie podniesie ziemi do nieba; niechaj ziemia dąży ku znalezieniu drogi". (Tyg. liter. 1843 Nr. 24). W tem określeniu

stosunku uczucia do rozumu zupełnie się Wojkowska zgadzała z Trentowskim; różniła się z nim co do stanowiska kobiety w rodzinie i społeczeństwie; i ona uważała kobietę za anioła-stróża ogniska domowego, ale chciała, ażeby ten anioł-stróż rozumiał dążności społeczne mężczyzny. Brak harmonii życia rodzinnego ze społecznem uważała za główną przyczynę wszystkich smutnych lub gorszących objawów. Przedział między jednem życiem a drugiem jest wprawdzie konieczny, ale tak być powinien zachowywany, ażeby nie był zawadą postępowi; gdyby zaś zniknął, rozchwiałaby się istota życia rodzinnego. Za pogląd odpowiadający najlepiej potrzebom czasu, podnoszący ideę samowiedzy i samodzielności kobiety, stanowiący epokę w rozwoju społecznym, poczytywała głos najznakomitszej ówczesnej powieściopisarki francuskiej, George Sand'a. Wojkowska uprzedzała z góry, że romanse Sanda jako obrazy *istniejącego* porządku rzeczy nie mogą być żadną miarą wzorami do naśladowania w życiu, ale dodawała zarazem, że autorka ich, staczając zaciętą walkę z opinią jednostronną, utorowała drogę dla przyszłego ideału kobiety. Zdaniem jej, Sand „zrozumiała, że główną jest rzeczą obudzenie się kobiety, wyniesienie przez samodzielność, przez uczucie siebie, że przecież samodzielność ta zabić nie powinna w niej uroku poezyi. Kobieta Sanda jestto kobieta, wyzwalająca się z pod ohydnego jarzma jednostronnej opinii, a zachowująca przytem wszystką poezyę najtkliwszą serca kobiety... Kobietę Sanda wiedzie wszędzie uczucie, ale uczucie, oparte o wiedzę o sobie, o samodzielność". Od czasu wystąpienia Sanda datuje Wojkowska budzącą się, lubo w jednostkach dopiero, samodzielność u kobiet, lecz przestrzega, żeby taż nie wyrodziła się w samowolę. Zapobiedz temu może odpowiednie wychowanie, harmonizujące uczucie i rozum, idealizm i praktyczność, obowiązki rodzinne i społeczne.

Autorka starała się myśli swoje teoretyczne za-

stosować do potrzeb wychowania dzieci i oświecenia ludu i napisała szereg książeczek w tym kierunku, nie cieszących się jednak powodzeniem. Ogół zaczął tracić zaufanie do wszystkiego, co od Wojkowskich wychodziło, a gdy w roku 1845 oświadczyli się za pruskimi reformatorami katolicyzmu, Rongeem i Czerskim, zaczęto ich uważać za odstępców. „Tygodnik literacki“ i ogłaszane przez nich „Pismo dla nauczycieli ludu i dla ludu polskiego“ przestały w tym roku wychodzić. W 1849 założyli jeszcze „Gazetę Wielkopolską“, ale urwali na 17 numerze. W r. 1850 Wojkowska wydała dziwaczny, ale nie pozbawiony talentu utwór p. t. „Z Kudowy“ (miejscowość lecznicza w Czechach). W formie fantastyczno-allegorycznego opowiadania przedstawiła przeciwieństwo usposobienia i cywilizacyi niemieckiej ze słowiańską i rzuciła potępienie (przed Krasińskim) na ten olbrzymi „Warsztat, w którym ludzie stają się tylko liczbami i kółkami“; a przytem na bezduszną naukę, na wiarę „urzędową“: ksiądz to osoba uświęcona, ale nie święta; ażeby być księdzem z ducha, potrzeba mieć natchnienie zdolne robić cuda... I w treści i w formie tej książki znać rozstrój umysłowy, który niebawem miał zakończyć się śmiercią. Stan swój ówczesny, a zarazem stosunek do ludzi, co wzgardziwszy nią, obojętnie patrzyli na jej cierpienia, pięknie wyraziła w jednym ustępie tej ostatniej swej pracy: „Gdy kona ciało na miękkiej pościeli, stoją nad niem przyjaciele i krewni i załamują ręce i żałują i płaczą ojca rodziny, matki dzieci, dobroczyńcy ludzkości. Kiedy duch nieśmiertelny zwija się w konwulsyach pod ciężarem myśli i uczuć, a z tysiącem pasując się śmierci, przeradza do życia nowego lub podąża do wiecznego w Nic zapadnięcia; nikt nie załamie nad nim dłoni, nikt łzy nie upuści, nikt skargi żałobnej nie wzniesie, bo nie widzą jego bólów, bo nie słyszą jego jęków“...

Obok „Tygodnika Literackiego“ wychodził od

1840 do 1847 „Dziennik domowy, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu." Na założenie dały podobno pieniądze panie wielkopolskie: Grąbowska i Łubieńska. Redaktorem i wydawcą został *Napoleon Ludwik Kamieński* (1806 † 1873). Wychodził w podwójnych arkuszach tygodniowo, w wielkiej ćwiartce, na papierze welinowym, drukiem czystym i wyraźnym; obok kolorowanej ryciny na końcu numeru mieścił się treściwy przegląd ostatnich mód paryskich. Ta jednak ponęta była dodatkiem tylko; w treści starano się wciągnąć kobiety i młodzież dojrzalszą „w poważniejszą sferę czytelnictwa, głównie za pomocą i pośrednictwem belletrystyki." Na czele numeru był zwykle jakiś artykulik, traktujący w sposób przystępny i popularny rozmaite kwestye społeczne i polityczne, jakie chwilowo zajmowały najwięcej publiczność;" pisali je po większej części Moraczewski i Libelt. Znajdowały się tu również rozprawy krytyczne, opisy podróży po różnych częściach kraju, kronika bibliograficzna wszelkich nowości literackich w języku polskim. Przeważną atoli część numeru zajmowała powieść, zazwyczaj krótkich rozmiarów. Dostarczali jej głównie pisarze z poza Poznańskiego; miejscową twórczość reprezentowała tylko *Bibianna Moraczewska* († 1887), siostra Jędrzeja, autorka „Ojca Cyrylla profosem", „Przygód" z życia generała Madalińskiego", a później „Dwóch rodzonych braci" (1859, Poznań).

Wybitną barwę polemiczną, mianowicie wobec „Tygodnika Literackiego" przybrał „Orędownik naukowy", wydawany od 1 października 1840 r. do początków r. 1846 przez znanych nam już profesorów: Antoniego Poplińskiego i Józefa Łukaszewicza. Miał on dużo dobrych artykułów. Pomieszczał tu drobniejsze swoje rozprawki Bronisław Trentowski; przysyłali poezye: Wincenty Pol, Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński i wielu innych; drukowały się tu powieści Michała Czajkowskiego, rozprawy Lelewela i t. d.

Z miejscowych sił dostarczali artykułów: *Hipolit Cegielski* († 1868, autor „Nauki poezyi“ z wybranymi wzorami 1845), *Antoni Małecki* (ur. 1821) i inni. Nie potrafił jednak „Orędownik“ pozyskać takiego uznania jak „Tygodnik literacki“ w pierwszych swych latach. Nie można upatrywać przyczyny tego mniejszego powodzenia w samych przekonaniach redaktorów, a mianowicie Józefa Łukaszewicza, gdyż niewielkie tylko różnice zasadnicze zachodziły w poglądach jednego i drugiego organu; raczej sposób prowadzenia sporów literacko-społecznych odstręczał od „Orędownika“, a głównym polemistą był tu sam Łukaszewicz. „Polemika Łukaszewicza przeciw organom postępowym — powiada Kazimierz Jarochowski — nie jest zasadniczo-polityczną, ale raczej gramatyczno stylową, z pewną dozą złego humoru i profesorskiej zarozumiałości. Darujmy właściwą mu oryginalność, że wyraz: *postęp* sprawia nań istnie to samo wrażenie, co mucha obsiadająca nozdrza niecierpliwego rumaka. Ważniejszy, zasadniczy a poważny zarzut należy uczynić publicyście, iż nie znał tego, bez czego się człowiek na żadnem stanowisku, w żadnem położeniu życia obyć nie może, iż nie znał miłości i pobłażania. Każdy młody człowiek, rozpoczynający na jakiembądź polu zawód pisarski, był dla Łukaszewicza, jeśli specyalnie z pod jego osobistej feruły i patronatu wychodzić nie miał szczęścia, istotą wskazaną zgóry na jego zły humor, cóż dopiero jeśli czasem należał do falangi *postępu!* Że Łukaszewicz więcej umiał od poczynających niedorostków, było rzeczą naturalną, że lepiej od nich pisał po polsku, nie ulega wątpliwości; że kiedy oni grzeszyli frazesowością lub niepoprawnością języka, on powiedział im całą prawdę, zasługiwałoby tylko na wdzięczność i uznanie. Gdzie jednakże jego prawo profesorskie się kończyło, a gdzie zaczynał wybryk niegodny ani jego nauki, ani stanowiska, to gdy, jak się działo w jego polemikach, puszczając rzecz mimo, czepiał

się zjadliwie i ze złą wiarą niesympatycznych sobie osób... Polemika ta pozostawia niesmaczne, drobiazgowe, przykre wrażenie, co tem gorsza, że w obrębie gramatyki i stylu zdrowo i trafnie rozumujący i karcący profesor, w rzeczach, zakres tenże przechodzących, wcale szerokim horyzontem nie świecił." [1]).

Najpoważniejszem wydawnictwem czasowem, jakie w tym czasie w W. Ks. Poznańskiem podjęto, był miesięcznik redagowany i wydawany przez Jędrzeja Moraczewskiego od roku 1843 do początków 1846 p. t. „Rok pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych". Poezya i powieść zostały wykluczone. Historyi bardzo tylko szczupłe wyznaczono tu miejsce. Filozofia natomiast, kwestye społeczne i polityczne, wreszcie nauki przyrodnicze teoretyczne i stosowane wyszły na plan pierwszy. Filozofię obrabiali głównie Trentowski i Libelt; zagadnienia polityczno-społeczne: Moraczewski, W. Wolniewicz i kilku innych występujących bezimiennie lub tylko z inicyałami; artykuły treści przyrodniczej, najmniej liczne, pisał znany już nam dr Matecki. Przygodnych oczywiście spółpracowników nie brakowało, a pomiędzy nimi na odszczególnienie zasługuje docent literatur słowiańskich w uniwersytecie berlińskim, *Wojciech Cybulski* (1808 † 1867), drukujący tu pierwsze swe większe prace, nacechowane gruntowną znajomością rzeczy i wytrawną rozwagą.

Wszystkie wogóle zagadnienia, zajmujące wtedy umysły, mianowicie w dziedzinie społecznej, znalazły w „Roku" odgłos mniej lub więcej silny i wywołały artykuły nieraz znakomite. Redakcya, uzna-

---

[1]) Kazimierz Jarochowski: „Literatura poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia", Poznań, 1880 r. Z książki tej w charakterystyce ludzi i wydawnictw W. Ks. Pozn. nieraz tu już *dosłownie* korzystałem, zaznaczając wyjątki odpowiednie.

jąc ważność wielostronną badań nad przeszłością, nie chciała przecież żyć tylko „między umarłymi, gdy nas żywa, wyrabiająca się duchem obecność otacza". „Mamyż—wołała — zakopani w samej przeszłości zatykać uszy na wrzawę świata, albo znajdować się jak widzowie na teatrze, gdy narody występują na scenę i duch kroczący naprzód odgrywa najrzeczywistszą, najwznioślejszą tragedyę?.. W przeszłości narodowej uczepiony korzeń, przez tysiące włókien prowadzi do pnia pożywne soki, atoli uschłoby drzewo w ziemi utkwione, gdyby go codzień wschodzące słońce nie rozgrzewało, gdyby liśćmi nie brało pokarmu z otaczającego je powietrza i nie żyło wilgocią płodnego deszczu, choć nawet spada w grzmotach i nawałnicach... Czas zatem, aby i w przyszłość krok, acz może niepewny, postawić i czas, aby z anatomii przejść do patologii i dopatrywać symptomatów choroby czasu, wszechstronnie wyrabiającego się z niemocy, i wynajdywać i badać środki najskuteczniejsze lèczenia; czas wreszcie, ażeby otworzyć oczy na to, co się wokół nas dzieje. Bez politycznego wykształcenia, bez interesu i udziału w kwestyach żywotnych czasu, stalibyśmy się zerem przed jednością, którą jest obecność, żywa, płodna, postępująca". Redakcya nie chciała ludzi dzielić między sobą i ustami świeżo wtedy w Poznańskiem osiadłego filozofa-ekonomisty, *Augusta Cieszkowskiego*, nawoływała do „Skojarzenia dążeń i prac umysłowych", do założenia w Poznaniu „Towarzystwa przyjaciół postępu"; od poważnej jednak polemiki nie uchylała się bynajmniej i parę takich polemik w nader zajmujących kwestyach: stosunku teologii do filozofii, znaczenia stanu średniego, w piśmie swem z wielkim taktem przeprowadziła. Oczywiście znajdują się w „Roku" i rozprawki słabe, mętne pod względem myśli, a niepoprawne pod względem języka i stylu; lecz wobec przewagi dobrych i rozumnych i pięknie pisanych usuwają się one w cień i nie przeszkadzają uznać tego

miesięcznika za jeden z najżywotniejszych, jakie mieliśmy.

Owo zakopanie się w przeszłości, o którem redakcya „Roku" we wstępnem swem przemówieniu wspomniała, odnosiło się niewątpliwie, w znacznej części przynajmniej, do kierunku archeologiczno-patryotycznego, jaki reprezentował w Poznańskiem głównie *Edward hr. Raczyński* (1787 † 1845), założyciel Biblioteki swego imienia, istniejącej do dziś dnia, wielce bogatej w wydawnictwa, rękopismy i mapy, odnoszące się do dziejów polskich. Był to ścisły katolik i arystokrata, potępiający surowo anarchię szlachecką w dawnej Rzeczypospolitej, a przeciwnik rządów konstytucyjno-liberalnych w teraźniejszości. Kochał kraj gorąco, pragnął jego oświaty, mecenasował uczonym i poetom, zajmującym się rzeczami narodowemi, wydał 16-tomową „Bibliotekę klasyków łacińskich," z tekstem i tłómaczeniem polskiem obok (1837—40), ale przedewszystkiem ogłaszał z rękopismów kodeksy dyplomatyczne, pamiętniki i inne źródła do poznania przeszłości. On pierwszy wydrukował w całości, lubo niezupełnie i dowolnie, „Pamiętniki Paska", a w 21 tomikach pod tyt. „Obraz Polaków i Polski w wieku XVIII" (1840—42) zawarł wspomnienia i materyały niepospolitej wartości. W poglądach swoich na historyę szedł za doktryną monarchiczną i wszędzie zaznaczał wyższość dążeń królów nad dążnościami szlachty republikańskiej. Nie miał on w W. Ks. Poznańskiem prawdziwych zwolenników, czuł się osamotnionym; a wiele jego kroków spotkało się z dotkliwą krytyką. Skończył samobójstwem.

Dopiero po jego śmierci zaczęło od połowy roku 1845 wychodzić w Poznaniu czasopismo, broniące zasad ściśle katolickich, zachowawczych i monarchicznych. Pismem tem był „Przegląd Poznański", wydawany przez *Jana* i *Stanisława Koźmianów*. W ciągu atoli tego okresu występowali jego redaktorzy i współpracownicy bardzo oględnie; dopiero gdy

wszystkie pisma postępowe upadły, gdy reakcya polityczno-religijna w całej Europie znowu zapanowała, wypłynął „Przegląd“ jako jedyne poważne pismo w Poznańskiem na plan pierwszy. Charakterystykę zatem jego lepiej będzie podać dopiero w okresie następnym.

W. Księstwo Poznańskie miało w tej dobie i to jeszcze znaczenie, że drukowano tu książki treści filozoficznej, lub też poezye, które gdzieindziej w kraju wyjśćby nie mogły. Dzieła Trentowskiego tylko dzięki zasiłkowi, stąd płynącemu mogły powstać i być drukowanemi w języku polskim. Poezye Zaleskiego, Goszczyńskiego, Pola, że pominę autorów pomniejszych, tu również były wydawane.

Młodzież poetycka z Krakowa tu swe utwory przesyłała.

III.

Poezya miejscowa nader niewielu miała przedstawicieli. Prócz Julli Wojkowskiej, możemy wymienić tylko Franciszka Morawskiego, Konstantego Zakrzewskiego i Ryszarda Berwińskiego.

Znany nam dowcipny bajkopisarz i autor rozjemczych listów do klasyków i romantyków, *Franciszek Morawski* († 1861), osiadłszy r. 1834 w W. Ks. Poznańskiem, w dziedzicznej wsi Luboni, niedaleko Leszna, oddał się pracowitemu gospodarstwu, pracowitemu dlatego, że ponieważ, jak wiemy, nie było tu już pańszczyzny, musiał się sam „przedzierzgnąć na kmiecia“. Z początku szczędził nawet na kupno książek. „Piaszczystą i głuchą Saharą co do poezyi jest nasze Księstwo — pisał do przyjaciół; — żadnego echa, żadnej woni, prócz kwiatu kartoflowego... Ledwie dwie osoby mógłbym znaleźć, mające cokolwiek zmysłu poetycznego lub prawego smaku... Ko-

biety nawet bardzo rzadko posiadają coś podobnego do zmysłu poetycznego, zresztą żadnej znajomości sztuki. Aby u nas poezya zajęła, trzebaby czyjeś wady wytknąć lub uszczypnąć Niemców, lub jakiś ideał niepojęty wyrazić, któryby tembardziej podziwiano, imby mniej go rozumiano. Księstwo jest prawdziwym czyścem dla poety, gdzie nie ogniem, lecz lodem dokuczają duszy gorącej lub wzniosłej".

Uporawszy się atoli z pierwszymi kłopotami gospodarskimi, zaczął pisać w chwilach wolnych i drukować swe poezye, to w „Przyjacielu ludu" to w „Tygodniku literackim." Nie zaciągał się do żadnego stronnictwa, nie brał żywszego udziału w życiu publicznem, ani w walkach, jakie ono wytwarzało. Bez silnych namiętności, rozsądny, umiarkowany, przypatrywał się jeno temu, co się wokół działo, rzucił czasami jakiś żart, wydrwił w bajce jakąś śmieszność, czy zdrożność, lecz żywiej nie zapłonął ani zapałem, ani oburzeniem. Kochając lud i pragnąc jego podniesienia, czynił mu dobrze, tworzył legendy z nauką moralną zrozumiałą dla niego („Brzoza gryżyńska," „Święty Izydor Oracz"), ale pragnął, ażeby on zostawał zawsze pod przewodnictwem szlachty; demagogów nie cierpiał. Wady szlachty znał i odczuwał, kreślił je z dobroduszną jowialnością w obrazku: „Wizyta w sąsiedztwo", mającym parę sylwetek dobrze skreślonych, lecz nie potrafił ich nie tylko już na podobieństwo „Pana Tadeusza", którego należycie ocenić nie umiał, ale nawet na podobieństwo gawęd Pola, wyrazistemi, znamiennemi rysami odtwarzać; styl jego, poprawny i płynny, nie posiadał ani jędrności, ani siły, ani barwności. Wielbił Byrona, przełożył dobrze pięć jego poematów, lecz duchem angielskiego poety nie przejął się wcale. Uczucia wzniosłe, któremi był przejęty, wypowiadał w sposób suchy, deklamacyjny, albo epigramatyczny („Trzy mogiły"); do najudatniejszych w tym względzie należy bajka: „Wisła i Zima". Czuł on poezyę,

umiał trafnie wytykać brak jej innym, umiał dawać dobre rady, jak należałoby ten lub ów temat obrobić, ażeby żywsze wrażenie wywołał, lecz nie posiadał wyższego talentu twórczego, by we własnych pomysłach rady te urzeczywistnić. Pojmował on potrzebę dramatyczniejszego traktowania motywów żywo wstrząsających serce, ale sam z zadawnionego nałogu klasycznego i z braku bogatej wyobraźni poprzestawał na opisowem lub retorycznem przedstawieniu rzeczy.

Widać to najlepiej w najobszerniejszym jego obrazku, ukończonym 1848, a drukowanym 1851 w Lesznie p. t. „Dworzec mojego dziadka“. Przyzwyczajony do kompozycyj drobnych, nie umiał sobie dać rady z cokolwiek większą. Z jego listów widać, jak trudno mu przychodziło „wiązanie“ szczegółów w jedną całostkę. To też „Dworzec“ jest raczej zbiorem szkiców, aniżeli dziełem jednolitem. A prócz tego bogaty temat zmarnował poeta obrobieniem, w którem najdramatyczniejsze chwile są zbyte ogólnikiem albo milczeniem. Zamierzał dać obraz Wielkopolski w końcu wieku XVIII, a dał opisy: dworku, zegara, pieca, karocy, zabawy tanecznej, dukwienia nad „manifestem“ i chwili poprzedzającej zgon starca. Zdawało mu się, że tworzy coś podobnego do „Pana Tadeusza“, a skreślił rzecz prawdziwą w drobnych szczegółach, mającą nawet piękne w pomyśle sceny (odłożenie wesela przez Ewę), ale nie budzącą ani cząstki tych uczuć, jakie wznieciła lekceważona przezeń, rozwlekłą nazwana „*kronika* szlachecka“ wieszcza litewskiego. Części opisowe są blado wprawdzie, lecz ładnie nakreślone, części natomiast dramatyczne są wszystkie chybione. Możnaby powiedzieć, że mamy przed sobą nie obrazy żywych ludzi, lecz opis jakiegoś malowidła. Z charakterystyk, podanych przez autora, jedna tylko silniej wraża się w pamięć—to sługa obłąkany, co po śmierci Dziadunia, utrzymuje wszystko we dworcu w da-

wnym porządku. Ani Dziadunia nie poznaliśmy dokładnie, ani Ewy, ani jowialisty Kubusia, ani łgarza pułkownika; jak cienie tylko migają się te postaci przed oczyma wyobraźni naszej. A przecież był pomysł wysoce dramatyczny. Dziadunio miał wyprawić wesele córce kobiety, kochanej niegdyś przez siebie, Ewie; ale tymczasem pojechał na imieniny jednego z sąsiadów. Tu wśród zabawy dochodzi wieść o drugim rozbiorze kraju. Dziadunio ufny w moc prawa, układa manifest do grodu z protestem, a wtem nadjeżdża urzędnik pruski z wezwaniem do złożenia przysięgi homagialnej dla nowego władcy. Porywczy starzec porywa gwintówkę. Niemiec ucieka; dziadunio niebawem dostaje się do więzienia. Dochodzą go tu odgłosy bojowe r. 1794, słyszy śpiew niewieści (Ewy), a potem strzał. Gdy go z więzienia wypuszczają, dowiaduje się, że wszystko stracone; serce mu pękło, skonał na progu. W zakończeniu wzmianka o legionach i niespożytości uczucia. Treść to do rozległego malowidła, wstrząsającego duszę; Morawski zrobił z niego wypłowiałą miniaturę, w której zaledwie tu i owdzie jakiś rys dobitniejszy przemawia naprawdę do serca lub wyobraźni.

Pod koniec życia wrócił Morawski do bajek i po swojemu dowcipnie, czasem zgryźliwie chłostał objawy nierozumu, zarozumiałości, próżności, chęci gwałtownego reformowania świata itp. Jego „Bajki" wyszły r. 1860 w Poznaniu, a „Pisma zbiorowe" w 4 tomach, tamże, r. 1882 z przedmową Stanisława Tarnowskiego.

Konstanty Zakrzewski, dziś zupełnie zapomniany, był to talent mierny, wzorujący się to na Bohdanie Zaleskim to na „Pieśniach Janusza", tworzący drobne pieśni, gładkie, potoczyste, czasami dziarskie, zawsze do czynu, do działania zachęcające. Wierszem do „Bociana" (r. 1838), wyrażającym gorące przywiązanie do kraju, zyskał dla siebie sympatyę

w W. Księstwie; „Wydartą“ złożył dań kierunkowi balladowemu, „Utarczką“ i „Marzeniem szlachcica“, „Przejażdżką dawnego towarzysza chorągwi pancernej“, budził wspomnienia czasów waleczności i prostoty w życiu; w „Hulance“ ślicznie odmalował Jonka, tańczącego obertasa w karczmie z fantazyą. „Do poetów biadających“ (1840), których wtedy był legion, przemówił słowami męskiej energii:

Przestańcie śpiewać płaczliwymi głosy,
Oskarżać ludzi i sarkać na losy,
Wzywać o litość z wyciągnioną ręką,
Miękczyć przechodniów żebracką piosenką.
Łzy udawane uczuć nie poruszą,
Wielcyście głosem, ale mali duszą.
Przestańcie! słowem nie zmamicie gminu,
Mężowie pióra, lecz nie męże czynu,
Z ręką na sercu, z spojrzeniem na niebie,
Wyznajcie sami, cóż wy okrom siebie
Kochacie więcej na świata przestrzeni?...

Poezye swoje drukował Zakrzewski przeważnie w „Tygodniku literackim“, osobno nic nie ogłosił.

IV.

Największym talentem odznaczył się RYSZARD WINCENTY BERWIŃSKI (1819 † 1879), poeta namiętny, egzaltowany, chwilowy przedstawiciel prądu ultra-demokratycznego, potem zgorzkniały sceptyk, szukający zapomnienia w ryzykownych przygodach. Urodził się we wsi Pólwicy, w powiecie średzkim, jako syn niezamożnego obywatela; odebrał staranne wychowanie pod kierunkiem niepospolicie wykształconej matki, Bukowskiej z domu, w duchu ściśle katolickim. Żywy, wesoły, bardzo zdolny, był ulubieńcem wszystkich, zarówno w rodzinie, jak później wśród kolegów szkolnych w Lesznie.



Ryszard Berwiński.

Nadmierna żywość i pewność siebie już w owym czasie wycisnęły swą cechę na postępowaniu i charakterze młodzieńca. Przerywa nauki, jedzie na wieś jako nauczyciel domowy, niebawem wszakże widzi, że do tego zawodu nie ma usposobienia, przerzuca się więc do gospodarstwa, ale ekonomowanie nie przypada mu do smaku, wraca do gimnazyum i znowu z niego wychodzi, tym razem niedobrowolnie; egzamin dojrzałości zdaje we Wrocławiu, gdzie też zaczyna chodzić na wykłady uniwersyteckie, które uzupełnią potem kilkoletniemi studyami w Berlinie, przerywanemi często wyjazdami na wieś. Żyjąc w chwili najgorętszego zajęcia się twórczością ludową, Berwiński przejmuje się entuzyastycznie tą sprawą, zbiera i obrabia podania i klechdy, odbywa w tym celu piesze nieraz wędrówki po kraju, blizko przestając z ludem, chwytając jego wyobrażenia i słowa.

Będąc nadzwyczaj wrażliwym, potrzebując się wywnętrzyć, pragnie się podzielić zdobytemi wiadomościami; stąd wczesny początek jego pisarskiego zawodu, gdyż pierwszy drukowany utwór jego: „Kępa zaniemyska“ (na której potem r. 1845 zastrzelił się z armaty Edward hr. Raczyński) sięga roku 1836 (w „Przyjacielu ludu“), kiedy autor liczył lat 17. Z początku zarówno proza jego („Listy z pielgrzymki po kraju“ 1837, „O dwunastu rozbójnikach“ 1838, „Mądry Maciuś“, „Kojata“ i inne klechdy ludowe) jak wiersze („Przystań morska — burza“ 1838) były słabe, ale za to postęp odbywał się szybkim krokiem, tak że w przeciagu lat czterech, dzięki talentowi swemu, oraz poparciu, jakiego doznał w wielkim świecie poznańskim od jenerała-poety, Franciszka Morawskiego, staje się głośnym, w swoich przynajmniej stronach. W r. 1840 ogłasza we Wrocławiu pierwszą swą książkę p. t. „Powieści wielkopolskie“, gdzie prócz wspomnianej już klechdy o dwunastu rozbójnikach, mieściła się „Bogunka na Gople“, z pię-

knym wierszowanym prologiem i epilogiem. Berwiński nie poprzestał na lubowaniu się w poezyi ludowej, ale, jak całe stronnictwo demokratyczne, z którem się związał, pisując do „Tygodnika literackiego“, przejął się olbrzymiem znaczeniem ludu w przyszłym rozwoju społecznym i, potępiając działalność szlachty, spodziewał się lepszej doli od uwłaszczenia włościan na całej przestrzeni kraju, nie tylko w jednej prowincyi. Wprawdzie on sam obracał się przez lat kilka wśród wyższych warstw towarzyskich i z powodu wymowy, ogłady i ujmującej postaci, był bohaterem salonów, podzielając wraz z resztą złotej młodzieży wesołe, hulaszcze życie; ale nie stłumiło to w jego duszy, ani myśli, ani pragnienia wyzwolin ludu. Może miłość zawiedziona, może poczucie swojej niższości finansowej zniechęciły go wreszcie do owego pustego życia salonowego i napełniły mu serce goryczą; dość, że się z niego wycofał, rzucił przekleństwo na bezmyślność rozbawionych „rycerzy podwiązek“, i wydawszy r. 1844 (w Poznaniu i Brukselli) „Poezye” swoje w 2 tomikach, żądny działalności, połączył się z tymi, którzy w czynnej propagandzie demokratycznej cel życia widzieli. Zaprowadziło go to wraz z nimi do więzienia w 1846 roku, z którego wyszedł po rewolucyi berlińskiej r. 1848.

W „Poezyach“ swych wyróżnił sam Berwiński pieśni miłosne, których zbiór nazwał „Księgą świata i złudzeń“, oraz pieśni społeczne, zatytułowane: „Księga życia i śmierci“.

W utworach miłosnych jest Berwiński chmurnym bajronistą, pełnym dumy i energii, a w sposobie malowania uczuć idzie za Mickiewiczem z doby odeskiej głównie. Zachwyty i cierpienia miłosne znajdowały w nim wymownego malarza. Najpiękniejszemi, najbardziej indywidualnemi są: „Wspomnienia“, „Przestroga“, „Dwie prośby śpiewaka“, „Błogosławieństwo”. Na końcu zbioru erotyków pomieścił roz-

myślnie wiersz p. t. „Ostatni Romeo“ — pożegnanie ze snami miłości.

W księdze drugiej Berwiński daje poznać w sposób nieraz głęboko wstrząsający serce, czasami na wzór Słowackiego, mianowicie na wzór „Grobu Agamemnona“, swoje poglądy demokratyczne, swoją pogardę dla szlachty, swoją wiarę w przyszłość mas ludowych, swoje namiętne pragnienie stanowczej w układzie społecznym przemiany, gdyż wszystkie tradycyjne wiary i tryby życia straciły dla niego wszelkie znaczenie. („Marsz w przyszłość” — najjaskrawszy wyraz ówczesnej demokratycznej poezyi naszej). W „Powitaniu“ rzuca sarkazm na stronników Czartoryskiego, w „Myszej Wieży“, w „Mogile“, „Na Gople“, to przeciwko szlachcie powstaje, to się zwraca do ludu, by czynem swą żywotność stwierdził. Najbardziej znamiennym utworem, malującym silnie wewnętrzne targania się duszy namiętnej, niezadowolonej ani z siebie, ani z otoczenia, ani z ludzkości, jest „Ostatnia spowiedź w starym kościele“, z Hamletowską dewizą: niż tak być lepiej nie być wcale. Rozpoczyna poeta od wyznania, iż nie był „ni podlym, ni pierwszym z zbrodniarzy,“ lecz tylko „głupcem złudzeń i omamień.“ Naprzód łudziła go miłość, zostawił ją tym, co „na całą wieczność dziecinni i mali“; weszła mu potem gwiazda mądrości, co mu odpięła z oczu „cudowną wiary przepaskę“, ale nie zaspokoiła jego duszy:

Mam, czegom nie miał; wiem, czegom nie wiedział,
Że między nami a prawdą jest przedział
Nieskończoności, w któren tylu dumnych
Tyle rzuciło głów wielkich, rozumnych
Na pomost głupstwu! ..

Duch czasu zagadał do niego głosem tysiąców; poeta rzucił książki i wszedł w świat żywych. Opuścił jednak pole walki w pełni życia, „bo któż sił nie straci, Gdy widzi marność i hańbę i nędzę I po-

dłą gnuśność swej rodzonej braci". Wzbogaciwszy się w znajomość ludzi, wzgardził światem samolubnych obywateli i gronem złotej młodzieży.

I zatęsknił za szczęściem dzieciństwa, porównywając je z obecną próżnią i czczością w sobie i w innych. Czyż warto żyć? Cierpliwość i pokora—wielkie to zaiste cnoty, ale musi je wyhodować wiara silna, co „olbrzymie góry płaszczy a doliny wznosi." Życie byłoby znośne, gdyby ślepe dotychczas miliony przejrzały i gdyby ludzie nie tylko mówili o udoskonaleniu dusz, lecz sami także czynnie do tego udoskonalenia dążyli. Kończy więc:

A gdy zbytków niewolnik wyrzeknie się dumy,
Kiedy głupcy przestaną wa'czyć na rozumy,
Kiedy głowy rozumne opuści ciemnota,
Kiedy mądrość przestanie być skarboną złota,
A wagą pokupności pobożność i cnota,
Gdy duch boży zamieszka w każdem drobnem sercu,
Miłość klękać przestanie na ślubnym kobiercu.
Kiedy nakoniec w ludziach sumienie się wzbudzi:
Wtedy życie ukocham—uszanuję ludzi,
Ach, wtedy może nawet z tą piersią rozdartą
Jeszczeby z wami cierpieć i żyć było warto..

Jak wspomniałem, ukochał życie czynne, nie czekając zupełnej przemiany ludzi. Pokutował za to w Moabicie pod Berlinem.

Jako liryk odznaczał się Berwiński głębią i szczerością uczucia, namiętnym tonem w wypowiadaniu tego wszystkiego, co wrzało w duszy gorącej, która widzi ubezwładnienie woli własnej wśród miałkiej powszedniości objawów życia.

Na szersze kompozycye nie starczyło cierpliwości tej ognistej naturze, a może brakło jej i pomysłów na większą skalę. Dowodem tego jest fragment poetyczny p. t. „Don Juan poznański", który swojego czasu wywołał ogromne oburzenie wśród współmieszkańców autora, gdyż w utworze tym widziano karykatury znanych powszechnie osobistości i stosun-

ków. Wartość „Don Juana“ jest względna; myśl zasadniczą stanowi wyśmianie romantyczno - romansowych upodobań młodego pokolenia, bawiącego się bezmyślnie i trywialnie; w pierwszej pieśni spotykamy bardzo często ładne zwrotki, lecz niemile uderza parodya „Świtezianki“ Mickiewicza, w drugiej — brak treści a gadaniny zadużo; natomiast są tu napomknienia, tłomaczące podnioślejsze intencye poety. W „Parabazie Don Juana“ przedstawia się intencya ta w surowszej formie: „ja wolę raczej stać się biczem bożym i smagać śpiących, i dręczyć, i chłostać. Choćby im do krwi serdecznej się dostać, Bo może zapach świeżej krwi ich zbudzi, że zmartwychwstaną *podobni do ludzi*“...

Dwa lata przepędzone w Moabicie Berwiński poświęcił teoretycznym badaniom nad wyobrażeniami mitycznemi ludu i doszedł do rezultatu, tak przykrego dla romantyków, że ludowi polskiemu brak samoistności w pomysłach, że jego zabobony, gusła i klechdy zostały przejęte od sąsiadów głównie. Ten, dla siebie samego niespodziany wynik ogłosił w dwutomowem dziele: „Studya o literaturze ludowej ze stanowiska historycznej i naukowej krytyki“ (1854, Poznań).

„Wiosna ludów“ roku 1848 jak w innych tak i w Berwińskim obudziła radość i chęć działania; pojechał na głośny wiec wszechsłowiański w Pradze czeskiej. W r. 1849 brał udział publicystyczny w założonym przez Karola Libelta, znakomicie redagowanym, lecz krótkotrwałym „Dzienniku polskim“. W roku 1852 obrany został posłem na sejm do Berlina, ale tu nie umiał się zżyć z kolegami swymi, zrzekł się więc mandatu, poczem gnany niepokojem wewnętrznym („bo mi jak kamień To serce w piersi tu leży, Co niegdyś złotych pełne omamień, Dziś samo w siebie nie wierzy“), pojechał do Paryża, następnie do Konstantynopola, skąd jako oficer pułku dragonów ottomańskich włóczył się po rozmaitych kątach

Turcyi, ani razu miecza z pochwy nie wydobywszy. Przyjeżdżał parę razy jeszcze w strony rodzinne, ale tu czuł się już prawie obcym; przywykłszy do włóczęgi, choć widział jej bezcelowość, zapijał gorycz zawodu mocnymi trunkami i tułał się dalej, dopóki znękanego na ciele i duszy śmierć nie uwolniła od ciężaru życia, w Konstantynopolu, w szpitalu francuskim. Należał on do tych, niestety, nierzadkich u nas objawów wielkiego talentu, na których pokłada się wielkie nadzieje i doznaje się strasznego rozczarowania [1]).

V.

Rok 1848 między innymi przejawami ruchu, wywołał także na szerszą widownię jedną z najsympatyczniejszych i najznamienniejszych postaci tego okresu, nauczyciela ludowego, EWARYSTA ESTKOWSKIEGO (1820 † 1856). Był to przeważnie samouk. Nadzwyczajną pracą i rozmyślaniem doszedł do samoistnych poglądów w zakresie wykształcenia elementarnego i zasilał rozprawkami czasopisma poznańskie. W 1848 powziął i wykonał myśl założenia pierwszego u nas „Towarzystwa pedagogicznego“, celem podniesienia ludu przez szkoły. Trwało ono krótko, bo w r. 1851 wskutek prądów reakcyjnych musiało się rozwiązać; ale nie było bez wpływu; a choćby tylko założenie organu pedagogicznego pod tytułem „Szkoła polska“ z początkiem roku 1849 należy mu za wielką poczytać zasługę. Ciężar redakcyi dźwigał przeważnie Estkowski.

Przy „Szkole polskiej“, przeznaczonej dla wychowawców, wydawał „Szkółkę dla dzieci“, dla której

---

[1]) Antoni Bądzkiewiez: „Ryszard Wincenty Berwiński“, 1887, Warszawa.

sam kilka powiastek i obrazków napisał. Pierwsze czasopismo przetrwało do końca r. 1853; drugie pod zmienionym tytułem: „Szkółka dla młodzieży“ do końca roku następnego. Rozprawy pedagogiczne Estkowskiego odznaczają się jasnością i metodycznością, wolną od niemieckiego formalizmu, a uwzględniającą potrzeby umysłowe czytelników polskich. Z zasady i zamiłowania powoływał się na prace Komisyi Edukacyjnej z XVIII wieku, chcąc utrzymać ciągłość tradycyi pedagogicznej narodowej, uzupełnionej lub sprostowanej nabytkami nowszymi. Wielkich zdolności artystycznych nie posiadał, stąd jego powieści i opowiadania noszą cechy wypracowań; ale umiał zająć umysły młodociane, stosując się do poziomu ich wyobrażeń i przemawiając do ich serca. Wierzył i wyznawał, że „ażeby przemówić do duszy dziecięcia, trzeba się przenieść w swoje lata dziecinne, trzeba przemówić do dziecka językiem jego myśli i chęci, trzeba poznać, co je najwięcej zajmuje i ciekawość w niem budzi; nadto trzeba serdecznie kochać dzieci i umieć się z niemi zabawić; poznawszy tak psychologiczny stan dziecka i rozwinięcie jego życia na wszystkie strony, potrafimy skutecznie przemówić do niego i będzie nas z ciekawością słuchało“. Co radził innym, to i sam starał się spełnić—nieraz z zwielkiem powodzeniem.

---

2. Rzeczpospolita Krakowska.

VI.

Starożytny uniwersytet jagielloński, jedyny naówczas z wykładem polskim, znajdował się w dość smutnem położeniu. Szczupłe fundusze nie pozwalały mu zaprowadzać ulepszeń, nabywać narzędzi i wszelkich pomocy, jakich wzmożona i ciągle postępująca

nauka, mianowicie w dziedzinie nauk przyrodniczych, wymagała. Utrudnienie dostępu młodzieży z innych dzielnic polskich nie tylko umniejszało dochody, lecz wytwarzało pewną zaściankowość instytucyi. Profesorowie, od samej reorganizacyi w r. 1809, nie byli w przeważnej części mężami oddanymi wyłącznie nauce, lecz ambicye swoje, zwłaszcza od r. 1815, t. j. od czasu utworzenia rzeczypospolitej, ku udziałowi w jej rządach kierowali. Czas bardzo długi katedry wszystkich wydziałów zajęte były przez mierności, pomiędzy któremi kiedy - niekiedy tylko ukazała się jakaś naukowa lub pedagogiczna przynajmniej zdolność (*Jerzy Samuel Bandtkie* † 1835).

W r. 1830 objął katedrę historyi powszechnej człowiek niepospolitej nauki i bystrości umysłu, który działalnością swoją potrafił nieco ożywić zgnuśniały pod względem naukowym Kraków, a potem wpłynąć częściowo na ruch umysłowy w całym kraju. Był to MICHAŁ WISZNIEWSKI (1794 † 1865). Rodem z Firlejowa w Galicyi, uczył się początkowo we Lwowie, potem w Krzemieńcu, wreszcie w uniwersytecie edynburskim. Dwukrotnie zwiedził Włochy i Francyę. Filozoficznie wykształcony, nie poprzestawał na gromadzeniu faktów, lecz starał się poddawać je rozbiorowi krytycznemu, a następnie wyprowadzać z nich ogólniejsze wnioski. Znał filozofię niemiecką, lecz nie stał się jej wyznawcą. Poszedł raczej torem, wskazanym przez Jana Śniadeckiego (w „Filozofii rozumu ludzkiego“); hołdował tym rozważnym i umiarkowanym poglądom sensualistycznym, jakie w literaturze angielskiej były ogólnie przyjęte. Ponieważ je przez pół wieku z górą uzasadniali filozofowie rodem ze Szkocyi, nazwano ich ogół „filozofią szkocką“. A że początek kierunku tego sięgał zarania XVII-go stulecia i za swego patryarchę miał słynnego kanclerza angielskiego, Bakona z Werulamu, więc i Wiszniewski, chcąc się przyczynić do ugruntowania filozofii u nas, rozpoczął swą działal-

ność literacko naukową od wydania dziełka p. t. „Bakona metoda tłómaczenia natury“ (1834, Kraków). Była to pierwsza w tym okresie książka, zagajająca sprawę zagadnień filozoficznych, które się miały, lubo w odmiennym kierunku, idealistycznym, tak silnie potem rozwinąć. Niebawem ogłosił Wiszniewski, również w duchu filozofii szkockiej, interesującą rozprawę p. t. „Charaktery rozumów ludzkich“ (1837, Kraków), która żywe obudziła zajęcie i wywołała żwawą polemikę, podjętą przez biskupa krakowskiego, *Ludwika Łętowskiego* († 1868) w książce p. t. „Nauka poznawania ludzi z uwagi na dobro towarzystwa“ (1847, Warszawa). Ogół swoich poglądów ze stanowiska zdrowego rozsądku na całość umysłowości, zawarł Wiszniewski w popularnie napisanej książce: „O rozumie ludzkim, jego siłach, przymiotach i sposobach kształcenia“ (1848, Warszawa). Szczegółowe zaś wskazówki pedagogiczne skreślił pod tyt. „Myśli o ukształceniu człowieka przez samego siebie“ (1873, Warszawa, wydanie pośmiertne). Nowych w filozofii prawd Wiszniewski nie objawił, lecz był dobrym rozpowszechniaczem znanych; przedstawia się też nam w tej mierze jako dopełniciel pracy, podjętej przez Jana Śniadeckiego.

Z zakresu historyi powszechnej, którą przez lat 16 w uniwersytecie jagiellońskim wykładał, nie ogłosił drukiem żadnej pracy; ale w bibliotece tegoż uniwersytetu pozostawił obszerny rękopism swoich odczytów. Bardzo rychło zwrócił się od rozważania dziejów i literatury powszechnej do literatury polskiej, w dziedzinie której położył najtrwalsze zasługi. Najprzód ogłosił r. 1835 w Krakowie zbiór materyałów p. t. „Pomniki historyi i literatury polskiej“ (4 tomiki), potem od r. 1840 zaczął ogłaszać „Historyą literatury polskiej“. Do r. 1846 wydał 7 tomów, doprowadziwszy w nich obraz piśmiennnictwa naszego do początków wieku XVII. Potem gdy i z katedry i z kraju się usunął, a nawet prac literackich wogóle

zaniechał, oddając się bankierstwu, z notat jego wydrukowano jeszcze tom 8-my i 9-y, oraz dodano w 10-m skorowidz nazwisk. Oczywiście w sądzie o znaczeniu Wiszniewskiego jako historyka literatury ważą tylko pierwsze siedem. Ponieważ wykłady Brodzińskiego w uniwersytecie warszawskim o historyi literatury polskiej nie były w swoim czasie drukowane, praca Wiszniewskiego musi być uważana za pierwszą *ujawnioną* próbę *krytycznych* dziejów tej gałęzi twórczości. W zakres literatury wciągał nasz autor nie tylko wszystkie odrośle belletrystyki, nie tylko wszystkie działy umiejętności, ale także sztuki piękne, i objawy cywilizacyi wogóle. Tam, gdzie brakło materyałów do obrazu piśmiennictwa, wtrącał Wiszniewski obszerne nieraz opowiadania z dziejów, nie tylko polskich, ale i powszechnych, choćby się one słabą tylko więzią z historyą naszej oświaty łączyły. Książka taka nie odpowiadała wprawdzie ściśle tytułowi swemu, lecz była wielce zajmującą, rozszerzała widnokręgi myślowe, stawała się pożywną karmią dla ogółu inteligencyi. W miarę zwiększania się zasobów czysto piśmienniczych, owe poboczne obrazy i opisy szczuplały; a ponieważ autor musiał być nie tylko historykiem, ale i bibliografem, umniejszały się z biegiem czasu szerokie poglądy, dokładne charakterystyki pisarzów, a zaczął przeważać balast źródłowych materyałów. Bystrością krytyczną odznaczał się Wiszniewski zawsze, ale nie zawsze umiał wynikliwie wywody swoje łączyć ze sobą, i niejednokrotnie popadał w sprzeczności. Nie jest tedy jego dzieło wolnem od rażących błędów, ale w każdym razie wzniosło się wysoko nad poziom owoczesnych prac w tym rodzaju, a jako skarbnica faktów, jeszcze i dzisiaj znaczenia swego nie utraciło. Wiele do powodzenia dzieła przyczynił się język szczeropolski i styl piękny, odpowiadający treści w dziele rozwijanej, ani deklamacyjny, ani suchy, umiejętnie dobranemi porównaniami i przenośniami ukwiecony bez

ujmy jasności, a wciąż płynny, spokojnym, poważnym nurtem przelewający myśli autora w duszę czytelnika. Dzieło Wiszniewskiego pochłaniała młodzież, a starsi brali z niego pobudkę do sprostowań, polemiki i podejmowania prac na własną rękę w celu rozjaśnienia dziejów literatury naszej. Można śmiało twierdzić, że w tym okresie było ono najważniejszą pracą poważną, jaka umysłowość polską zajęła.

Wobec niego wszystkie inne dzieła, wydawane przez profesorów krakowskich, czy to przez poznańczyka rodem, *Józefa Muczkowskiego* († 1858), dotyczące dziejów uniwersytetu jagiellońskiego, czy przez *Kajetana Trojańskiego* († 1850), dotyczące nauki języków, w cień usunąć się muszą. Jedynie tylko w dziedzinie filozofii prace *Józefa Kremera*, chociaż mogące liczyć na mniejszą liczbę czytelników, ze względu na swą doniosłość mierzyć się z niem mogą.

Z uniwersytetem ściśle było złączone „Towarzystwo naukowe" mające na celu popieranie rozwoju umiejętności. Ale i ono wegetowało tylko, zwłaszcza od r. 1833, kiedy dla braku funduszów musiało zaprzestać wydawania swoich „Roczników." Matematycy, przyrodnicy i lekarze mieli tu jeszcze jakich takich przedstawicieli; nauka atoli literatury, oraz poezya nadzwyczaj słabo były reprezentowane. Dopiero za prezesostwa dra *Józefa Brodowicza* († 1885), będącego zarazem rektorem uniwersytetu, gdy nowych członków do grona swego przybrało, zaczęło dawać znaki ruchliwszego życia, wskrzesiło r. 1841 wydawnictwo „Roczników", lecz w przeciągu lat 8 zaledwie trzy ogłosiło tomy. W nich najcelniejszemi były rozprawy geologa, *Ludwika Zeissnera (Zeuschnera* † 1871). Od r. 1848, kiedy prezesem został uczony fizyolog, *Józef Majer* (1808 † 1899) do r. 1852 znacznie zgrubiały tomy, a w nich rozprawy przyrodnicze i lekarskie najwydatniejsze zajęły miejsce. Po dacie powyższej Towarzystwo odłączyło się od uni-

wersytetu wskutek rozporządzenia rządu austryackiego.

VII.

„Roczniki" Towarzystwa naukowego mało były poczytne; co najwyżej zajmowały specyalistów; do ogółu prawie nie dochodziły. Ludzie, dbający o rozpowszechnienie wiedzy wśród ogółu, musieli się chwycić innego środka. *Antoni Zygmunt Helcel* (1808 † 1870), który jako znakomity badacz historyi prawa polskiego miał się w przyszłości głównie zasłużyć, powziął myśl wydawania czasopisma naukowego, poświęconego, z wyłączeniem belletrystyki i polityki, tylko filozofii, prawu, historyi i nauce literatury. Myśl tę urzeczywistnił, wydając przez dwa lata, 1835 i 1836 „Kwartalnik naukowy". Pozyskał sobie nieliczne wprawdzie, lecz istotnie doborowe grono współpracowników, umiejących pisać jasno i przystępnie. Z miejscowych sił najwięcej dostarczył rozpraw filozof Józef Kremer, jasno wykładając systemat Hegla w „Rysie filozoficznym umiejętności". Trochę artykułów dostarczyli: *Józef Muczkowski*, *Kajetan Trojański* i *Karol Mecherzyński* (1804 † 1881), który się zajmował wtedy badaniem dziejów języka niemieckiego i łacińskiego w Polsce, ale rozmyślał także o „filozoficznem pojęciu historyi literatury ojczystej", mając się kiedyś zająć szczegółowem zbadaniem „Historyi wymowy w Polsce." Sam Helcel zarówno w dziale prawniczym, jak filozoficznym i krytycznym pisał bardzo dużo. Reszty dostarczyli autorowie z innych dzielnic, a nawet z Czech (słynny fizyolog, Jan Purkyně). Nie będzie bez zajęcia wiadomość, że tak rozgłośny później polityk, *Aleksander Wielopolski* († 1878) tutaj pomieścił szereg głębokich nieraz aforyzmów p. t. „Myśli i Uwagi".

Redakcya „Kwartalnika" chciała zaradzić dwom

głównym wadom, jakie dojrzała w oświacie „słowiańskiej" wogóle: brakowi gruntowności i brakowi oryginalności. „W duchu podniecenia naukowej gruntowności — pisał Helcel—Kwartalnik wziął za przedmiot umiejętności ścisłe, najwięcej w stronach naszych zaniedbane; w duchu uniknięcia choroby naśladownictwa, z oryginalnych tylko prac składać się będzie; nakoniec dla otwarcia widoku przedstawiającej się w jednem ognisku charakterystyki oświaty w Słowiańszczyznie, do usiłowań pisma tego należeć będzie odznaczanie narodowej swojskości w postępach pojedyńczych ludów tego wielkiego bratniego plemienia, atoli zawsze ze względem na łączność i zlewanie się w jedną całość tych szczegółowych objawień". Co do sprawy „oryginalności", Helcel dał szczegółowsze objaśnienie, żeby go nie posądzono o obojętność względom wszystkiego, co obce tworzą narody. „Naśladować i na naśladowaniu samem przestać—powiadał—było błędem naszym; mieć na względzie postęp nauk u obcych, a budować o własnych siłach i własnych podstawach, niechaj będzie poprawą naszą! Gniewamy się na pojedyńczego plagiatora, w obce przybierającego się pióra; *starajmyż się więc unikać cechy plagiatu w całej naszej literaturze.* Wskazują dzieje, jak po tyle razy w Słowiańszczyznie, w życiu narodowem, występowaliśmy w całym blasku własnych rodowitych dążności, przy którym bledniała cudzoziemczyzna; zdaje się, iż gdy zechcemy, to i w życiu umiejętnem torem własnym postępować z chlubą zdołamy". Temu programowi „Kwartalnik" był wiernym i o ile mógł wśród ówczesnych warunków, spełnić się go starał; lecz zamało mieliśmy jeszcze wtedy czytelników, lubiących karm poważną; po dwuletniem więc istnieniu musiał ustać, nie dokończywszy nawet rozprawy Kremera.

Tę samą w gruncie dążność do oryginalności na tle słowiańskiem miało drugie pismo, niemal ró-

wnocześnie z „Kwartalnikiem" powstałe (w kwietniu 1835) p. t. „Powszechny pamiętnik nauk i umiejętności", wydawany przez *Leona Zienkowicza*. Jak tytuł wskazuje, redakcya nie ograniczała pola, z którego zbierała kwiaty i owoce; zarówno belletrystyka, jak nauki przyrodnicze, teoretyczne i stosowane, wchodziły do jego zakresu. A potępiając naśladownictwo zwłaszcza w literaturze, silniej, niż „Kwartalnik", może nawet naumyślnie, zaznaczyła redakcya „Pamiętnika" potrzebę korzystania z prac obcych. „Żyjemy w wieku powszechnego zamiłowania oświaty — mówiła—przemysł i sztuka olbrzymim krokiem postępują naprzód; mnożą się korzystne odkrycia i wynalazki. Zaniedbać skarby tego czasu, nie przyswoić, co się przyswoić daje, poczytalibyśmy sobie za grzech ciężki, za błąd śmieszniejszy, zgubniejszy niż samo naśladowstwo, za głupstwo obłąkanego narodowego fanatyzmu; uważamy więc za konieczne, korzystać z powszechnego sztuk i nauk postępu." Lubo wspierany dzielnem piórem *Seweryna Goszczyńskiego*, pomieszczającego tutaj i poezye swoje i rozprawy krytyczne i urywki z opisu podróży w Tatry; lubo wogóle artykuły miał urozmaicone i zazwyczaj dobrze pisane, nie mógł „Pamiętnik powszechny" istnieć dłużej nad pół roku. Podobno jednak przeszkody zewnętrzne raczej niż brak poparcia czytelników zmusiły do zamknięcia pisma, które rozprawą Goszczyńskiego o „Nowej epoce poezyi polskiej", żądającej, jak wiemy, rodzimości polsko-słowiańskiej, nabrało dużego rozgłosu, choć poruszyło także i niechęci.

Gdy i „Pamiętnik powszechny" i „Kwartalnik" upadły, *Lesław Łukaszewicz* († 1855), który właśnie w r. 1836 ogłosił swój króciutki „Rys dziejów piśmiennictwa polskiego", wielkiem cieszący się rozpowszechnieniem, pomimo nieprzychylnej krytyki „Kwartalnika", — podjął w r. 1837 nanowo próbę czasopiśmienniczą, wydając miesięcznik p. t. „Pamiętnik Naukowy." Ażeby pozyskać czytelników, nie tylko

dał beletrystyce wydatne miejsce, lecz obniżył wogóle ton artykułów z dziedziny umiejętności, celem ułatwienia „drogi *wzajemnego uczenia się.*“ Aby ten cel osiągnąć, obiecał przedewszystkiem dbać o czystość języka, oraz o „wybór przedmiotów dla każdego przystępnych,“ o „wykład jasny i do pojęcia wszystkich czytelników zastosowany.“ Wyrzekał się zatem filozofii i wszelkich „rozumowań w rzeczach niezbadanych, gdzie autor w siebie raczej patrzy aniżeli na społeczność, bada ducha zaświatowego zamiast przyrody widomej, szuka igraszki dowcipu swego (częstokroć jego samego tylko bawiącej), zamiast pożytku dla wszystkich“. Dla rozbudzenia krytyki zapowiadał rozbiory najnowszych dzieł polskich w stałej rubryce, zatytułowanej: „Listy o stanie teraźniejszym piśmiennictwa polskiego”. Wzywał wszystkich „chcących i mogących umysłowo pracować rodaków“ do wspierania „Pamiętnika”, bez czego tenże „nie mógłby postępować stosownie do pojęć, ducha i potrzeb czasu“. Szerokiego odgłosu nie znalazł; zaledwie parę wybitniejszych sił z pośród młodzieży krakowskiej dopomagało mu w pracy; dlatego, nie mogąc swego „Pamiętnika“ zapełniać utworami oryginalnymi, uciekać się musiał do przekładów i streszczeń z obcych języków, a nawet do przedruków z innych pism polskich. Warto wspomnieć, że dano tu, acz bezimiennie, przekład rozprawki Mickiewicza, napisanej po francusku „O malarstwie religijnem“.

Pomimo przystępności, pomimo obfitej części anegdotycznej i ten „Pamiętnik“ trwał niedługo, bo tylko trzy kwartały. Po nim wychodziły w Krakowie w ciągu lat kilku liche pisemka, żywiące się niemal wyłącznie samymi przedrukami, takie jak: „Zbieracz literacki i polityczny“ (1836 — 38), „Zbieracz umysłowych rozrywek“ (1839), „Rozrywki umysłowe“ (1841); później ustały nawet takie przejawy publicystyki i dopiero w r. 1844 ukazał się na krótko poważniejszy i lepszy „Dwutygodnik literacki“

pod redakcyą *Waleryana Kurowskiego*, wspierany zaś piórami: Józefa Kremera, Józefa Muczkowskiego i innych.

W roku 1846 Rzeczpospolita Krakowska wcielona została do cesarstwa austryackiego jako część Galicyi. Rok 1848, jak w W. Ks. Poznańskiem, tak i tu wywołał gorączkowy ruch publicystyczny, trwający kilka miesięcy. Po raz pierwszy w tym okresie czasopisma wypowiadały swe poglądy polityczne, i to w duchu skrajnie demokratycznym. Najwydatniejsze miejsce zajęła w tym względzie „Jutrzenka", redagowana przez wielce utalentowanego młodzieńca, *Aleksandra Szukiewicza* († 1885), który później przeszedłszy do obozu zachowawczego, był długo jednym z jego filarów. Naturalnie „Jutrzenka" całą potęgą swego głosu domagała się wyzwolenia ludu wiejskiego. Rząd austryacki, wyprzedzając ociągającą się szlachtę, sam dokonał tego wielkiego dzieła rozporządzeniem z maja 1848 r.

Pod względem artystycznym Kraków już w tym okresie, posiadał, lubo w słabym dopiero zarodku, ten szczep malarski, który w 20 lat potem miał się bujnem okryć kwieciem. Sztuki rysowania i malowania uczył wykształcony, zdolny, lubo w siły krajowe nieufny *Wojciech Stattler*. Sztukę budowniczą uprawiał dr. *Karol Kremer*. Teatr od końca r. 1830 budził dość żywe zajęcie, a od r. 1843 do 1847 zdolny publicysta zachowawczy, *Hilary Meciszewski* († 1855) scenę krakowską podniósł wysoko pod względem wystawy i doboru aktorów. Pobudek do twórczości artystycznej było tu więc wówczas niemało.

VIII.

Choć nie z Krakowa rodem, najpopularniejszym poetą krakowskim, zyskującym gorącą sympatyę nie wielką skalą talentu, lecz serdecznością uczuć i swoj-

skością nuty, był EDMUND WASILEWSKI (1814 † 1846). Urodził się za czasów Księstwa Warszawskiego w Rogoźnie, w ówczesnym departamencie lubelskim, z ojca Kajetana, matki Tekli z Głowińskich. Po utworzeniu miniaturowej rzeczypospolitej w roku 1815, Wasilewscy przenieśli się do Krakowa, gdzie Kajetan otrzymał posadę kasyera uniwersytetu. Niedługo na niej pozostawał, gdyż w r. 1825 osierocił rodzinę. Edmund zrósł się z Krakowem najzupełniej; tu uczęszczał do szkół (do liceum św. Anny), tu pozawiązywał stosunki przyjaźni, tu duch jego się rozwinął, rozważając pamiątki przeszłości i wnikając w życie ludu, tu kochał i tu cierpiał. Nie poszedł za przykładem starszego brata, Feliksa, który kończył nauki w uniwersytecie jagiellońskim na wydziale prawnym; może rodzinie zabrakło już dla niego funduszu, może zresztą usposobienie poetyckie nie miało skłonności do studyów systematycznych. Edmund musiał wcześnie myśleć sam o sobie; przyjął tedy posadę bibliotekarza u Wielopolskich w Książu; po roku jednakże porzucił ją i wrócił do Krakowa. Przez czas jakiś zajmował się nauczaniem dzieci wspomnianego już Hilarego Meciszewskiego, ale pedagogia nie mogła pociągać ku sobie duszy żywej i lotnej. Wolał mieć choćby jaknajmniej, byleby żyć swobodnie według własnego upodobania, z artystycznem lekceważeniem troski o jutro. Zaznajomił się z domem wysłużonego profesora uniwersytetu, Hermana Schugta, gdzie kwitły zabawy i zamiłowania artystyczne. Sam Herman, prócz rozprawek, pomieszczanych w „Rocznikach Towarzystwa Naukowego," którego był członkiem (np. „O powinowactwie języka polskiego z greckim"), zasilał pracami swemi wielkopolskiego „Przyjaciela ludu." W domku swoim stary emeryt zwykł był zapisywać ściany wierszykami i sentencyami; Wasilewski zaś, mający niemały talent do rysunku, dorabiał do nich zabawne illustracye, albo też odwrotnie, do tego, co Wasilewski narysował, Schugt

dopisywał swe maksymy. Co kilka miesięcy bielono ściany, ale niebawem pokrywały się one znowu wytworami fantazyi gospodarza i gościa.

Starsza córka Schugta, Anna, znana w literaturze pod nazwą *Anny z Krakowa*, pisywała wiersze pełne tkliwej serdeczności i myśli szlachetnych; wyszedłszy za Terleckiego, rok zaledwie z nim przeżyła; umarła, mając lat 24, w r. 1835. Młodsza jej siostra, Helena, stała się przedmiotem długoletnich uwielbień Edmunda i prawdopodobnie rozżarzyła równocześnie w jego sercu iskrę poezyi. Zaczął młody poeta opiewać swoją „Halkę" w całym szeregu piosenek, które zapewne z początku dla niej tylko i dla najbliższych przyjaciół przeznaczał. Erotyka przepełniała wtedy duszę i natchnienie Edmunda.

Na tę jednostronność uczuciowo-egotycznego kierunku zwrócił mu uwagę młodszy od niego o lat cztery, ale wskutek nastroju refleksyjnego wcześnie dojrzały przyjaciel, *Gustaw Ehrenberg* (1818 † 1895), rodem z Warszawy, ale wykształcony w Krakowie poeta, który miał długą i ciernistą przebiedz w życiu drogę. W improwizacyi, zwróconej ku Wasilewskiemu r. 1835, zarzucał mu ten 17 letni sensat, iż z powodu jednej dziewczyny przepłakuje dni i noce, wciąż prawiąc o róży i o malinie, zamiast myśl swą podnieść na Krępaku szczyt i „dla ludu" trzymać lutnię w dłoniach. Nie potępiał wprawdzie Ehrenberg miłości, ale chciał ją mieć wesołą, a ponad nią stawiał wyżej uczucia nie-osobiste, gromadne, a ponad uczucia—czyny dzielne. Wzywał więc przyjaciela, ażeby porzuciwszy smutki, żale i rozpacze, przejął się natchnieniami natury ogólniejszej.

Nie odrazu zapewne poszedł Wasilewski za radą swego druha. Natury ich umysłów były odmienne. Gustaw wcześnie się wydostał z objęć sentymentalności i porzucił pisanie sonetów „czułych, że aż strach", wiele marzeń młodocianych poddał bezlitosnej krytyce rozumu, a uczucie swoje ześrodkował



Edmund Wasilewski.

i uolbrzymił, odnosząc je do przedmiotów ważniejszych nad miłość jednostkową. Naiwność pierwotną zastąpiła już w nim ironia, a nawet żrący sarkazm, gdyż zetknięcie się z mrowiem ludzkiem przekonało go o przepaści, dzielącej ideał od rzeczywistości.

Niewątpliwie obmawiał się po młodzieńczemu Ehrenberg, przyswajając sobie nazwę „cynika“; życiem dowiódł, że poświęcać się umiał, że zbroił się „odwagą na łzy i katusze“;—to jednak jest prawdą, że rozczarowanie i gorycz wobec niemożności spełnienia swych pragnień idealnych najczęściej wykrzywiały mu usta, jak to widać ze zbiorku jego poezyj, wydanych p. t. „Dźwięki minionych lat, „1835—36” (1848, Paryż, właściwie Kraków), a mieszczących w sobie „to szyderstwa uśmiech dziki, to męskie pienia bojowe, to wesołości okrzyki, to rozgłosy pogrobowe“... Dewizą tego zbiorku mógłby być czterowiersz w nim zawarty:

Sfinksem jest i Edypem duch niespokojny człowieka,
Sam dla siebie zagadką, siebie samego zgaduje;
Szczęsny, jeśli za grobem końca zagadki doczeka,
Biedny, jeśli napróżno serca spokojność zatruje...

Inaczej było z Wasilewskim. Łagodny, marzycielski, ufny z usposobienia, znajdował się wówczas jeszcze w tej fazie życia, gdy świeże wrażenia łatwo wzburzają duszę do głębi, gdy miłość, wiara, promienna nadzieja ustępują wprawdzie rozczarowaniu, smutkowi, zniechęceniu, ale wciąż powracają nanowo, bo serce jest ich spragnione i bez nich wyżyćby nie potrafiło.

Posiadamy dwa wiersze obu młodzieńców z 16 sierpnia 1836 r. odpowiadające sobie, będące oddźwiękiem starcia się obu umysłów. Ehrenberg napisał „Ironię życia“, gdzie przedstawiwszy szereg smutnych i śmiesznych kontrastów, zakończył ich obraz zgrzytliwą wrotką, w której za cel swej twórczości podał:

Tak ironicznie życie przeszydzić,
Wszystko obnażyć, wszystko zawstydzić,
Być zemstą Boga na niebie,
A gdy w podróży pełnej łez, błota,
Zajrzy nam w oczy koniec żywota,
Wyszydzić wreszcie i siebie!...

Wasilewski odpowiedział mu na to wierszem p. t. „Anti-ironia życia“, w którym łagodnie, ale stanowczo zaprotestował przeciw ostudzaniu serc, wywiewaniu promieni wiary z piersi, szyderstwu bajronicznemu i wołał:

Człowiek ma serce; śmiech niechaj krąży
Jak przy kielichu, lecz niech nie zdąży
Uczucia zakrwawić zdradnie;
Ziarno ironii niechaj rozpusta
Na same tylko posieje usta,
Lecz w sercu niechaj przepadnie!
Bo gdzie harmonia tonów bez końca,
Jak mgła poranna dymi do słońca,
Pośród serc milionów bicia;
Pocóż sam kruka język nieczysty
Ma mieszać zgody hymn uroczysty,
Hymn, pełen płomieni życia!

Tak jest, dla Wasilewskiego buchały jeszcze płomienie tam, gdzie dla Ehrenberga dymiły już tylko zgliszcza.

Wówczas rodzajem usposobienia i natchnień bliższym był Edmundowi drugi jego przyjaciel, jednolatek, wspomniany tu już *Aleksander Szukiewicz*, pisujący poezye i powiastki, zanim się do publicystyki przerzucił. W wierszu, do niego wystosowanym, Wasilewski nazywa siebie i jego „dwoma młodym sośniakami“, wyrosłymi na ziemi krakowskiej, dwoma „łepskimi chłopakami“, co zawodzą pieśni „miłe, dźwięczne, ogniste, jak Krakus narzeczony,—jak jego luba — czyste“. Szukiewicz w wierszu „Rzeczywistość“ radził „nie z nieba dla ziemi porywać obrazy, ale ziemię podźwignąć i zbliżyć ku niebu; nie nad

grobami płakać, lecz ożywiać głazy i śpiewać pieśń urodzin, a nie pieśń pogrzebu"...

Jednakże niepodobna nie uznać wpływu Ehrenberga na twórczość Wasilewskiego; zwłaszcza, że wpływ ten potęgowało rozczytywanie się w poezyi spółczesnej, swojskiej i obcej, w której ironia i sarkazm nader wydatnym były czynnikiem. Bajronistą nie został on wprawdzie nigdy, ale zgrzyty rozczarowania i smutku niejednokrotnie przedostawały się przez nastrój łagodny i marzycielski. I tak, mamy w pismach Wasilewskiego większy poemacik p. t. „Dziecko szału" (1837), najjaskrawszy u niego, chociaż bynajmniej nie najlepszy wyraz cierpień, wywołanych nieodwzajemnioną miłością do dziewicy, w której opowiadacz pokochał „swych myśli wiosnę", strojąc ją we wszystkie wdzięki własnych marzeń. Kochanek zagroził, jak się pompatycznie wyraża, samemu Bogu zasadzką, by na ukochaną wysypać „więcej złota, pereł, kwiatów, wdzięków"; a ona zjawiwszy mu się jako anioł, niebawem jak szatan „rzuciła gradem" za jego marzeniem. Samolubem się stał wówczas, gdyż wtedy tylko czuł „ludzkość", gdy własną rozkosz w jej szczęściu znajdował. Raz jeno zapomniał o sobie i chciał zginąć w poświęcenia hymnie, lecz naraził się tylko na długie, długie cierpienie. Blizki zgonu prosi lubą, by na ostatnią tę drogę ucałowała szaleńca, bo już pocałunek nie sparzy jej ust, a uścisk nie spali dziewiczego wieńca. „Dziecko szału" napisane było prawdopodobnie pod wpływem Byronowskiego „Giaura" w przekładzie Mickiewicza (r. 1835); autor starał się pochwycić namiętny ton wzoru, lecz siły go zawiodły; zamiast odtworzyć głębię uczucia, zdobył się jeno na popis deklamacyjny. Myśl o ustawicznej przemianie wszystkiego na ziemi, przejął Edmund pewnie od Ehrenberga, który w „Pieśni na zwaliskach" z cierpką rezygnacyą, ale i z pewną otuchą nucił:

Nic w przyrodzie nie zaginie,
Śmierć i ród w jednej godzinie:
Gdy umiera nowy cień,
Z szarych obsłon wstaje dzień.

Gdzie się z ruin czas natrząsa,
Młody robak wesół pląsa,
Bo żyjątka rodzi trup,
Bo kolebkę rodzi grób.

Wyraźniejsze ślady oddziaływania nastroju Ehrenberga odnajdujemy w szeregu sonetów Wasilewskiego p. t. „Tęsknota“, gdyż do nich wziął nawet dewizę z pieśni przyjaciela, dewizę orzekającą, że dla zrozpaczonego trzech pozostało wiernych druhów: nóż, powróz i woda. Są to okrzyki duszy wciąż ranionej obojętnością, fałszem i obłudą ludzi, do których poeta zbliżał się z zaufaniem i wiarą.

Forma sonetów wymaganiami swojemi krępowała polot fantazyi Wasilewskiego; rzadko też jej używał, swobodniejszym się czując we wrotkach luźnie budowanych, bez starania wielkiego o wytworność. Powierzając się poczuciu muzykalnemu, tworzył on najlepsze swoje piosenki, a ich poczet można rozpocząć od wiersza p. t. „O czem marzyć?“ z roku 1837. Mamy tu tę samą historyę stopniowego rozczarowywania się, co i w „Tęsknocie“, ale rozwiniętą raźnie, dźwięcznie i potoczyście, bez patosu i bez jęków, a z pewną łagodną ironią. Miłość, marzenia poety w pokoiku, „na pięć kroków wszerz i wzdłuż“, wejście w towarzystwo ludzi pospolitych — i zawód wszędzie doznany: oto treść wiersza, usprawiedliwiającego zniechęcenie do rojeń wszelkich, „gdy promienne marzeń chwile swym oddechem zwarzył świat“, bo „jeśli postna myśl i kieszeń, gdy zaparty świat pocieszeń, na marzenia niema słów.“ W podobnym nastroju łagodnego smutku i łagodnej ironii pisana jest większość pieśni między r. 1838 a 1840, takich jak: „Dumanie“, „Bal“, „Marzenie po balu“,

śladowaniu Chry-
łów, marzył o udu-
spokojna, zrezy-
u w 33 roku ży-
utworami powsta-
kowie, 1852 r.
etów przeżyła ró-
6), „Krakowianką“
ias przykład robo-
wiejskiego, sama
krakowskiej,“ wy-
w duchu klasycz-
Karpiński. Zajmo-
iemi utrzymywała
volnych pisała poe-
ormy, lecz przeni-
ną religijnością, go-
niem tych panów,
włościan. Pierwszy
842; w cztery lata
, a w 1849 „Poe-
pisała opowiadania
em Janka Magury“,
o dziesięcioletniem
59 z sielanką wier-
w 1867 z drama-
a polska“, a w 1879
niejsze jej utwory
rozgłosu dawniej-

h policzyć też na-
go (1807 † 1882),
wa (z Wąchocka)
twórczości swojej
w Krakowie, a dru-
u ludu“, to w „Ty-
Wasilewskim i Ży

ścią wiersza mile wpadają w ucho. Co było najpiękniejszego w motywach ludu krakowskiego, to Wasilewski przeniósł do poezyi artystycznej, unikając zarówno słodkawej sentymentalności, jak i zbytniej rubaszności.

Poezye swoje i artykuły prozą umieszczał Wasilewski najprzód w „Pamiętniku naukowym", wydawanym, jak wiadomo, r. 1837 przez Lesława Łukaszewicza. Po jego upadku posyłał wiersze i obrazki powieściowe do „Tygodnika literackiego" w Poznaniu. Najpiękniejsze i najznamienniejsze jego utwory tu się właśnie drukowały. W Poznaniu też wyszedł pierwszy, a jedyny za życia Edmunda zbiorek jego „Poezyj", r. 1840. Przez trzy lata następne nowe jego pieśni były rzetelną ozdobą „Tygodnika". Z pomiędzy nich największe wrażenie wywarły, a autorowi miano pierwszorzędnego poety zyskały wyjątki z „Katedry na Wawelu", (1841) poemaciku, składającego się z trzech części, ogłoszonych w całości dopiero w r. 1846 (Poznań). W formie lirycznej, wrotkowej, trzymanej w tonie popularnym, oprowadza poetę duch Kmity po błoniach przeszłości, uwydatniając ważniejsze zdarzenia i charaktery dziejowe. Wasilewskiemu brakło tchu na stworzenie wielkiej całości, na odmalowanie wspaniałego obrazu, na przeniknięcie go myślą głębszą; dawał to, na co go stało — dużo uczucia i dużo wdzięku. Spółcześni przecenili „Katedrę"; my ją zestawić możemy z „Szajne-katarynką" Pola, dodając, że nie była bynajmniej naśladowaniem, gdyż obrazki Pola drukowano po raz pierwszy dopiero w r. 1843.

Gdy w r. 1844 ożywił się na chwilę ruch czasopiśmienniczy w Krakowie, Wasilewski, już rozgłośny natenczas, dał „Dwutygodnikowi literackiemu" prześlicznego krakowiaka: „Zapomniane skrzypki moje", oraz dwa wiersze na podnioślejszy ton nastrojone: „Alleluja" i „Widzenia". W tym też roku spełniły się jego najgorętsze od lat kilku życzenia; dnia

13 sierpnia poprowadził do ołtarza swą ukochaną „Halkę“. Znajomi wystarali się dla niego o skromną posadę w kantorze loteryi, ażeby mu zapewnić choćby maleńki, ale stały dochód. Poeta przez rok czuł się szczęśliwym, lecz tem boleśniej dotknął go cios straszny; ledwie się ucieszył jako ojciec przyjściem na świat synka, już go musiał pogrzebać. Pod wpływem okropnego bólu, napisał wiersz: „Myśl waryata waryatom“, w którym wyrzucił skargę namiętną na los i Boga, zowiąc ich „krwawymi mordercami.“ Dodać winienem, że utwór to zupełnie inny niż „Improwizacya waryata“ z r. 1840, będąca dobitnem przeciwstawieniem natury poetycznej, przenikniętej zapałem pospolitemu nastrojowi wśród ogółu, myślącego jeno o sobie... Niebawem po tym ciosie osobistym uderzył weń cios ogólniejszej natury; rzeź galicyjska w r. 1846. Nie znamy wprawdzie żadnego wiersza Wasilewskiego, w którymby ten bolesny wypadek był motywem, ale niepodobna przypuścić, ażeby on strasznie na piewcę ludowego nie oddziałał. Wojska austryackie zajęły Kraków, 6 listopada rzeczpospolita krakowska przestała istnieć. Wasilewski wówczas dogorywał; w 10 dni potem już nie żył.

Wasilewski stał się ulubionym poetą młodzieży; niektóre jego pieśni były i są powtarzane z zapałem. W salonach upowszechniły się krakowiaki, dzięki Stanisławowi Moniuszce, który dorobił do nich muzykę. Wydań jego poezyi mamy pięć, ostatnie krakowskie z r. 1873 jest najzupełniejsze. Liryk to marzycielski, przeważnie smętny; umiał jednak czasami zdobyć się na wiersz pełen ognia. W formie nie zdumiewa bogactwem ani oryginalnością, lecz czaruje śpiewnością wiersza i umiejętnem użyciem zwykłych zwrotów mowy.

IX.

Kiedy Wasilewski dogorywał, młodszy od niego o dwa lata krakowianin, malarz i poeta, *Franciszek Żygliński* (1816 † 1849), równie jak on żyjący w biedzie, wyruszał w podróż do Rzymu, do którego tęsknił oddawna. Dla braku pieniędzy zmuszony zostać w Wiedniu, osłabł na ciele i duchu, całemi godzinami przesiadywał w galeryi obrazów, wpatrując się w Madonny, czasami je kopiując. Urodził się on w Krakowie, uczęszczał tu do uniwersytetu i szkoły malarskiej, pod kierunkiem Wojciecha Stattlera zostającej. Zawiedziony w miłości, usunął się od świata, pędził życie samotne, rysując i pisząc poezye. Z początku chmurnie na wzór bohaterów bajronicznych patrzał na ludzkość, chcąc dla jej szczęścia uderzyć w nią gromem swego słowa („Wieszcz"), potem ułagodził swe pragnienia i tchnął cichą, smętną tęsknotą, tworząc na wzór Bohdana Zaleskiego swoje „Dumki i Fantazye" (1844, Poznań), odznaczające się melodyjnością wiersza, czystością języka, lecz zbyt jednostajne, przeważnie mdłe w wyrażeniu. Grób, mogiła, trumna, cmentarz, trupy zbyt często się w nich pojawiają.

Za najpiękniejszą poczytałbym dumkę w tonie ludowym wyśpiewaną: „Słoneczko w polu świeci", fantazyę: „Swobody! swobody!", i drugą fantazyę: „Kwiaty"... Do świata rozczarowywał się coraz bardziej:

Straszno mi, Boże! bo ziemia cała
Nakształt szkieletu skościała
Bez ducha, życia, szmat zgniłego ciała
Straszy mię kośćmi swemi—a ludzie robaki
Biegają po jej zimnym szkielecie,
Jak głodny owad po zgniłym kwiecie.

I szukał coraz częściej pociechy w uczućiach religijnych; zatapiał się w czytaniu książeczki misty-

cznej Tomasza z Kempen „O naśladowaniu Chrystusa“ opiewał Matkę Boską i aniołów, marzył o uduchowieniu się. Melancholia cicha, spokojna, zrezygnowana towarzyszyła mu do grobu w 33 roku życia.—„Zbiór poezyj“, powiększony utworami powstałemi po roku 1844 wyszedł w Krakowie, 1852 r.

Tych młodych zmarłych poetów przeżyła rówieśniczka ich, *Anna Libera* († 1886), „Krakowianką“ w literaturze zwana, pierwszy u nas przykład robotnicy - poetki. Córka nauczyciela wiejskiego, sama się ukształciła i to na „Pszczółce krakowskiej,“ wychodzącej od r. 1819—22, a więc w duchu klasycznym; ideałem poety był dla niej Karpiński. Zajmowała się robotami ręcznemi, któremi utrzymywała siebie i swą matkę; w chwilach wolnych pisała poezye niewytworne pod względem formy, lecz przeniknięte szczerem uczuciem, serdeczną religijnością, gorącą sympatyą dla ludu, a potępieniem tych panów, co zakładając karczmy, rozpajają włościan. Pierwszy zbiorek jej „Poezyj“ wyszedł r. 1842; w cztery lata potem drukowała „Nowe poezye“, a w 1849 „Poezye narodowe“. Rownocześnie pisała opowiadania prozą dla ludu: „Przygoda z czartem Janka Magury“, „Dobra pani i dobra sługa.“ Po dziesięcioletniem milczeniu wystąpila znowu r. 1859 z sielanką wierszowaną p. t. „Wiejska rodzina“; w 1867 z dramatem trzyaktowym: „Jadwiga królowa polska“, a w 1879 z poematem: „Apostata“. Te późniejsze jej utwory nie miały już ani znaczenia, ani rozgłosu dawniejszych.

Do grona poetów krakowskich policzyć też należy *Jana Nepomucena Jaśkowskiego* (1807 † 1882), bo jakkolwiek był rodem z Królestwa (z Wąchocka) i tam się wykształcił, krótki okres twórczości swojej od r. 1835—41 spędził przeważnie w Krakowie, a drukował swe poezye to w „Przyjacielu ludu“, to w „Tygodniku literackim” spółcześnie z Wasilewskim i Ży

glińskim. Spokojnego i łagodnego usposobienia, wziął sobie za wzór swego profesora literatury w uniwersytecie, Kazimierza Brodzińskiego, i elegią, na zgon jego napisaną (drukowaną w „Przyjacielu ludu“ 1837 r.) pozyskał duży rozgłos. Utrwalił go „Balladą, jakich wiele“ (1838), przedstawiającą żywo zapóźny żal syna kmiecego, co nabywszy ogłady, wzgardził rodzicami, a gdy wracał z wielkiego świata skruszony, trafił na pogrzeb matki swej—żebraczki. Jak tu, tak i w innych poezyach Jaśkowskiego cel moralizujący silnie się uwydatniał: spółczucie dla ludu stale się przebijało, zamiłowanie prostoty, lekceważenie bogactw widniało wszędzie. Tonu bajronicznego niema w nich ani śladu; autor nawet przez łzy szuka nadziei i pragnie wlać otuchę w serca zbolałe. Podobnie, jak Zakrzewski i Wasilewski nie lubił rozpowszechnionego wielce tonu „żalu i jęku“, a że poeci zazwyczaj składali swą gorycz na wyniki filozoficznego rozpatrywania się w świecie, potępiał mądrość, co „serca nie posili, ani nocy rozjaśni, ani dnia umili“, twierdząc, że do szczęścia na ziemi „trzeba omamienia“. Na wiersz, te myśli zawierający, a zwrócony „Do poetów“, Wasilewski napisał „Od poetów odpowiedź“, stając w obronie „mądrości“, której „owoc najsłodszy z owoców tej ziemi“, i w obronie „prawdy“, która „jak gwiazda swobód błyszczy nam nad czołem.“—Za najpiękniejszy wiersz Jaśkowskiego uważam „Błogosławieństwo polom“, chociaż i w nim więcej jest wymowy niż prawdziwej poezyi.—Jaśkowski ożeniwszy się bogato, zaniechał pisania, lecz szczerze się interesował literaturą i zapisem 30,000 rubli na nagrody dla zasłużonych pisarzy, czynnie to zajęcie się stwierdził. Zbiorek jego „Poezyj“ niezupełny, wyszedł dopiero w r. 1883 (Warszawa), t. j. po zgonie autora.

---

3. Galicya.

X.

Niepomyślne warunki rozwoju literatury, jakie zaznaczyłem w poprzednich okresach w Galicyi, nie tylko w obecnym nie ustały, ale się w pewnej mierze nawet pogorszyły. Rząd austryacki, którego kanclerzem był przewrotny książę Metternich, patrzył nader podejrzliwie na wszelkie objawy żywszego ruchu umysłowego, na wszelką dążność zbliżania się do ludu, oświecania go i uobywatelania. Szkoły i uniwersytet podawnemu były całkiem niemieckie; wszelkie towarzystwa studenckie, choćby w celu spólnego czytania książek, były surowo zabronione; a gdy je odkryto, młodzież szła do więzień. Nie zrażało to jej bardzo i nigdy zapewne nie było więcej między nią związków, rozpraszanych i znowu skupiających się co w tej właśnie dobie. Istniały i rozleglejsze stowarzyszenia, mające na celu szerzenie oświaty wśród warstw miejskich i wiejskich. Największem, najbardziej rozpowszechnionem było „Stowarzyszenie ludu polskiego", utworzone głównie przez Seweryna Goszczyńskiego, przy spółdziałaniu Leona Zienkowicza i Leslawa Łukaszewicza. Tą drogą przedostawały się do Galicyi idee i zamiary Towarzystwa demokratycznego we Francyi. Demokratyzowało się powoli społeczeństwo galicyjskie; młodzież kształcąca się była wogóle po stronie tego kierunku, a chociaż możne rody w Galicyi, podobnie jak na Wołyniu, wyodrębniały się swemi pojęciami, wpływ ich na umysłowość był wtedy nadzwyczaj szczupły, zwłaszcza, że i pomiędzy niemi znajdowały się jednostki, wyznające zasadę równości politycznej wszystkich stanów. Propaganda demokratyczna została strasznie przez rząd austryacki wyzyskaną; rzeź galicyjska w lutym 1846 roku nie tylko zniszczyła kraj materyalnie, nie tylko wydarła mu wiele rozumnych i za-

cnych osobistości, ale zaszkodziła i samemu kierunkowi demokratycznemu. Bezowocnem jednak działania demokratów nazwać nie można; ono to spowodowało rząd austryacki w roku rewolucyjnym 1848 do podjęcia i przeprowadzenia sprawy usamowolnienia ludu i nadania mu własności.

Nauka polska miała w Galicyi główne ognisko w otwartym r. 1827 dla użytku powszechnego „Zakładzie narodowym imienia Ossolińskich". Pierwszy jej dyrektor, ksiądz *Franciszek Siarczyński* († 1829), nader pracowity badacz dziejowy, zaczął już w roku 1828 wydawać „Czasopism naukowy księgozbioru publicznego imienia Ossolińskich" w zeszytach kwartalnych; a jego następca, *Konstanty Słotwiński* († 1846), prócz ogłaszania czasopisma w dalszym ciągu, urozmaiconego wprowadzeniem działu poezyi, otworzył drukarnię, a w r. 1833 czytelnię publiczną przy Zakładzie. Trwała ona krótko, bo tylko dwa lata; rząd austryacki usunął, a potem uwięził dyrektora i aż do r. 1839 nie zgadzał się na zatwierdzenie nowego. Dopiero w tej dacie pozyskał jego aprobatę *Adam Kłodziński* († 1858), który położył wielkie zasługi około uporządkowania wszystkich spraw tej instytucyi. On też wskrzesił wydawnictwo i od r. 1842 do 1848 p. t. „Biblioteka naukowego zakładu im. Ossolińskich, pismo poświęcone dziejom, bibliografii, rozprawom i wiadomościom naukowym" ogłosił 12 tomów i 16 zeszytów, koszta pokrywając z własnej kieszeni. Za jego też czasów odbywały się w zakładzie wieczory literackie, gromadzące całą ówczesną inteligencyę lwowską i stanowiące ważną dobę w rozwoju życia nadpełtwiańskiej stolicy, zwłaszcza gdy w r. 1847 i 1848 duszą ich stał się Wincenty Pol, oddziaływujący wogóle silnie nietylko na młodzież, lecz i na starszych.

Zanim to nastąpiło, ukazywały się wcześniej próby ożywienia ruchu literackiego.

Próby te powstały tu głównie pod wpływem

pism Adama Czarnockiego (Zoryana Dołęgi Chodakowskiego) i Kazimierza Brodzińskiego, a zmierzały do wytworzenia literatury „narodowej“ (jako przeciwieństwa naśladowniczej) na tle ludowem i słowiańskiem. Nigdzie tak gorliwie nie zabrano się do spisywania pieśni ludowych, i nigdzie w tym okresie tak obfitego nie zgromadzono plonu. Wyobrazicielem tej strony ruchu był *Wacław Zaleski* (1800 † 1849), późniejszy chwilowy gubernator Galicyi. Ukończywszy uniwersytet lwowski, oddawał się początkowo matematyce i był nawet przez jakiś czas zastępcą profesora tego przedmiotu; ale zamiłowania literackie przeważyły. Od r. 1826 zaczął pomieszczać w „Rozmaitościach“, jedynem wtedy czasopiśmie niby-literackiem we Lwowie, oceny estetyczno-krytyczne, dotyczące teatru, powieści, poezyi. Pragnął zwrócić uwagę ogółu polskiego na literaturę czeską i w kilku artykułach wykazywał jej znaczenie i doniosłość. Obrawszy niebawem zawód urzędniczy, znalazł się od r. 1828 w Sączu. Tu postanowił doprowadzić do skutku dawniej już powzięty zamiar ogłoszenia pieśni ludowych. W całej Galicyi zbierano je dla niego z wielkim nieraz trudem. W r. 1833 Zaleski pod kryptonimem *Wacława z Oleska*, wydał gruby tom p. t. „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego, z muzyką instrumentową przez Karola Lipińskiego.“ Część pierwsza obejmuje tekst, druga—nuty. Pierwszy to był u nas zbiór poważny zabytków twórczości ludowej; od niego dopiero zaczyna się gorączkowa na tem polu praca we wszystkich prowincyach i to mu nadaje pierwszorzędne znaczenie.

Za przykładem Zaleskiego poszedł w Galicyi *Żegota Pauli* (1814 † 1895), niezmordowany a wielce sumienny zbieracz wszystkiego, co się do przeszłości krajowej odnosiło. Ogłosił on w r. 1838 we Lwowie „Pieśni ludu polskiego w Galicyi“ a w r. 1839—40 „Pieśni ludu ruskiego w Galicyi“, równocześnie wydając „Starożytności galicyjskie“.

XI.

Zaleski był inicyatorem zwrotu ludowo-słowiańskiego, ale do ugruntowania tego zwrotu, do skupienia sił literackich w Galicyi po r. 1831, do rozbudzenia umysłów najwięcej się przyczynili: August Bielowski i Józef hr. Borkowski, obaj z Pokucia rodem.

AUGUST BIELOWSKI (1806 † 1876), urodzony we Wsi Kruchowie, w ubogim stanie, wykształcenie pobierał w Stanisławowie, Buczaczu i Lwowie, gdzie się zaznajomił z *Józefem hr. Borkowskim* (1809†1843), młodszym o trzy lata od siebie, ale więcej już znającym świat, gdyż od r. 1818 do 1822 przebywał w Warszawie, kształcąc się to u pijarów, to w liceum, odwiedzając Niemcewicza, Brodzińskiego i ochoczo przysłuchując się ich rozmowom. Wcześnie rozwinięty i oczytany, przyswoiwszy sobie poglądy, zawarte w rozprawie Brodzińskiego „O klasyczności i romantyczności“, znający poezye Schillera i Goethego, mogąc, jako zamożny, sprowadzać wszystkie nowości, Borkowski za przybyciem do Lwowa, zaczął wkoło siebie gromadzić młodzież, którą umiał sobie pozyskać zajmującą rozmową, dobrocią i uczynnością. Bielowski należał do najbliższych jego przyjaciół i wspólnie z nim dążył do wytworzenia literatury narodowej, uważając, że nawet „Konrad Wallenrod“ Mickiewicza niewiele w sobie pierwiastku tego posiada.

Niebawem do tego kółka przyłączył się *Ludwik Nabielak* (1804 † 1883), który bardzo silnie przejął się potrzebą poznania starożytnych zabytków poezyi słowiańskiej i przyswojenia ich naszemu językowi. Na „Królodworski rękopism“ zwrócono przedewszystkiem uwagę, uważając go za niewątpliwy pomnik starożytnej literatury czeskiej; następnie zaś zaczęto się zachwycać poematem ruskim: „Słowo o Pułku Igora“, i na pieśni serbskie, ogłoszone przez Wuka



August Bielowski.

Karadzicza. Ażeby zachować zupełną wierność, Nabielak przetłomaczył te utwory wierszem nierymowym, a ogłaszając część ich (z „Królodw. rękopismu“) w piśmie zbiorowem: „Haliczanin“, wydanem r. 1830 we Lwowie przez *Walentego Chlędowskiego*, poprzedził te „Zabytki starożytnej poezyi sławiańskiej“ przedmową, która była niewątpliwie wyrazem przekonań całego kółka.

„Trzy są — pisał Nabielak, rozwijając zasadnicze myśli Brodzińskiego — źródła do czerpania czystych pojęć o narodowości, a użytkując z takowych w wykonywającej sztuce, do tworzenia dzieł prawdziwie narodowych. Pierwsze, już nam znajome i z pomyślnym używane skutkiem, stanowią *podania* i *pieśni gminne*. Źródło to, pomimo obfitości swojej, nie jest jednak samo przez się dostateczne, i jak pewną jedynie liczbę wyobrażeń narodowych dostarcza, tak pomaga tylko szczególnie jednej części poezyi, gminną zwanej, która oddzielnie uprawiana, szczupłą tylko cząstkę ogólnej literatury narodu stanowi. Drugiem źródłem do przyswojenia sobie cechy narodowej w dążeniu poetycznem jest *badanie ducha narodu z jego dziejów przeszłych i położenia obecnego*. Jest ono niezbędne do wszelkich większego rodzaju utworów, szczególnie dramatycznych, gdzie wprawdzie człowiek z swemi namiętnościami zawsze ten sam pozostanie, ale jednak usposobienie czasowe i charakter narodowy co do panującego ducha i dążności, w każdym wieku oddzielnym go od ludzi innych wieków i narodów czyni. Trzeciem nakoniec źródłem, mniej może jeszcze od poprzedzającego używanem, są *starożytne zabytki poetyczne rozmaitych pokoleń sławiańskich*... Kiedy nieszczęśliwem jakiemś zdarzeniem losu, nie posiadamy z dawniejszych czasów żadnych prawie własnych poetycznych zabytków, któreby nas z tego względu z innymi narodami w równi stawiały i pewny w dalszem dążeniu wskazywały kierunek, zdaje mi się, iż przyswojeniem pobratymczych sło-

wiańskich poniekąd przynajmniej brakowi temu zapobiedz możemy... We wszystkich tych zabytkach żyje duch prawdziwie wielki, poezya silna i męska, zawsze barwę świeżości mająca, co już samo do bliższego onych rozpoznania jest dostatecznem. Ale my, zważając na czas, z którego te zabytki pochodzą, nie możemy im bliższego jeszcze ku nam stosunku zaprzeczyć. Jest bowiem rzeczą niewątpliwą, iż im dalej cofniemy się wstecz do źródła, z którego wszystkie narody sławiańskie pochodzą, tem oczywistszą między niemi tak języka i wyobrażeń, jako i dziejów, znajdziemy spólność, że w końcu wszelka między niemi różnica zniknąć musi. Stąd pochodzi, iż języki, w których starożytne zabytki sławiańskich narodów są pisane, tak wielkie mają między sobą podobieństwo; a bezwątpienia i język polski z owych wieków znaczniej był do nich zbliżony, niżeli to dotąd wykazanem zostało. *Co się zaś ducha poetycznego tyczy, myślę, iż gdybyśmy własne zabytki z owych wieków posiadali, te tymże samym, albo mało co odmiennym duchem musiałyby się zalecać.*"

W ten sposób uzasadniwszy potrzebę zajęcia się starożytnymi utworami słowiańskimi, Nabielak ostrzega, że przy ich czytaniu inaczej się nastroić należy, aniżeli przy czytaniu dzieł spółczesnych. Tu, t. j. w poematach starożytnych słowiańskich, „trzeba się przenieść myślą w odległe czasy, a nadewszystko nie spuszczać z pamięci, iż nie piękności i myśli naszego wieku w nich szukamy, ale znamion, któreby nam przyrodzony narodu charakter, jego ducha i pierwotną dążność wskazywały. Kiedy bowiem w powstającem młodzieńczem uczuciu naród wydał pierwszą pieśń z natchnionego łona, w takowej pieśni musiał się cały jego charakter odbić, cała dusza objawić; bo duch jego, niewięziony przyjętemi formy, ani przykładem w sprzeczną drogę wiedziony — swobodny i najwłaściwszy swemu charakterowi mógł przyjąć kierunek. Niemałym to wprawdzie przedziałem czasu

odgrodzone są te zabytki od naszego wieku; ale choćby i najobszerniej rozrodził się naród, choćby i najdalej odsunął się od swego źródła, nigdy jednak pierwotnych cech zupełnie w sobie zatrzeć nie zdoła. Naszą jest tylko rzeczą rozpatrywać się w jego duchu, śledzić kierunek dążności, a do pierwotnych barw i zarysów dodawać te, któreśmy na czasie i sprzyjających nam okolicznościach zdobyli."

Ten program unarodowienia poezyi swojskiej spełniając, przyjaciele podzielili niejako prace między sobą w „Haliczaninie". Kiedy Nabielak podawał tłomaczenie pieśni „Rękopismu królodworskiego", Bielowski drukował przeróbki podań i pieśni ukraińskich i serbskich („Trójziele", „Wołoska dziewica"), albo też zwracał się do bóstw pogańskiej Słowiańszczyzny, to bolejąc nad teraźniejszością („Klechda"), to prosząc je, by ją nowem życiem natchnęły („Ziewonia" bogini, ożywiająca wszelkie istoty):

Bóstwo żywota! obudź moich braci,
Niech zabrzmią pieśnią sławiańską po świecie
I dawne bogi i ojczyste dzieje.
Może i ona twym ogniem roztleje,
Wróci i wolność i niebo poecie,
Niewolę życiem, świat rajem odpłaci.

Józef Borkowski w tymże „Haliczaninie" zajął się upoetyzowaniem w stylu jeszcze klasycznym, dopiero co minionej przeszłości, a pisząc wiersz „Na śmierć Jana Pawła Woronicza", bolał nad tem, że:

Majtek po majtku nawy sterowniczej ginie,
Wali się cedr po cedrze na naszym Libanie,
Raz wraz z pośród nas ciągną w grobowe otchłanie
Strażniki narodowej arki wiekopomne,
Świętego ognia Westy kapłany niezłomne...

A jako znawca języka nowogreckiego krytycznie rozpatrywał przekład pieśni gminnych nowogreckich, ogłoszony przez Aleksandra Chodźkę.

Brat Józefa, *Leszek* (*Aleksander*) *hr. Borkowski* (1810 † 1893), w temże piśmie spółdziałał w podobnym duchu, drukując pierwszy swój poemacik p. t. „Kozak", opiewający wzajemną miłość tatarki i kozaka, obszerną balladę, na podaniu szwedzkiem osnutą p. t. „Robaczek", oraz entuzyastyczny hymn na cześć „Poezyi," gdzie mówiąc o jej charakterze u różnych narodów, wołał między innemi:

Czcijmy ją! Ona drogie nam pamiątki,
Do których lgniemy i czuciem i myślą,
Ona nam święte sławiańszczyzny szczątki,
Które przeszłości złoty obraz kréślą,
Na swojem łonie nanowo odradza,
I jak sny ranne, jak wiosny marzenia,
W natchnione dusze śmiertelnych sprowadza,
Pokrzepia serca, cnoty rozplemienia...

Nastąpił rok 1830/31. Nabielak nie mógł dalej bawić w Galicyi, a okoliczności życia jego tak się złożyły, że pomimo najszczerszej chęci, nie zdołał już wziąć udziału w ruchu literackim, któremu przyjaciele jego przewodzili. Bielowski stał się wtedy przez lat kilkanaście najwytrwalszym budzicielem życia duchowego. Nie mając pod ręką przekładu „Pieśni o pułku Igora", pióra Nabielaka, sam go dokonał i prozą i wierszem, starając się nadać i językowi i stylowi cechę archaiczno-słowiańską. Tłomaczenie to wyszło z początkiem r. 1833 i obudziło żywe zajęcie wśród literatów.

W tym właśnie czasie zaglądał do Lwowa Seweryn Goszczyński i najzupełniej, jak wiemy, podziełał poglądy kółka lwowskiego na sprawę unarodowienia poezyi. Przybył także *Lucyan Siemieński* (1807 † 1877) i *Dominik Magnuszewski* (1810 † 1845). Przy ich to współudziale postanowił Bielowski wydać noworocznik, skupiający siły literackie Rusi Czerwonej. Wydawnictwu temu dał napis; „Ziewonia", przypominający wiersz jego z r. 1830 i będący symbolem

odżycia po latach apatyi. Na rok 1834 „Ziewonia“ przyniosła „Sobótkę“ Goszczyńskiego, wyjątki z jego Dziennika podróży po zachodniej części Galicyi, przekłady pieśni i dumek ukraińskich pióra Bielowskiego, opowiadanie fantystyczne na tle dziejowem Lucyana Siemieńskiego p. t. „Cień królowej Barbary“, oraz kilka „dum“, przełożonych przezeń z „Rękopismu królodworskiego“. Magnuszewski dał wyjątek z poematu „Młodzieniec“, oraz powiastkę historyczną, językiem staropolskim pisaną, p. t. „Guy-du-Faur“. Obaj Borkowscy dostarczyli sporo pieśni, lub obrazków. Wszystko tchnęło tu swojskością z zabarwieniem słowiańskiem. „Odznaczała się nadto „*Ziewonia*“ bogactwem stylu, czystością i pięknością języka, niespotykaną przedtem w utworach pisarzy galicyjskich, nawet najlepszych. Widocznie był to język skąpany w nowych źródłach, wyrobiony częścią na pisarzach Zygmuntowskich, częścią z pieśni gminnej i narzecza ludowego czerpiący wdzięk i koloryt, tudzież wiele nowych, czysto rodzimych wyrażeń i zwrotów, którymi młodzi pisarze wzbogacili skarbiec języka książkowego. Niemałą to było zasługą „*Ziewonii*,“ że odsłoniła jakby świat nowy pod tym względem czytającej publiczności. Młodzi jej autorowie rozwinęli język i umieli zeń wydobyć najwdzięczniejsze tony, naginające się harmonijnie dla wyrażenia najdrobniejszych odcieni uczucia i fantazyi“ [1]).

Niebawem przygotowano tom drugi „Ziewonii“ na r. 1835, ale niepodobna było uzyskać pozwolenia na druk jego we Lwowie; upłynęło trzy lata i dopiero na r. 1838 zdołano go wydać w Pradze, lecz i teraz cenzura lwowska skonfiskowała wydawnictwo; przedrukowano je r. 1839 w Strasburgu. Zapełnili je ci sami autorowie, co i rocznik pierwszy. Gosz-

---

[1]) Władysław Zawadzki: Literatura w Galicyi, Lwów 1877 r.

czyński dał kilka poezyj lirycznych i powiastkę poetycką „Piotr Pszonka Jasieńczyk"; Magnuszewski — „Schadzkę artystów" i „Uwagi nad dramatem polskim"; Bielowski rzecz o „Piśmiennictwie Sławian", Siemieński dwie powiastki: „Ogrody i poeci", gdzie występował Trembecki, Szczęsny Potocki i chłopak ukraiński, śpiewający dumkę, przeciw naczelnikowi Targowicy wymierzoną,—oraz zabawnego „Królewicza Arakańskiego w Galicyi"; Józef Borkowski kilka wierszy, z których najpiękniejszym była „Kobieta".

Jakkolwiek jednak interesująco się przedstawiały wszystkie artykuły, najżywszą na siebie uwagę zwróciły dwie „dumy historyczne" polskie, wyśpiewane na wzór owych sławionych „starożytnych zabytków sławiańskich." Chociaż miały to samo zadanie, co „Śpiewy" Niemcewicza, były ich zupełnem przeciwstawieniem pod względem artystycznym. Chodziło tu o zupełne przeniesienie się nie tylko myślą, lecz także uczuciem i fantazyą w czasy minione, poślubienie ich wyobrażeń, zwyczajów, przesądów i zabobonów, oraz o odtworzenie tak pojętej epoki w formie archaicznej, mniej więcej zbliżonej powagą, prostotą i swojskością do chwil zamierzchłych, kiedy się działy opowiadane wypadki, kiedy żyli opiewani ludzie. Powiodło się to najzupełniej Augustowi Bielowskiemu w „Pieśni o Henryku Pobożnym", stanowiącym najlepszy jego poetycki utwór. Wzorując się głównie na przełożonem przez siebie „Słowie o pułku Igora", oddał z niepospolitym talentem zarówno dzielność rycerzy, broniących chrześcijaństwa, jak popłoch wzniecony strasznemi, bo niewidzianemi dotychczas twarzami dzikich Tatarów; a obok tego nie zaniedbał odtworzyć wewnętrznego życia duchowego w XIII wieku, w wieku „świętych polskich", a więc ascetyzmu i zupełnego oddania się na wolę bożą. Powiedziałbym nawet, że ta właśnie strona—obraz rodziny Piastów, szukającej schronienia w klasztorze krośnieńskim, modlącej się i poszczącej, a przyjmującej z re-

zygnacyą wieść o klęsce, o śmierci walecznej Henryka i jego drużyny, świetniej się przedstawia, aniżeli walka cręźna. Zgodnie z tym religijnym nastrojem zakończył poeta obrazem duchowego zwycięstwa, odniesionego nad wrogiem wiary, bo oto do dziś dnia trwa świątynia, a w niej nieśmiertelny posąg bohatera. Bielowski przejął się serdecznie nastrojem XIII wieku, zżył się z nim zupełnie i stworzył rzecz prawdziwie piękną.

Nie tak się powiodło Siemieńskiemu w dumie p. t. „Trąby w Dnieprze“, opowiadającej podanie o wpuszczeniu w Dniepr przez Bolesława Chrobrego czterech wielkich surm, wyglądających jako „słupy chramu w Retrze“, i o ukaraniu czarnoksiężnika Błuda. Autor zewnętrznie tylko przeniósł się w początki wieku XI; przybrał archaiczną prostotę i archaiczny język, ale opowiadając zdarzenie, nie potrafił w niem doszukać się takich serdecznych tonów, coby nas wzruszyć zdołały. W zwrotach i kompozycyi wzorował się na bohaterskich pieśniach „Rękopismu królodworskiego“, który ładnie przetłomaczył i r. 1836 w Krakowie drukiem ogłosił.

Równocześnie z drugim tomem „Ziewonii“ puszczono w świat inny zbiorek jako niby „Prace literackie Józefa hr. Borkowskiego“ (1838, Wiedeń). Borkowski dał tu rozprawę o „Języku łowieckim polskim,“ oraz pierwsze u nas „gazele”, formę sztuczną, naśladowaną z poezyi perskiej [1]). Brat jego, Leszek,

---

[1]) W roku 1819 podał o Hafizie wiadomość Jan hr. Tarnowski w dziełku: „Badania historyczne, jaki wpływ mieć mogły mniemania i literatura ludów wschodnich na ludy zachodnie, szczególniej we względzie poezyi“ (Warszawa); on też przytoczył tu w oryginale (w transkrypcyi francuskiej Jobert'a) całą jedną gazelę Hafiza, uwydatniając sposób rymowania i dołączając polski jej przekład prozą. W przekładzie tem powtarzanie tych samych wyrazów w końcu pierwszego dwuwiersza i co drugi wiersz w następnych zostało zachowane, lecz asonancya środkowa, lub rym nie były uwzględnione. W roku następnym

ogłosił tu niezbyt udatny swój poemacik „Orły z Herburtów“, osnuty na podaniu ludowem, jakoby Herburtowie po śmierci przemieniali się w orły. Bielowski pomieścił przekłady „Pieśni serbskich“, Magnuszewski zaś najlepszą swą powieść historyczną: „Zemsta panny Urszuli.“

Ostatniem wreszcie spólnem wydawnictwem tego kółka „poetów czerwono-ruskich” było „Album na pogorzelców“ rzeszowskich r. 1844, rozprzedane drogą prenumeraty w nadzwyczajnej na owe czasy ilości egzemplarzy.

Józef Borkowski, który pierwszy dał pochop do tej pracy zbiorowej, nie doczekał się ukończenia jej w druku; zmarł na suchoty. Nie tem, co napisał, zasłużył się głównie literaturze naszej, ale tem, że rzutkością, pomysłowością i majątkiem swoim w przeważnej mierze przyczynił się do wywołania i podtrzymania ruchu literackiego wśród nader ciężkich warunków życia galicyjskiego. Z jego śmiercią kółko, które przez lat 14 spólnie pracowało, uszczuplone już poprzednio ubyciem Siemieńskiego, co w inne strony wędrować musiał, rozprzęgło się zupełnie; każdy odtąd poszedł własną drogą.

Bielowski, zaniechawszy poezyi, oddał się całkowicie badaniom historycznym i miał z czasem zo-

---

Józef Sękowski w „Dzienniku Wileńskim“ (I, 257—272) pomieścił artykuł p. t. „Diwani Chodża Hafyz Szirazi“, w którym prócz życiorysu i oceny, podał także ładny przekład 3 „gazelów“ Hafiza prozą, oczywiście bez zachowania znamiennych cech formy. Jan Wiernikowski, niegdyś kolega Mickiewicza w uniwersytecie wileńskim, dał w „Noworoczniku litewskim na rok 1831“ (Wilno 1830) tłomaczenie innej gazeli Hafiza z oryginału, wyjaśnił także jej budowę, lecz nie zachował tej budowy, używając zwykłej naszej wrotki *czterowierszowej* z rymami przekładanymi. Borkowski gazele swoje, zarówno krótsze jak dłuższe (ogółem 8), uczynił zarówno pod względem nastroju, jak i formy podobnymi do gazel Hafiza; lecz asonancyi w środku dwuwierszy nie uwydatniał i umieszczenia swego nazwiska w końcu gazeli zaniechał.



J. Siemieński

Zostawiam kochanemu Panu
serdeczne pożegnanie, a oraz
i prośbę o łaskawe wręczenie
dołączonego tu listu do
Artyleryi pamiętam i nie zawsze
mi przyszło go przed wyjazdem
moim do wid. Żegnam
kochanego pana pełen szacunku.

Iliński

N. 15

(Ze zbiorów Biblioteki Ordynacyi hr. Krasińskich).

stać jednym z najpoważniejszych w tej dziedzinie autorów, a choć fantazya nieraz mu w poszukiwaniach bróździła, nasuwając domysły o początkach Polski, nie dające się dowieść, tworząc nowych kronikarzy z jakiegoś niewyraźnie napisanego słowa; to w końcu przecież przemógł on tę „łgarkę" i zapoczątkował nowy okres w rozwoju dziejopisarstwa, podejmując *krytyczne* wydanie „Pomników dziejowych" (*Monumenta Poloniae historica*).

Leszek hr. Borkowski porzucił wiersze także, a zwrócił się do satyry w prozie, wyśmiewając i karcąc wady lub nikczemności tego stanu uprzywilejowanego, który w Galicyi szczególniej puszyć się lubił. Sam należąc z nazwiska do tej warstwy, nie mógł być posądzony o zmyślanie rzeczy niebywałych, ale nie uniknął przykrości i prześladowania za śmiałe zdjęcie zasłony z kasty, żyjącej pozorami. Satyrę swoją nazwał „Parafiańszczyzną" (1-szy tom 1843 we Wrocławiu, 2-gi 1849 w Poznaniu). Parafianami nazwał wszystkich, co ślepo naśladują jakiśkolwiek wzór, nie mając ani odrobiny samoistności w myślach, uczuciach i postępkach; „parafiaństwo—mówi on—dowodzi najlepiej blizkiego pokrewieństwa rodzaju ludzkiego z małpim, bo jest małpiarstwem. Małpy są parafianami, a parafianie—małpami". Otóż te objawy tego parafiaństwa na tak zwanym „wielkim świecie" lwowskim wychłostał Leszek, przedstawiając niedorzeczności etykiety i mody, zależność postępowania od jakiejś „grande-damy", co sobie ton nadać umiała, lekceważenie stanów niższych, zgangrenowanie stosunków rodzinnych przy zachowaniu moralnych pozorów, płytkość i obłudę w pobożności, bałwochwalczo zabarwionej i t. d. W pierwszym tomie niektóre tylko ustępy miały doniosłość wielkiej satyry społecznej (Miłostki i pobożność wielkiego świata), ale i te z pewnym spokojem były kreślone; dopiero w drugim podniósł autor ton swego wystą-

pienia, a w piorunująco napisanej przedmowie stanął na wyżynach publicysty narodowego. O artyzm się nie starał, dowcipem się nie popisywał, chociaż miał go sporą dozę; ale dotknięcie jątrzących ran sprawiło, że książka jego osiągnęła rozgłos olbrzymi, wywołała protesty i groźby. Nieraz potem jeszcze Leszek, który dożył sędziwej starości, zabierał głos w sprawach publicznych, lecz nigdy już nie wywołał takiego wrażenia, jak „Parafiańszczyzną". Dodać winienem, że w wolnomyślności swojej szedł dalej, aniżeli którykolwiek z jego przyjaciół; zbliżał się w tym względzie do Wojkowskich, powstawał na obrządki „przeciwne poleceniom Chrystusa, zwyczajom pierwszych chrześcijan i wykładom ojców kościoła, a rażące rozum, ułatwiające pozorowość, wszczepiające obłudę, gaszące ducha i tłumiące pobożność"; nie wierzył „w mnogość bogów, w świętość papieża, w skuteczność postów i odpustów, w potrzebność mnichów, w użyteczność malowanych i rzezanych bałwanów"... Na sejmie austryackim w pamiętnym roku 1848 wytrwale reprezentował dążności demokratyczne i szczerze konstytucyjne, a krótkie jego dzieje opisał dobitnie, stylem wzorowanym na pismach Mochnackiego, i wydał w 2 tomikach w Poznaniu r. 1849 i 1850 p. t. „Sejm ustawodawczy rakuski ze szczególną uwagą na poselstwo polskie."

Lucyan Siemieński, bawiąc to w Strasburgu, to w W. Ks. Poznańskiem, pisał w dalszym ciągu poezye i powiastki, wyznawał wciąż zasady demokratyczne aż do końca r. 1848, kiedy przeszedł do obozu zachowawczego i kiedy jako krytyk estetyczny zaczął występować. Twórcą nie był; pomysły brał czy ze zdarzeń rzeczywistych, czy wprost z innych autorów; obrabiał je lekko, swobodnie, pisał językiem szczeropolskim, stylem płynnym, potoczystym. Jego poezye większe czy mniejsze („Świtezianka", „Potrzeba warneńska" i t. p.) są chłodnemi kombinacyami artysty, ale nie natchnieniami poety. Jego po-

wiastki, skupione w dwu zbiorach: „Muzamerit, czyli powieści przy blasku księżyca“ (1845, Poznań) i „Wieczornice“ (1853 Petersburg), nie posiadają głębi psychologicznej i starannej charakterystyki, i w większej swej części są anegdotami tylko, w sposób gawędziarski rozwleczonemi. Jako poeta najwięcej się przysłużył literaturze swymi przekładami czy to pieśni bretońskich i skandynawskich (1842), czy Odysei Homera (rozpoczętej w r. 1845, ukończonej 1874), czy wreszcie ód Horacyusza (1869). Jako prozaik zyskał gorące a szczere uznanie za swe „Wieczory pod Lipą“, (1845) będące popularnem opowiadaniem dziejów Polski. I tu wzór wziął sobie z „Pielgrzyma w Dobromilu“, lecz go i znajomością rzeczy i talentem pisarskim, i ciepłem uczucia niezmiernie przewyższył. Jako o krytyku wspomnę o nim jeszcze w okresie następnym.

XII.

Za największego poetę grona „czerwono-ruskiego“ poczytywany był Dominik Magnuszewski. Jak niegdyś go przeceniano, tak obecnie zanadto go poniżono. Według mnie, jest on najwybitniejszym przedstawicielem „wybujałego romantyzmu“, wielbiącego nadewszystko potęgę natchnienia i siłę uczucia w przeciwstawieniu do suchego analitycznego rozumu. Niespokojność i chorobliwa rzutkość wyobraźni i gwałtowne, niczem niekrępowane uniesienia serca; zamiłowanie w rażących kontrastach, w jaskrawym kolorycie, w stylu niezwykłym, który czasami aż niezrozumiałym się stawał, a wreszcie głęboka dla gramatyki pogarda: oto najogólniejsze cechy owego wybujania romantyki. Nie było tu jednak wstrętu do klasycyzmu starożytnego, a mianowicie do pomysłów mitologii helleńskiej. Istnieli wprawdzie i tacy, w znacznej nawet liczbie; lecz wstręt ich pochodził zazwy-

czaj z nieznajomości greckich mitów w pierwotnej ich barwie. Ci jednak, co odebrali wyższe wykształcenie, co znali przynajmniej w oryginale Goethego, Schillera lub Platena, posługiwali się, niekiedy nawet z pewną ostentacyą, formami helleńskiemi. W pismach Magnuszewskiego znajduje się wiersz z podań greckich wzięty, p. n. „Dwaj bracia z Katany", opiewający poświęcenie się Anapiusza i Amfinoma, co ocalenie rodziców na barkach swoich przypłacili własnem życiem... Najmniej stosunkowo przesady i gonienia za nowością pomysłów i wyrażeń jest właśnie w poezyach jego lirycznych. Wiele z nich nie budzi wprawdzie silnego spółczucia w czytelniku, nie rozrzewnia go i smutkiem nie przejmuje; ale dają się one przynajmniej czytać bez wstrętu; a jeden nawet wiersz: „Do matki" prosty jest i szczery i piękny istotnie. Smutek charakteryzuje wszystkie niemal liryki Magnuszewskiego; goryczy jednak bajronicznej w nich się nie dopatrzyć. Przyczyn smutku, prócz ogólnikowego rozczarowania z powodu marności świata, poeta nie podaje, ale wiedząc, że bardzo młodo stracił matkę, że przebył bolesną katastrofę krajową, rozumiemy ten niewesoły nastrój uczucia, który naówczas w umysłach wyższych i sercach szlachetniejszych był tłem życia całego. A dodać jeszcze trzeba, że w lirykach tych niema wcale właściwych pieśni miłosnych, które spółcześni mu maluczcy rymopisarze tak rozpaczliwemi i tak dla nas nudnemi napełniali westchnieniami i wykrzyknikami. Uczucia rodzinne i ogólno-narodowe są ich głównym żywiołem.

Ówczesny wstręt romantyków do analizy rozumowej i mądrości książkowej wypowiedział Magnuszewski głosem jeszcze niewprawnym, w wyjątku z poematu „Młodzieniec", gdzie w formie dyalogowej rozwinął, a raczej rozcieńczył tylko myśli rzucone niegdyś przez Mickiewicza w wierszu: „Romantyczność", w „Odzie do młodości" i w „Pieśni Filare-



Seweryn Goszczyński

tów". Zastosowanie zaś tych myśli do sfery twórczości poetyckiej mamy w „Mistrzu", gdzie obok szyderstwa rzuconego poetom i krytykom klasycznym w Warszawie, czytamy słowa uwielbienia dla Mickiewicza, Malczewskiego i Chodakowskiego, z wezwaniem młodych do uprawiania niwy pieśni słowiańskiej.

Wielbiono niegdyś „Niewiastę polską w trzech wiekach" (1843, Poznań), gdzie Magnuszewski chciał przedstawić zmiany, jakim w ciągu dziejowego życia narodu ulegały: usposobienie, ukształcenie, charakter, dążność i stanowisko kobiety. Wybrał w tym celu trzy chwile historyczne i na ich tle nakreślił jedną lub kilka postaci niewieścich. Pierwsza chwila — to czasy Bolesława Śmiałego, kiedy to według podania żony sprzeniewierzyły się mężom, zbyt długo na wyprawie kijowskiej bawiących. Żona półbałwochwalczego Lacha ma chuć, ale ma i serce, które pod wpływem nauk chrześcijańskich zaczyna doznawać uczucia wstydu. „Daleko jej jeszcze do wewnętrznych walk ze sobą; czyn u niej bliższy zachęcenia, chuć u niej pierwsza *jak* niebo, bo i w jej niebie, jeszcze chuci obrazy. Pieszczoty jej do męża rwą się nie wywołane, lecz wywołujące, niestrzeżone, niebaczne; tryumfem jej — skradziona chwila od konia i walki. Ona błędów nie zna, ino zbrodnie. Pierś jej nie wzdycha, ale piszczy jak źrebiec w stajence." Takie trzy kobiety zarysował Magnuszewski w powiastce: „Krwawy chrzest". Są to Swatocha, Helżbieta i Helgunda. Właściwie jednak głównie Swatochą autor się zajmuje i, według obranego planu, zaznacza jej „chuć", przeciwstawiając dzielny, dziki opór naciskowi napastnika w Małgorzacie z Zębocina. Zemsta, dokonana na niewiernych żonach, a przedewszystkiem na Swatosze, uwielbienie okazane dla Małgorzaty kończą tę drobną powiastkę, w której Magnuszewski tyle nagromadził potworności i przesady, że aż ją wstrętną uczynił. Ludzie tu—nie ludzie, lecz bestye

jakieś rozjuszone, rozmowy—nie rozmowy, lecz drganie dźwięków gardłowych; opisy — nie opisy, lecz dziwaczne i niesmaczne przenośnie. Jest to coś w rodzaju „Hana Islandzkiego“ Wiktora Hugo, tylko w miniaturze. Obrazy nienaturalne, mające niby malować dzikość XI wieku, styl goniący za nadzwyczajnością, uosabiający martwe przedmioty, język pokaleczony, nibyto archaistyczny, a rażący w gruncie, najniedorzeczniejszymi zapełniony neologizmami, sprawiają, że „Krwawy Chrzest“ uważam za najpotworniejszą rzecz Magnuszewskiego.— W drugim okresie dziejów kobiety starał się poeta odmalować wpływ włoskiej dworności na zakonną pobożność Polek i stworzył „Barbarę Radziwiłłównę jeszcze Gasztołdową żonę.“ Jest to dramat drobnych intryg, prowadzonych głównie przez królową Bonę i przez trefnisia Stańczyka. Bona chciałaby jaknajdłużej utrzymać Zygmunta Augusta w stanie małoletności duchowej; nastręcza mu sama dwie Włoszki, ażeby go od spraw publicznych pieszczotami swemi odrywały; potem chciała ku temuż celowi skierować jego skłonność do Barbary; ale gdy skłonność zamieniła się na miłość, używa trucizny dla pozbycia się nieproszonej i nieżądanej synowej. Wszystkie wypadki dramatu następują po sobie nie w skutek wewnętrznej przyczynowości, lecz albo zupełnie przypadkowo, albo wskutek podsłuchania i tym podobnych sztuczek zakulisowych. Budowa dramatu wykazuje przeważny wpływ Wiktora Hugo. Jaskrawe kontrasty, np. oświadczyny miłości Barbary przy łożu umierającego męża, uosobienie głębokiego rozumu i szlachetnych uczuć w osobie trefnisia; sytuacye niespodziewane wcale, a obrachowane na efekt, porównania dzikie lub niemożliwe są tego wpływu niestartymi śladami. W języku natomiast poetycznym naśladuje autor Malczewskiego, a głównie Słowackiego, starając się o rym wyszukany, o nieoczekiwane zestawianie pojęć oderwanych z wyobrażeniami zmysłowemi. Charaktery są bar-

dzo blado zarysowane, a wcale nierozwinięte. Barbara, o którą przedewszystkiem chodziło, przywiązana do męża Gasztołda, co ją po koniach i psach za coś dodatkowego uważał; pobożna w wysokim stopniu, wcale się przecież niedługo broni natarczywości Zygmunta i wypowiedziawszy piękny frazes: „jam-ci nie panięta włoskie, co z powinności strzygą się jak z wełny“, gdy na nią w parę minut potem chory mąż zawołał, ona *z bojaźni* tuli się do królewicza... Czułość, tkliwość, lękliwość—oto jej cechy. Zygmunt, lubiący baraszkować z Włoszkami, jest dosyć niewinnym deklamatorem o energii swojej, żądzy czynu (jak u Felińskiego) i tym podobnych pięknych marzeniach, co wtedy tylko się budzą, gdy je kto szyderstwem poruszy. Stańczyk, dźwigający rolę pełną rozumu i uczucia, jakby na szyderstwo przynosi umierającego Gasztołda do komnaty, gdzie się Zygmunt i Barbara, „jeszcze Gasztołdowa żona“, ściskają. Ta statua Komandora, podparta przez Leporella, bardzo komiczne robi wrażenie, choć ono miało być wysoce tragicznem.—Trzecia wreszcie chwila daje kobiecie wpływ na rządy kraju; nie tyle jest tu ona kochanką, ile intrygantką polityczną. Maluje ją autor w powiastce: „Posiedzenie Baciarellego malarza“. Grabowska i Lulli, kochanki Stanisława Augusta, walczą ze sobą o jego względy za pośrednictwem środków politycznych, wiążąc się z dwoma przeciwnemi stronnictwami: narodowem i zagranicznem. Chwila ich walki najzaciętszej pochwycona wybornie; był to rok 1794; zgon nagły prymasa, brata królewskiego, i dni kwietniowe stanowią tło obrazu; malarz zdejmujący portret prymasa i odsłaniający go—to artystyczne przydatki; przeciwieństwo miłości Francuzki i Polki—to główna treść malowidła. Jako powiastka, nie mająca pretensyi do malowania całych warstw społecznych w kilku osobistościach, „Posiedzenie Baciarellego“ jest doskonała; wypadki rozwijają się trybem naturalnym; uczucia i myśli, frazesy i słowa

wolne są od napuszoności; opowiadanie ożywione; lekki rysunek charakterów bardzo dobrze się nadaje do szczupłych rozmiarów utworu.—Magnuszewski, zgodnie z dążnościami wybujałych romantyków, wybrał w obrazie „Niewiasty polskiej" takie tylko okresy, w których dokonywa się jakaś walka potężna: czy to brutalnych obyczajów z łagodzącym wpływem cywilizacyi chrześcijańskiej, czy to narodowego charakteru z naciskiem cudzoziemczyzny, czy też prywatnego życia z publicznem; normalnego zaś stanu, a raczej różnych stanów normalnych, jako nie przedstawiających efektu jaskrawego, malować nie myślał. Ale i tak pomysł jego był dobry, w wykonaniu jedynie zacieśnił go autor do nader szczupłego zakresu, nie posiadając ani poglądów głębszych na epoki rozwoju dziejowego, ani też potężnej zdolności analitycznej.

O dramatach Magnuszewskiego, czy to ukończonych w całości, jak „Radziejowski", czy też niedokończonych, jak „Rozbójnik salonowy", „Władysław Biały", powiedzieć można toż samo co o „Barbarze": są w nich sceny silne i dzielnie napisane, niema głębi psychicznej, ani dobrze przeprowadzonych charakterów, gdyż gonienie za jaskrawymi efektami, lubowanie się nadmierne w kontrastach przeszkadzało dobremu rysunkowi szczegółów i układowi całości.

Na oddzielną uwagę zasługuje poemacik fantastyczny p. t. „Dramat w naturze", napisany przy schyłku młodego życia poety, drukowany w „Albumie dla pogorzelców", a będący wyrazem gorącego ukochania przyrody przez romantyków. Magnuszewski zapragnął ziemi i niebu, chmurom i deszczowi, roślinie i zwierzęciu główne oddać role, dopuszczając ludzi jedynie w intermezzach na bardzo krótko. Ówczesny filozoficzny pogląd na związek zjawisk natury nie mógł dać nawet wysoko ukształconemu czło-

wiekowi dostatecznych faktow do odtworzenia rzeczywisego dramatu, jaki się przed nami codziennie odgrywa, a jednak w całości swojej może dopiero po jakich milionach lat się zakończy. Walka o byt wśród zwierząt i roślin, zachowanie energii w jej przemienności były to pojęcia obce czasom, w których żył Magnuszewski. On też pojął swoje zadanie powierzchownie i utworzył raczej krotochwilę niż dramat. Składa się ona z trzech obrazów, przedstawiających: ranek, południe i wieczór. Każdy z tych obrazów ma właściwy sobie charakter, zawarunkowany zjawiskami atmosferycznemi, a głównie słońcem, chmurami i wiatrem. Na tem tle występują do rozmowy, a raczej przekomarzania się różne gatunki ptaków, motyli i roślin, oraz ziemia i woda. W południe przesuwają się nadto różne obrazy ludzkie, ukazujące sławnych filozofów, którzy wypowiadają swoje myśli o układzie przyrody. W rozmowach kwiatów, słowika, motyli, głównie uczuciową stronę (nieraz z wdziękiem) uwzględniał poeta, spożytkowując wschodnie podanie o miłości róży i słowika, stare porównanie życia oddanego swobodnemu używaniu z krótkiem istnieniem motyli; wyzyskał niektóre znane cechy zwierząt, tudzież pomysł o miłości księżyca i nocy. Niejeden ustęp jest śliczny; cały nawet obraz trzeci („Wieczór“) do udatnych zaliczyć można; ale też wiele jest wierszy banalnych, a rola „matki przyrody“, która miała być zestrzeleniem w jedno ognisko różnorodnych dążeń dzieci swoich, niepociesznie wygląda, gdyż wystawia nam tę matkę niby jaką poczciwą i potulną babinę z okularami na końcu nosa, co niedowidzi i niedosłyszy, a mimo to prawi nudne morały, albo oklepane wypowiada spostrzeżenia w tym np. rodzaju: „Z uderzenia rośnie *brzęk* — Z rozdźwięku idzie dźwięk, Ze sprzecznych tonów harmonie się *zwiodą*, Ziemia żyje ogniem z wodą“...

W każdym razie miał Magnuszewski rozległe nieraz pomysły i umiał je często wypowiadać z wielką siłą.

XIII.

Obok działalności grona poetów czerwonoruskich na wzmiankę zasługuje też twórczość spokrewnionego z niem duchowo poety, rozsławionego chwilowo, a później zapomnianego. Był to *Tomasz August Olizarowski* (1810 † 1879), urodzony w Galicyi w Wojsławicach.

W dzieciństwie przeniósł się on na Wołyń, skąd rodzice jego pochodzili. Tu uczył się w liceum krzemienieckiem; wiersze przezeń utworzone doznały pochwał ze strony profesora literatury, Józefa Korzeniowskiego, a jakiś hymn był śpiewany przez spółuczniów w kościele licealnym. Wziąwszy udział w wypadkach r. 1831, znalazł schronienie w Galicyi, już to we Lwowie, już to w Tatrach, spotkał się tu z Sewerynem Goszczyńskim, utworzył i wydrukował (w Krakowie r. 1836) dwa swoje poemata: „Zawieruchę“ i „Bruna“, które krytyka przyjęła z uznaniem. „Zawerucha“ maluje po raz pierwszy u nas domowe życie ludu ukraińskiego, lubo Olizarowski Ukrainy nigdy nie widział, a znał ją tylko z opowiadań kozaków słynnego emira, Wacława Rzewuskiego, który z liczną świtą odwiedzał nieraz Krzemieniec przed r. 1830. Wierszem potoczystym, językiem barwnym, świeżością i żywością rysów, mianowicie w opisie przegonów kozaka z chmurą na stepie, w opowiadaniu „czumaka“, w charakterystyce „znachora“, w dramatycznem przedstawieniu katastrofy, „Zawerucha“ wśród obrazów ukraińskich zajmuje miejsce wydatne i sobie właściwe. Olizarowski nie idealizował kozaków, tak samo jak Gosz-

czyński; ale dawał poznać inne niż on strony ich życia; tylko w skreśleniu przewrotnego a okrutnego postępowania Czumaka znać wpływ „Zamku kaniowskiego“. Wybornie, choć krótko, zaznaczył dziwne, dreszczem trwogi przejmujące przeczucie nieszczęścia wśród ludu. Natomiast wychwalaną dawniej rozmowę łóżka, stołu, ściany, dachu i t. p. musimy tak samo oceniać, jak uosobienia i uczłowieczenia Michała Czajkowskiego lub Magnuszewskiego. Są to krańcowe przejawy antropomorfizującej wyobraźni.—„Bruna“ ochrzcił autor mianem „romansu“, dlatego że miłość bohatera, „marzeń dzikich potępieńca“, nieszczęśliwa, jak mu się zdawało, jest osnową poemaciku, kreślonego szkicowo, wierszem dłuższym niż „Zawerucha“, bo 11 - zgłoskowym. Bruno podejrzewając w swoim przyjacielu, Ostafim, spółzawodnika o serce Kamilli, kochanej przez siebie w milczeniu, wyzywa go na pojedynek, nie podając przyczyny, i zabija, choć właściwie sam szukał śmierci. Ostafi jako upiór zjawia się u boleśnie zadumanego samotnika, a poznawszy dzieje serca jego, chce mu przynieść ukojenie, przekonywując, iż Kamilla kochała Bruna, lecz pod wpływem uwag matki i zimniejszego zastanowienia wyszła za bogacza. Upiór tu gra rolę żywego człowieka; wprawdzie przychodzi dopiero o północy, lecz nie szuka wcale miejsc dzikich i ustronnych, owszem w salonie tak jest swobodnym, jak którykolwiek z gości. Ta zabawna rola wiele szkodzi „romansowi“; ale gorszą jest znacznie druga część jego, dopisana później, kiedy Olizarowski, zmuszony opuścić Galicyę, udał się r. 1837 morzem do Londynu, i tam w biedzie wielkiej i osamotnieniu, wysnuł sobie surową teoryę życia, z poszanowaniem atoli nawet „przyzwoitości“ towarzyskich. Kamilla, przebrana za młodzieńca, wchodzi z duchem Ostafiego do samotni Bruna, na to, aby wysłuchać nauki o konieczności zachowania uczucia idealnego, bez kalania go pożądaniem, naraża się na awanturę z mę-

żem i dopiero upiór wszystko wyjaśnia... Inne też późniejsze powieści poetyckie, obrabiające podania już to hebrajskie o Samsonie („Softy“ heksametrem bez rymów), już to wołyńskie i ukraińskie: „Paladyn Czorcz“, co do dygresyj naśladujący „Beniowskiego“, „Topir-Góra“—cudowne zdarzenie z dziejów walki z Tatarami, „Sonia“—historya zemsty czarownicy, z wielce oryginalną jej pieśnią, nie budzą zajęcia ani treścią, ani sposobem przedstawienia; a ton żartobliwy, jaki przybierał niekiedy poeta, wydaje się naciąganym. W pieśniach Olizarowskiego mamy liczne *śnielki* (z czeskiego=sonety), *padwanki* (z włoskiego = poezye miłosne), dumki, fantazye, chwały i żale, ale prócz kilku w stylu Bohdana Zaleskiego („Rozczarowanie“, „Ukrainki“), można o nich powiedzieć słowami autora, że mu „serce odmówiło ognia starczyć głowie“; są one wymuszone zarówno w wypowiedzeniu smutku jak i radości. — Mieszkając od r. 1846 w Poznańskiem, Olizarowski ogłosił r. 1852 we Wrocławiu wybór swoich „Dzieł“ w 3 tomikach. Nie miały one rozgłosu; co jeszcze większem rozżaleniem napełniło serce zamkniętego w sobie, a biedą wciąż nękanego poety.

Pedagogiczną raczej niż poetyczną była działalność *Karoliny z Rylskich Wojnarowskiej* (1814†1858), rodem z Połomic w obwodzie jasielskim, autorki „Pierścionków babuni“ (1845, Lipsk), dobrej książki dla młodzieży, oraz zbiorku wierszy p. t. „Bluszcze“ (1846, Lipsk), skromnych pod względem natchnienia, lecz poprawnych w formie i interesujących naciskiem, z jakim potępiono tu objawy cnoty biernej w poemaciku p. t. „Raj dobrych ludzi“. Względem wieśniaków miała ona uczucie miłości chrześcijańskiej, ale go żywo nie wypowiadała.

Wyraźniej to uczucie występuje w „Pismach wierszem i prozą“ (1845 Bochnia) *Julii Goczałkowskiej*, przełożonej pensyonatu we Lwowie i Bochni. Wydawała też ona „Rozmaitości dla ludu wiejskiego“

(1843 — 45, cztery części, Lwów) oraz kilka krótkotrwałych czasopism. Forma jej nie dopisywała.

Poczciwe miał chęci, ale nie posiadał talentu *Stanisław Jaszowski* (1803 † 1842), autor trzech tomów „Zabawek rymotwórczych“ (1826) i trzech tomów „Powieści historycznych polskich“ (1829 — 30), wydawca zbiorowego pisma „Sławianin“ (1837 — 39, dwa tomy, gdzie także Olizarowski swe wiersze drukował) i „Dniestrzanki“ (1841).—Spekulantem wydawniczym był *Ludwik Zieliński* († 1873), autor kilkunastu wierszyków, melodramatu „Gonzalw z Korduby“, powiastki: „Karol XII we Lwowie“ (1842) i wydawca pierwszego w nadpełtwiańskim grodzie pisma ilustrowanego p. t. „Lwowianin“, wychodzącego od r. 1835 do 1842.

XIV.

Ani „Sławianin“, ani „Lwowianin“ nie uczynił zadość wymaganiom pisma peryodycznego, gdyż sprawami bieżącemi nie zajmowały się wcale. Dopiero w r. 1840 powstaje pisemko dwutygodniowe (potem tygodniowe), które przez lat 9 skupia wkoło siebie wszystkie starsze i młodsze siły literackie w Galicyi. Miało ono napis: „Dziennik mód paryskich“. I tu się znowu spotykamy z nazwiskami Józefa Borkowskiego i Augusta Bielowskiego. Ponieważ żaden literat z pewnem głośniejszem imieniem nie mógł wówczas dostać koncesyi na pismo peryodyczne, Borkowski namówił głośnego krawca, Tomasza Kulczyckiego, który w r. 1839 wydał „Rozprawę o kroju sukien męskich podług wyrachowania matematycznego“, aby się podał na redaktora pisma poświęconego modom i rozrywce, obiecując mu prowadzić część literacką. Z początku grały w tym „Dzienniku“ mody rzeczywiście rolę główną, lecz rychło zeszły na ostatnią,

a poezya, powieść, sprawozdania teatralne, recenzye literackie, rozprawki estetyczne, pisane przez grono znanych nam autorów czerwonoruskich, budziły coraz żywszy interes. Jeszcze przed śmiercią Borkowski spólnie z Bielowskim, który coraz chętniej przechodził na pole dziejowe, upatrzyli zdolnego publicystę-powieściopisarza, co miał ich w pracy dziennikarskiej świetnie zastąpić. Był nim JÓZEF DZIERZKOWSKI (1807 † 1865). Pochodził z rodziny szlacheckiej osiadłej na Polesiu we wsi Ksawerówce. Pierwsze lata życia przebył pod czujnem okiem matki, nie broniącej mu jednak bawić się z dziećmi wiejskiemi. W roku 1814 utracił ojca; matka wyszła powtórnie za mąż; Józef został oddany pod opiekę głośnego adwokata lwowskiego, stryja swego, również Józefa, mającego liczne i świetne stosunki, a przytem uczonego. We Lwowie tedy chodził do szkoły elementarnej, a następnie do gimnazyum. Żywego temperamentu, duszy ognistej, ceniącej swobodę nadewszystko, niepodobna było nagiąć do pracy systematycznej. Dzierzkowski porzucił szkoły i szukał ujścia dla swych burzliwych namiętności w życiu hulaszczem. Miał tu sposobność poznania owej złotej czy pozłacanej młodzieży, którą potem z niemałym talentem wyszydził. Śmierć stryja położyła koniec zabawom i próżniactwu. Józef został bez funduszów, bo stryj, żyjąc wystawnie, kapitałów nie zebrał. Trzeba się było jąć pracy; otrzymał jako stypendysta posadę skryptora w świeżo wtedy otwartym Zakładzie imienia Ossolińskich. Po wypadkach r. 1831, w których czynny brał udział, wrócił do Galicyi i tułał się, jak wielu innych, po różnych miejscowościach.

W r. 1838 w znanych „Pracach literackich Józefa hr. Borkowskiego“ ukazał się pierwszy jego utwór powieściowy p. t. „Płacz i śmiech“. Obejmuje on w zarodku główne późniejsze temata powieściopisarskie Dzierzkowskiego: zepsucie wielkiego świata, znikczemnienie młodzieży, próżniactwo warstwy szla-

checkiej, karciarstwo, powszednie miłostki. Hrabia August, znudzony już swojem powodzeniem u płci pięknej, bierze za żonę towarzyszkę lat dziecinnych, czułą, spragnioną tkliwej miłości Leontynę, dla jej majątku; jeszcze na dwa dni przed ślubem asystuje aktorce; w noc ślubną objawami swej żądzy budzi wstręt w małżonce, która płacze, gdy on wybucha śmiechem. Po latach pięciu kiedy jego przyjaciel, a kochanek żony, Ernest, podpiły, przegrawszy znaczną sumę, ciska na stolik miniaturę Leontyny i paczkę listów, jako gotówkę równą tysiącu dukatów, hr. August zrywa się, pędzi do swej żony, mniemając w podnieceniu, że ją kocha, wypowiada swą miłość wymownemi słowy; ona wpada w śmiech spazmatyczny, on płacze i dowiaduje się, iż synek Alfred nie jest jego synem. Leontyna umiera, August po pojedynku jedzie do Paryża kształcić się w dyplomacyi. Jest w tym szkicu tchnienie poezyi, ale zarazem i trzeźwe pojęcie rzeczywistości; romantyzm życiowy wspomniany jest jako chorobliwość; oburza autora znikczemniałość młodego pokolenia, a spaczone życie Leontyny budzi w nim spółczucie. W opracowaniu widać zamiłowanie w gwałtownych kontrastach, jak nie mniej splatanie uniesień poetycznych z chłodną rozwagą; dbał autor o barwność, która nieraz przechodziła w krzykliwą jaskrawość. Ulegając wpływowi powieściopisarzy francuskich, fantazyi bardzo duże dawał pole. Styl jego był staranny, ale sztuczny, naprężony, patetyczny; z czasem dopiero nabrał większej naturalności.

Do r. 1843 bawił Dzierzkowski w Zbarażu, małej mieścinie podolskiej o kilkanaście mil od Lwowa, kreślił drobne obrazki i opowiadania: „Bale na wsi“, „Bałaguły“, „ Hogartowskie obrazy“, „Wieśniak podolski“, „Rezydent“ i t. p. Borkowscy sprowadzili go do Lwowa, wyrobili posadę płatną w „Gazecie Lwowskiej“, gdzie pisał recenzye teatralne i literac-

kie i prowadził dział nowin. W godzinach pozabiurowych kreślił powieści lub rozprawy do „Dziennika mód paryskich". Na wieczory literackie u niego zbierało się co tydzień całe grono piszących we Lwowie, z którymi przez lat kilka spólnej pracy zżył się ściśle. Oto jego wizerunek z roku 1844, kiedy go poznał dwudziestoletni natenczas *Władysław Zawadzki* († 1891), wchodzący w świat literacki: „Był w sile wieku, atletycznej budowy, w obejściu ujmujący i pełen ogłady; na sympatycznej jego twarzy błąkał się lekki cień smutku, rysujący się w ustach napół melancholijnym, napół ironicznym uśmiechem goryczy, świadczącym o cierpieniach przebytych, o walkach wewnętrznych i rozczarowaniach; w łagodnem spojrzeniu jasnych niebieskich oczu znać było miękkość charakteru, niezdolnego oprzeć się sile namiętności, wiodących na bezdroża". Lubił żyć i używać, ale i do pracy się nie lenił. „Po przebytej na hulance jednej lub kilku nocach, wróciwszy do domu, kładł zimny okład na głowę, smarował wąsy amoniakiem i zasiadłszy do stolika, pisał nieprzerwanie 6 lub 8 godzin, aby zadowolić zecerów, wpadających co chwila po rękopis. Kiedy go znużyła powieść, odsuwał ją i zabierał się do artykułu politycznego; znużony nim, imał się rzeczy literackiej, polemiki lub korespondencyi, poczem znów wracał do odłożonej na bok powieści. Tym sposobem pisał wiele rzeczy na raz i mówił, że ta zmiana treści odświeża mu umysł i jest rodzajem wypoczynku".

Prócz artykułów i małych obrazków, zebranych następnie w dwu tomach p. t. „Obrazy z życia i natury", „Powieści z życia towarzyskiego", ogłosił w roku 1845 pierwszą swą obszerniejszą powieść „Kuglarze". Jaskrawo, namiętnie, płomienistemi barwami, z dosadnością, niekiedy karykaturalną, przedstawił tu demoralizacyę zarówno wyższych, jak średnich i niższych warstw społeczeństwa, dla którego tylko użycie, a jako środek — pieniądz jest ideałem. Jakiś hra-

bia sprzedaje list miłosny żony jej samej, list znaleziony u aktorki, a zgubiony tam przez kochanka hrabiny; pułkownik Skrzeski wraz z swymi synami, za pomocą podstawionego świadka, zagarnia bezprawnie spadek milionowy, przyczyniwszy się poprzednio do śmierci szambelanowej; ta szambelanowa, skwaszona egoistka, dręczy drugą jędzę, starą pannę starościankę, której odebrała narzeczonego, a która ze swej strony nie szczędzi jej także ukłuć, przy śmierci zaś wybucha jadem długo ukrywanym; adwokat Krętowicz wszystko zrobić gotów, największą podłość popełnić, sprzedać swoich klientów więcej dającemu, nieodrodny jego kolega, Lisiewicz, wyrywa mu korzyści spadku i pcha do sprawy kryminalnej, tak że Krętowicz musi skończyć samobójstwem; w najniższej wreszcie warstwie, w szynku pod Krogulcem — rozpasanie, zbestwienie, zanik uczucia i sumienia. Kobiety również na wszystkich szczeblach drabiny społecznej, pod rozmaitymi jeno kształtami, gonią wyłącznie za rozkoszą. W całej powieści spotykamy jednego tylko człowieka uczciwego: porucznika w „zielonym futorku", ale już nawet córka jego jest wielce zmateryalizowana.

Dalszym niejako ciągiem tego utworu jest: „Dla posagu" (1847). To samo zepsucie i to samo tumanienie ludzi pozorami. Oto wybitniejsze szczegóły: szlachcic Doliński wolarz, kutwa, krętacz, wyzyskiwacz ludu i sąsiadów, procesowicz tracący to, co zebrał zdzierstwem, ażeby pozbyć się długu u hr. Wyżłowskiego, chce podstawić własną córkę na miejsce tej, którą hrabia zamierzał wykraść, namówiony do tego we własnym interesie przez opiekunów owej bogatej dziedziczki, co ma wstręt do niego. Tenże Doliński batoży chłopów, nawet dziewki, obdziera swego pupila, wyrabiając sobie świadectwo, że to waryat, ażeby mieć nań zawsze broń gotową. Jest tu bogata wdowa, która nie chcąc wyjść za mąż, utrzymuje sobie kochanków, zmieniając ich według

woli. Jest pani Bzurska, prowadząca pensyę żeńską, protegowaną przez wyższe towarzystwo; uczono się u niej niewiele, ale czytano powieści, tańczono i zaprawiano się do romansowania. Jest na zimno egzaltowana, niby romantyczna panna Cyrylla, wygłaszająca wyuczone frazesy, smętnie zadumana, poszukująca duszy pokrewnej, ale w gruncie bardzo pospolita natura, goniąca za użyciem. Jaśniejszy pierwiastek przedstawia żona Dolińskiego, mieszkająca osobno, opiekująca się chłopami, dla których zakłada szkółkę i ochronkę, wychowująca dobrze córkę Amelkę.

Satyryczne obrazy Dzierzkowskiego były jaskrawem rozwinięciem szkiców, wypełniających „Parafiańszczyznę" Leszka Borkowskiego; lecz zawierały i tematy przez tego publicystę nieporuszone.

W r. 1845 poróżnił się Dzierzkowski z wydawcą „Dziennika mód", ale niebawem powrócił znowu, gdy redakcyę jego objął przemyślny i obrotny *Jan Dobrzański* (1820 † 1886). Był to natenczas młodzieniec dwudziestosześcioletni, wykształcony filozoficznie kosztem zacnego marszałka Tadeusza Wasilewskiego, ale czujący szczególne zamiłowanie do publicystyki. Dawszy się poznać z wierszy udatnych i rozprawek estetyczno-krytycznych, zalecony przez Bielowskiego, umówił się z wydawcą „Dziennika mód paryskich" o tantyemę od liczby nowo przybywających abonentów, rzucił się z całą gorliwością młodzieńczą, a zapobiegliwością wrodzoną do ożywienia pisma, do nadania mu rozgłosu i pozyskania jaknajwiększego grona czytelników. Pogodził Dzierzkowskiego z Kulczyckim, a zyskawszy tym sposobem płodne i wielostronne pióro dla pisma, zapewnił sobie przyszłe jego powodzenie, doprowadził niebawem liczbę prenumeratorów „Dziennika" prawie do tysiąca, czego nigdy przedtem w Galicyi nie widziano. Dokonał tego głównie, wraz z Dzierzkowskim, przez skierowanie literatury do zagadnień społecznych, do

podejmowania kwestyj bieżących w duchu wyraźnie demokratycznym. „Umieć zawsze przeczuć smak czytającej publiczności, odgadnąć instynktownie, kiedy jej czego potrzeba, co w danej chwili jest poczytne i pożądane, i zawsze się zręcznie według tego w prowadzeniu pisma zakierować; potrafić pociągnąć ku sobie młodsze zwłaszcza talenta, pożyteczne dziennikowi: nie żałować ku temu ani nóg, ani głowy; przeczuć artykuł nie tylko już w tece, ale nawet dopiero jeszcze w głowie autora się znajdujący i porwać go stamtąd dla swego pisma: oto sposoby i przymioty, którymi się odznaczał talent redaktorski Dobrzańskiego", jak świadczy Władysław Zawadzki. Wprowadził też Dobrzański pierwszy w Galicyi sposób upowszechniania tanich książek za pomocą osobnych odbitek z „Dziennika mód". Próba zrobiona z powieścią Dzierzkowskiego: „Salon i ulica" (1847), której w przeciągu kilku tygodni sprzedano kilka tysięcy egzemplarzy, zachęciła do dalszych.

Powieść ta — to najjaskrawszy objaw dążności demokratycznej w Galicyi. W każdym jej rozdziale jest namiętne przeciwstawienie sobkostwa, nikczemności i łotrostwa warstw wyższych — poświęceniu, uczciwości i szlachetności biednej rodziny szewckiej. Wątek jest wielce splątany. Baron Karliński salonowiec i Karosz szewc—to bracia. Baron, korzystając ze szczęśliwego dla siebie zbiegu okoliczności, wyparł się brata i pozostawił go w nędzy, a ten odarty, oszukany szewc nie szukał zemsty, lecz nawet przyjął do siebie opuszczoną kochankę brata, a córkę jej jako swoją wychowywał. Następnie syn barona, Alfred, uwiódł tę swoją siostrę (nie wiedząc oczywiście, że to siostra) i przez jej niby-brata, co się w rzeczywistości w niej kochał, lecz uważając ją ze swą siostrę, nie zdawał sobie należytej sprawy z tego uczucia, został na publicznej przechadzce wypoliczkowany. Autor nie kryje ułomności osób swoich z ludu, ale je usprawiedliwia biedą, złym przykła-

dem; natomiast z zachwytem zaznacza jego cnoty, lubo w tem się trochę przerachował, gdyż najpiękniejszą swą postać, Bogusię, napół tylko zrobił wychowanką ulicy, naznaczywszy jej ród salonowy. Gra w karty, rozpusta, nieczułość na nędzę klasy pracującej, obojętność na cele ogólne znamionują warstwę salonową; jeżeli się tu zbiera jaką składkę, to na sparaliżowanego szulera. Alfred, sprzykrzywszy sobie Bogusię, z którą wziął ślub fałszywy, chce ją za pieniądze odstąpić bogatemu rozpustnikowi, Pilińskiemu, co przy owym niby - ślubie odgrywał rolę księdza. Dodatnią postacią ze świata salonowego jest tylko poeta Żyleski, ale jego przygoda rzuca także ponure światło na to towarzystwo, wśród którego się obracał. Pokochał on pannę Kamillę, ale ta, będąc już jego kochanką, nie chciała zostać żoną, bo nie życzyła sobie zejść z wyżyn społecznych; proponowała więc poecie, aby i nadal pozostał jej kochankiem, kiedy ona poślubi kogoś majętnego i utytułowanego.

Do nowej sfery wprowadza nas Dzierzkowski w ostatniej swej powieści z tego okresu: w „Szpicrucie honorowym“ (1848). Z początku mamy tu obrazy głupiej szlachty cisnącej się do progów pańskich, pomimo upokorzeń i drwin, jakich panowie jej nie szczędzą. Tak robi Kazimierz Bilczyński wobec rodziny hr. Gniazdowskich i dostaje przez plecy „szpicrutem honorowym“ (z wyścigów) od młodego Alfreda, który mu tłomaczy szyderczo, że jest to zaszczytne pasowanie na rycerza. W dalszym ciągu powieści główną treść wypełnia kwestya rusińska, świeżo wówczas w Galicyi rozbudzona. Piękny tu jest obrazek zacnego starego parocha, pragnącego zgody między ludem a szlachtą, każącego gardzić jedynie takimi nikczemnikami, jak stary Gniazdowski, co uwiódł żonę jego synowi i przez to śmierć obojga spowodował. Wnuczka jego, Maryjka, kochana przez Bilczyńskiego, nie słucha rad dziadka, pała zemstą i dokonywa jej przy pomocy włóczęgi, który

usiłuje podpalić gumna i dwór Gniazdowskich. Tymczasem Kazimierz Bilczyński przybywa do swego stryja kanonika, człowieka zdenerwowanego, który z dziejów wyciągnął nienawiść do Polaków i chciał synowca uczynić spadkobiercą swej nienawiści i swego majątku; ale Kazimierz, po dwu latach studyów, uznał się wprawdzie za Rusina, lecz podzielić przekonań i dążności stryja nie chciał. Kanonik umiera nagle, Kazimierz bierze po nim ogromny spadek i przeznacza go na cele ogólne; wprzódy jednak, wszedłszy w „wielki świat", odnosi zwycięstwo na wyścigach, mści się na Alfredzie, płazując go „szpicrutem honorowym". Potem wykupuje majątek Gniazdowskich, żeni się z Maryjką, pomaga Alfredowi do ratowania ostatków mienia, ale nie może go natchnąć szlachetnemi dążeniami, jakiemi sam był przejęty — Alfred wyjeżdża za granicę. Powieść ta, znacznie łagodniejsza w kolorycie, znamionuje postęp w udoskonaleniu artyzmu bez wyrzeczenia się dążności społecznych. Wskazanie przyczyn rozstroju stosunków między Rusinami i Polakami, podanie środków do sprowadzenia zgody jest wielką zasługą powieściopisarza.

Gdy marcowa rewolucya wiedeńska z r. 1848, jak wszystkim innym krajom monarchii austryackiej, tak i Galicyi zapewniła niejakie swobody konstytucyjne, Dzierzkowski wraz z Dobrzańskim odegrali bardzo ważną rolę w ruchu owoczesnym zarówno pismem jak i czynem. Z pierwotnego, mniej więcej jednolitego programu wyłoniło się niebawem przeciwieństwo między zachowawczą szlachtą a postępowem stronnictwem demokratycznem. Rzecznikiem interesów ziemiańskich stał się znany nam z Rzeczypospolitej krakowskiej Hilary Meciszewski; rzecznikiem demokracyi — Dzierzkowski. „Użył on wszystkich sposobów: i kwiecistej wymowy, odwołującej się do najświętszych wspomnień i uczuć, i pieprznych docinków, i ubocznych półsłówkowych insynuacyj,

i gryzącego szyderstwa, argumentów i porównań, aby zdyskredytować przeciwnika w oczach publiczności, podać w pogardę stowarzyszenie ziemiańskie. I nie szczędził, aby cel osiągnąć, ani konceptu, ani słów, ani żółci. Od najwznioślejszych, namaszczeniem poezyi promieniejących wykrzykników i nawoływań spadał naprzemian w kałuże najobelżywszego błota, miotając niem na przeciwników, a stowarzyszenie ziemiańskie ze wszystkimi jego stronnikami, których coprawda wogóle wziąwszy niewiele liczyło, obrzucił całym słownikiem pogardliwych epitetów, nazywając ich poprostu ostatniego rzędu łajdactwem" [1]). Wypisywał to wszystko w ówczesnej „Gazecie narodowej" i w broszurach osobno wydawanych. Niedługo trwały te utarczki. W listopadzie 1848 już Hammerstein bombardował Lwów, a stan oblężenia zawiesił wszelkie swobody konstytucyjne. Dzierzkowski opuścił Lwów i Galicyę. Brał udział w kampanii węgierskiej i stanął po stronie jenerała Wysockiego przeciw Bemowi. Po zamachu na Bema, wyjechał z Węgier, bawił czas jakiś we Wrocławiu i Dreźnie, a gdy wracał, internowano go w Austryi Wyższej. W r. 1851 przybył do Lwowa i zabrał się na nowo do pracy. W powieściach nie zaparł się dawniejszych poglądów, ale je wypowiadał mniej jaskrawo. Żadna z nich nie osiągnęła rozgłosu poprzednich. Najważniejszemi są: „Rodzina w salonie" (1853), „Wieniec cierniowy" (1855), „Król dziadów" (t. r.), „Uniwersał hetmański" (1857), „Serce kobiece" (1858), „Szkoła świata" (1862). Zbiorowe wydanie „Powieści Józefa Dzierzkowskiego" wyszło we Lwowie r. 1875 w 8 tomach.

Dzierzkowskiemu przyznać należy wielki talent opowiadania, bystrość obserwacyi, znajomość rozmaitych warstw społecznych, przejęcie się ważnemi za-

---

[1]) Władysław Zawadzki: „Rok 1849 i Dziennikarstwo w Galicyi" (Lwów, 1878).

gadnieniami; ale nie można go nazwać dzielnym artystą, któryby dbał zarówno o dobry układ jak i o wielostronne, subtelnie cieniowane przedstawienie ludzi i ich stosunków. Uważając zadanie powieściopisarza za rodzaj zawodu publicystycznego, więcej zwracał baczenia na wywołanie zamierzonego efektu, aniżeli na prawdę psychologiczną i kompozycyę harmonijną. W imię zaobserwowanej przez siebie *prawdy* domagał się swobody kreślenia ponurych obrazów zepsucia lub nieludzkości („pióro i mowa nie są ka dzielnicą, by nią machać naprawo i nalewo“). Że się lubował w nich, temu zaprzeczyć trudno, jego satyryczne usposobienie ku takiemu kierunkowi go pchało. Stylistą wytwornym nie był, choć pisał potoczyście; pod względem językowym nie jeden błąd wytknąć mu trzeba. W rozbudzeniu życia umysłowego w Galicyi zasłużył się wielce.

XV.

I największy poeta tego okresu, nie tylko w Galicyi, ale na całym (poza wychodztwem) obszarze b. Rzeczypospolitej, KORNEL UJEJSKI (12 ur. września 1823 † 19 września 1897) pierwsze swe próby poetyckie drukował w „Dzienniku mód paryskich“.

Urodzony w wiosce Beremianach na Podolu galicyjskiem, miał w rodzicach swoich Erazmie, herbu Śreniawa, i Ludwice z Wolańskich, najtroskliwszych i najlepszych przewodników dzieciństwa, umiejących wskazać zarówno piękno otaczającej przyrody — wioska znajduje się w malowniczem położeniu na cyplu góry, gdzie rzeka Strypa łączy się z Dniestrem — jak i ważność pamiątek dziejowych, rozsianych obficie w okolicy — groby murzów tatarskich, kurhany, zamek Jazłowieckich. Do tych najwcześniejszych wpływów dołączyć należy widok wojaków

chroniących się r. 1831 do Galicyi i ich pieśni, a dalej towarzystwo i rozmowy ciotecznego brata matki, Henryka Kosickiego. Później sam poeta nad jego grobem wypowiedział mu podziękę z głębi serca, mówiąc: „Byłeś od najrańszej młodości mojej jednym ze świetlanych przewodników moich. Na syna miłującego kraj i twoje kołysały mnie ręce. Pierwsze moje próby i późniejsze prace pisarskie twojego sądu szukały. Byłeś mi radą, zachętą, często bodźcem. Kochałeś mnie, wierzyłeś we mnie"... W dziesiątym roku życia zapadł na gorączkę nerwową. Sławny naówczas lekarz Kosiński wyleczył go, ale sam opłacił życiem jego powrót do życia. Wspominając o tem w późniejszym wieku nasz poeta, dodaje: „Wyrwał mię wprawdzie z grobu, ale nadwerężył nerwy, te narzędzia duszy człowieka. Odtąd straciłem żywość i wesołość dziecka. Pierwsze nawiewy wrażeń od świata i ludzi otaczały czoło moje mgłą melancholii: byłem tęskny i smutny. Pieśń, która się wydzierała z dziecięcej, a później z młodzieńczej piersi, chorą była". Może na spotęgowanie tego smutku nie bez wpływu podziałało usposobienie dziedziczne, gdyż według własnego wyrażenia Kornela: „skłonni są do płaczu wszyscy Śreniawici."

Pierwsze nauki pobierał Ujejski w domu pod okiem wysoce ukształconej matki; następnie u bazylianów w Buczaczu, odległym o mil parę od Beremian. Dla dalszej synów edukacyi rodzice, sprzedawszy wioskę, przenieśli się do Lwowa. Do wykładów szkolnych, prowadzonych po niemiecku, nie bardzo się przykładał lotny umysł młodzieńca, ale zato rozmiłowywał się w literaturze coraz więcej, łącząc z tem namiętną uprawę muzyki. Z ludzi chodzących około literatury najwięcej oddziałali na Ujejskiego: Bielowski, Leszek Borkowski, a zwłaszcza Wincenty Pol, otoczony aureolą „Pieśni Janusza."

Młodociana twórczość Kornela zawarunkowana była wzorami wtedy panującymi; w usposobieniu



Kornel Ujejski.

przemagał ponury bajronizm, a w stylu poetyckim — naśladownictwo Mickiewicza. Najdawniejsze zachowane wiersze Ujejskiego (wiele sam zniszczył) są to sonety i wogóle poezye miłosne z r. 1839, to jest kiedy autor miał lat 16. Samodzielności jakiejkolwiek nie szukać w nich naturalnie. Niebawem wszakże inna strona poezyi Mickiewicza zaczęła oddziaływać — równocześnie z coraz bujniejszym rozwojem prądu demokratycznego — na umysł i serce młodego piewcy. Jak z Gustawa wyrósł Konrad, tak z osobistej erotyki Ujejskiego wyłoniło się spółczucie dla mas cierpiących. „Monolog Ankarströma," napisany w r. 1841, jest pierwszą próbą wypowiedzenia w poetyckiej formie miłości dla ludu. Wyrażenia, rymy i rytmy nie były tu jeszcze doskonałe, lecz dawało się już zauważyć silne,ześrodkowane uczucie i umiejętność artystyczną używania słów, działających piorunowo na słuchacza. „Monolog" ten wszakże nie stanowił jeszcze zwrotnego punktu w twórczości 19 letniego młodzieńca. Tematy pospolitszego, że tak powiem, polotu, powszedniejszej indywidualnej treści przez trzy lata następne przeważają w poezyach Kornela. W tym też niewątpliwie czasie powstała słaba przeróbka motywów hebrajskich, zawartych w „Pieśniach Salomona", które w osobnej książce wyszły po raz pierwszy r. 1844 (Poznań). Ważne są one jako dowód kształcenia się poety na biblii, a mianowicie na Starym Testamencie, który tak potężnie się odbił, w związku z ideą mesyaniczną, na dalszej twórczości młodego poety.

Do stanowczego przechylenia się ku tematom podniosłym przyczyniła się, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, podróż do Warszawy w r. 1844. Tu to powstała prześliczna „Gęśl Jeremiasza." Wracając z Warszawy do Galicyi, Ujejski zwiedził ze czcią synowską siedzibę niegdyś Kochanowskiego Czarnolas i grób jego w Zwoleniu.

Pierwszym większym poematem Kornela był

„Maraton“ (napisany 1844, druk. 1847)—obraz zwycięskiej walki garstki Greków z olbrzymią nawałą barbarzyńskich Persów.. We wstępie do tego utworu, zwróconym do rówieśników, poeta pragnie „ich rozmiękłe dusze jak zbroję ostalić,“ chcąc im przywieść na pamięć postaci dawnych bohaterów, aby pobudzić ich do naśladowania. Lubo młodem jest pacholęciem, nie może się on przecież oddać uciechom, nie może się uśmiechać wesoło i swobodnie, gdyż widok rozpieszczonego pokolenia mrokiem napełnił jego duszę. W samym poecie tętniło upojenie się patryotycznym wysiłkiem Ateńczyków, jako przedstawicieli swobody w twardych zapasach z niewolniczem barbarzyństwem. Nie bitwa właściwie zajmuje poetę, lecz usposobienie, nastrój dwu walczących potęg, uosobionych z jednej strony w królu perskim, Daryuszu, a z drugiej — w wodzu Ateńczyków, Milcyadesie, którego przemowa do spółrodaków tworzy kulminacyjny punkt naprężenia dramatycznego i wypowiada istotny zamiar piewcy. „Maraton” pozornie tylko jest poematem epickim; właściwych atoli cech poezyi tego rodzaju nie posiada, gdyż niema w nim ani spokoju, ani przedmiotowości, ani plastyki w obrazowaniu postaci. Jest to w gruncie rzeczy tak samo utwór liryczny, jak „Gęśl Jeremiasza”, tylko na podkładzie wypadku dziejowego rozwinięty. Uczucie gorące to jego podstawa, nadająca mu znaczenie. „Maraton” wyrobił Ujejskiemu szczere uznanie wśród najbliższego otoczenia, ale nazwiska jego nie rozniósł szeroko po kraju, gdyż dopiero w lat kilka po napisaniu został wydrukowany.

A tymczasem inny utwór, ze współczesnych wypadków wysnuty, wprzód doszedł rąk czytelników. Były to „Skargi Jeremiego“. Rzeź galicyjska z r. 1846 wywołała ten wspaniały wylew uczuć bolejącego serca. Prócz dwu wstępnych („Słowo Jeremiego“, „Noc natchnienia“) składały się „Skargi“ z 12 ustępów, z których pierwszy był zastosowaną

do okoliczności modlitwą Pańską („Ojcze nasz"), a ostatni „Aktem wiary". Nie czarują nas one, mówiąc wogóle, pod względem czysto estetycznym; niema w nich ani szczególnie świetnego obrazowania, ani niespodziewanych a trafnych wyrażeń, przejmowanych niekiedy z poezyj Kochanowskiego, Słowackiego i Krasińskiego, ani kunsztowności w budowie zwrotek; działały one na współczesnych poecie głębią i szczerością tonu uczuciowego, wyjątkową wtedy wyrozumiałością dla grzechów ludu, serdecznem współczuciem dla niedoli, wiarą w niespożytą żywotność. Ujejski nie poszedł za przykładem tych, co w rzezi galicyjskiej dostrzegali tylko krwiożercze instynkty ludu i dlatego odwrócili się od niego, choć poprzednio wyznawali zasady demokratyczne. Piewca „Skarg", sam jeden z poetów, miał odwagę wystąpienia w obronie tej młodszej braci, miał odwagę powiedzenia wyraźnie, że oni niewinni, że oni byli tylko mieczem, nie ręką, że winnymi byli podszczuwacze-szatani.

Z rękopismem „Skarg" wybrał się Ujejski do Paryża, by je tu r. 1847 oddać do druku. Oceniono je odrazu wysoko; żadne inne dzieło Kornela nie miało tylu wydań (sześć), co to właśnie. W Paryżu zbliżył się do dwu wielkich poetów, których w sercu swojem nigdy już nie rozdzielił: do Mickiewicza i Słowackiego. Obaj oni znajdowali się wówczas w omroczeniu mistycznem, ale tem silniej oddziałać mogli na gorącą, zapalną i namiętną naturę młodego poety, który w ich ślady twórcze wstępował. Nie został wprawdzie Ujejski wyznawcą Towiańszczyzny, lecz „ideę mesyaniczną" ukochał całą potęgą duszy i w miłości tej wytrwał do zgonu, pomimo zmian stanowczych, jakie zaszły w umysłowości naszej inteligencyi. Od Mickiewicza posłyszał naukę, którą w życiu dalszem kierował się stale, przekazując ją nam w tych słowach: „Pewnego razu, podczas rozmowy, przystąpił do mnie nagle i, jak miał

zwyczaj, wyprostował się, podniósł głowę, wysunął na przód usta, i z tą stanowczością i naciskiem w głosie, które go zawsze cechowały, rzekł: Słuchaj, jeśli kiedy będziesz przemawiał do ludu, to nie mów stąd (i wskazał na czoło) i zamało mówić stąd (i wskazał na serce); ciągnij twoje słowa *z głębi i szczerości ducha*, jakoby z wnętrzności swoich"... Od Słowackiego otrzymał wiersz mistyczny, na który odpowiedział serdecznem uczczeniem serca jego, który kazał „przez niższych miłość" płynąć w nieśmiertelność. A potem, gdy bolał nad śmiercią Mickiewicza, nie zapomniał i o drugim, wcześniej zgasłym wieszczu:

Ty o innym daj wiadomość równie drogiej treści;
Powiedz o nim—bom jednako ja was kochał obu,
A boleść po waszej stracie poniosę do grobu—
Powiedz: czy tam na błękitach, gdzie miłość rozlana,
Nie zdybałeś ognistego śpiewaka Kordyana?
Czy on zawsze niespokojny, samotny i smutny?
Czy już, jak ty, duch swobodny, czy jeszcze pokutny?..

W Paryżu doczekał się rewolucyi lutowej roku 1848, widział wyniesienie poety (Lamartine'a) na godność prezydenta rzeczypospolitej francuskiej i doznał wstrząsającego wrażenia, które po ośmiu latach pozostało jeszcze świeżem, gdy pisał te wiersze:

...Na przemiany rozszlochany, to znowu płomienny,
W twym pochodzie tryumfalnym szedłem niby senny,
A łza moja, a krew moja tobie błogosławi...
...I wnieśli cię na Kapitol świata przewodniki
I zrobili cię przewódcą wielkiej republiki
I oblekli cię miłości synowskiej szkarłatem
I krzyknęli: „Stąd rządź nami, a przez nas rządź [światem".

Dopiero w maju r. 1848 przez Pragę i Lipsk, gdzie oglądał pamiątki po księciu Józefie Poniatowskim, wrócił pełen upojenia i różanych nadziei w strony rodzinne, przekonany, jak wielu innych, że ów

rok będzie dla całego świata stanowił przełomową epokę, że odrodzenie się ludzkości nastąpi nieodwołalnie. Wydał wówczas we Lwowie dwa zbiorki dawniejszych swoich wierszy pod lekceważącymi napisami: „Kwiaty bez woni“ i „Zwiędłe liście“.

Pragnąc czynniej współdziałać w sprawie odrodzenia społeczeństwa, Ujejski wspólnie z trzema innymi pisarzami, mniej więcej rówieśnikami, zamierzył wydawać nowe czasopismo: „Krzyż a miecz“ i napisał wiersz wstępny pod tym samym tytułem, wywołany bombardowaniem Lwowa. Pismo nie mogło przyjść do skutku we Lwowie; dopiero w Poznaniu po niejakim czasie zaczęło wychodzić i trwało rok jeden.

Nastąpiła w całej Europie reakcya. Zawód w nadziejach co do odrodzenia ludzkości odczuł Ujejski niewątpliwie głęboko; na razie jednak nie doznawał musu do wypowiedzenia go w słowach. Poszukał szczęścia osobistego; ożenił się w r. 1849 z Henryką hr. Komorowską i osiadłszy w Pawłowie, majątku swego teścia, oddał się, na wzór Jana z Czarnolasu, gospodarstwu. W ładnym wierszu, p. t. „U brzegu“, napisanym na cześć żony, oświadczył, że „w grzmiące morze rzuca stare wiosła“, że jest pogodzony ze światem i z Bogiem, że pragnie być „pogodnym, cichym, jasnym“. Istotnie w wierszach wtedy tworzonych, a poświęconych czy to życiu rodzinnemu, czy społecznemu, cechy te widnieją wyraźnie.

Ale płomienny duch poety nie mógł długo pozostać pogodnym. W kreślonych różnymi czasy (między 1845 a 1850 r.), wydanych zaś r. 1852 „Melodyach biblijnych“ obok prostoty i pogody w malowaniu życia patryarchalnego („Rebeka“), odnajdujemy malowidła pełne wstrząsającej grozy, czyto, gdy przedstawia cierpienia wygnanej „Hagar na puszczy“, czy gdy nam powtarza „Ostatnie głosy Sodomy“, albo też oddaje różne odmiany i stopnie cierpień:

„Pan w gniewie", „Przeklęci", „Izrael w Egipcie", „Jeremiasz", „Nad rzekami Babilonu", „Początek Samsona" (w formie dramatycznej). I w tych właśnie utworach, gdzie mógł zużytkować potęgę słowa, okazał się Ujejski mistrzem. Marzył on o ciszy i pogodzie, lecz duszę jego targały wichry i nawałnice; błagał więc żonę, by go nie winiła za chmurność oblicza, gdyż on chciał być „bronią", a nie „tarczą". Na obrazowanie i styl [1]) wpłynęły Pieśni Wschodnie *(Les Orientales)* Wiktora Hugo, od którego też przejął silne kontrastowe zestawienia.

Po ogłoszeniu „Melodyj biblijnych" (które się stały wielce popularnemi), zadzierżawiwszy wieś Podlipce pod Złoczowem, przez długi przeciąg czasu nie stworzył nic, coby się z najpiękniejszymi pieśniami lat poprzednich porównać dało. Bywały lata zupełnej posuchy poetyckiej, bywały inne, kiedy autor próbował nieodpowiedniej dla swego talentu formy epickiej lub dramatycznej. To też ani „Ustęp z powieści" (r. 1851), ani „Podróż przerwana" (1853), ani „Konfederat" (z tegoż roku), ani „Po latach ośmnastu" (1857), ani scena z „Buczackich", ani „Rozbitki" (prolog na otwarcie teatru lwowskiego r. 1857) nie mogą być policzone do celniejszych utworów naszego poety. I w liryce nawet, lubo bezwarunkowo wyższej od tych prób epickich i dramatycznych, nie wyśpiewał *całostek* doskonałych; zarówno w „Pogrzebie Kościuszki", jak w „Wieści o Adamie Mickiewiczu", jak w wierszu „Do Lamartine'a", lub w obrazkach „W ciszy", „Niebezpieczna", „Zawiana Chata", „Za służbą" tylko ustępy są prawdziwie natchnione i zachwycające. Popularność dwu ostatnich przypisać należy głównie wyrazowi głębokiego spółczucia dla biedy, nieszczęść i cierpienia ludu. „Niebez-

---

1) M. Janik: „O genezie twórczości Kornela Ujejskiego" w „Życiu" Krak. 1898, N. 8—12. — Tadeusz Pini: „Kornel Ujejski. Wspomnienie pośmiertne", Lwów, 1897.

pieczna" ma dużo wdzięku salonowego i chętnie bywa przez artystki deklamowana. Wyjątkowo pięknym jako całość jest „Anioł Pański", w których słychać dźwięki „Lirenki" Lenartowicza.

Natomiast w „Tłomaczeniach Chopina", pisanych między r. 1857 a 1860, znajdują się utwory dorównywające najlepszym z dawnych („Zakochana", „Terkotka", „Kto lepiej"), a między nimi jeden, który pod względem artyzmu za największe arcydzieło Ujejskiego poczytanym być musi—to „Marsz pogrzebowy", odtwarzający w sposób świetny rozpacz po stracie ukochanej. Wesołe i naiwne ustępy, przypominające szumki Bohdana Zaleskiego, są ładne, lecz znać w nich pewne przymuszanie się do tonu, który wrodzonym i właściwym poecie nie był; przeciwnie w wyrażeniu cierpienia, lubo rytm wzięty częściowo z Zaleskiego „Lach serdeczny na marach", widzimy głębię i samoistność, a stopniowanie uczuć aż do bluźnierstwa, działa wstrząsająco, bo pełne jest prawdy, namiętnie odczutej i silnie wypowiedzianej.

O publicystycznym zawodzie Ujejskiego będę musiał pomówić jeszcze w następnym okresie, ale o jego twórczości poetyckiej na tem już miejscu wypada zakończyć, gdyż nowego w niej zwrotu nie dostrzegamy; jest zresztą bardzo szczupłą. Po r. 1864 napisał tylko drugą część „Skarg Jeremiego", smutniejszą i mroczniejszą od pierwszej, „Tłomaczenia Beethovena: Largo i Allegretto", wiersz do Poezyi (trochę mętny) i parę poemacików dla ludu. Jako wyznawca „idei mesyanicznej", jako romantyk najszlachetniejszy, nie mógł się Ujejski pogodzić z prądem, który zwłaszcza od r. 1867 powiał w Galicyi; protestował więc przeciwko utylitarno-oportunistycznemu kierunkowi. Ogarniało go nieraz zwątpienie, ale się z niem krył, starając się podnieść i pokrzepić ducha. Na sprawy ogólne patrzył zawsze z wysoka, obejmując szerokie widnokręgi. „Jestem za gorący—mówił on w r. 1870,—a przytem bezwzględnie szczery; ni-

lubię krętych dróg, wolę gościniec, choćby cierniami usłany, a wprost do celu prowadzący. Uczucie sta wiam wyżej rozumu, a natchnienie u mnie to rozumu szczyt. Przedewszystkiem cenię niezależność mojej osoby i moich przekonań; tem samem niełatwo poddaję się karności. Pragnę zgody, tej harmonii dusz, alę dla miłej zgody nie zrobię nigdy najmniejszego ustępstwa z wewnętrznej treści moich przekonań,—z formy łatwiej."

W r. 1880 porzucił Ujejski uciążliwy już dla siebie zawód gospodarza wiejskiego i pokrzepiwszy siły swoje w Norderney, przeniósł się na stałe mieszkanie znów do Pawłowa, gdzie osiadł syn jego młodszy. Zajął się wtedy pisaniem poemacików dla ludu, którego losem nie tylko teoretycznie się interesował. Znam jeden z tych utworów p. t. „Ptasie gniazdo", drukowany w r. 1884; mieści się w nim nauka litościwego postępowania ze zwierzętami. Drugi utwór p. t. „Grzela czyli r. 1846" nie wiem czy został ukończony; początek drukował poznański „Przyjaciel ludu". O ile można wnosić z „Ptasiego gniazda", nie umiał się Ujejski należycie nagiąć do potrzeb umysłu nieukształconego. Ostatniem znanem jego pismem jest jego list zwrócony do wiecu chłopskiego we Lwowie r. 1894. Z powodu choroby nie mogąc w tym wiecu uczestniczyć osobiście, przesłał mu serdeczne pozdrowienie, wyraził radość, że się dokonało to, czego dusza jego pragnęła, t. j. uświadomienie narodowe ludu, dołączył wreszcie przestrogę dla obrońców sprawy ludowej: „walczcie śmiało, lecz spokojnie; nie gwałt, ale spokój jest prawdziwą siłą i daje wytrwałość w bojowaniu".

Ujejski nie był zwolennikiem hasła: sztuka dla sztuki; owszem uważał ją za środek oddziaływania na społeczeństwo, budzenia w niem uczuć szlachetnych i wielkich. O sławę ani o popularność się nie ubiegał. Zostawał w tem szczęśliwem położeniu, że nigdy troski materyalne nie gnębiły jego ducha, że

nigdy nie potrzebując pisać dla zarobku, mógł swobodnie słuchać tylko natchnienia i najgłębszych wewnętrznych przekonań („arcydzieła rodzą się w płomieniu, a wykonywają się tylko w pokorze"). To też przechował wierność dla ideałów młodości aż do zgonu, nie wykluczając bynajmniej idei postępu duchowego. Jednolity w słowach i postępowaniu, zawsze trzymał wysoko sztandar poezyi narodowej. Zasługi jego można scharakteryzować własnemi jego słowy, powiedzianemi podczas jubileuszu (r. 1893) we Lwowie: „Wszystko tu zmienne i znikome, wszystko przemija i najgłośniejsza sława przemija. I nic niestosowniejszego jak wyraz nieśmiertelny, przyczepiony do dzieł ludzkich."

Ze wszystkich poetów, w kraju tworzących, Ujejski i rodzajem natchnienia i potęgą słowa, zbliżył się najwięcej do trójcy genialnych poetów naszych: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, chociaż pod względem oryginalności, nietylko od nich, ale i od Malczewskiego i od Zaleskiego był niższy. Napisał niewiele, bo zbiorowe wydanie jego „Poezyj" mieści się w dwu lub trzech tomikach (Lipsk, 1866, Przemyśl, 1893, Warszawa, 1898); rytm i język niezawsze były mu posłuszne; ale wszystko u niego, czy gorsze, czy lepsze pod względem artystycznym, jest szczerym wyrazem wzniosłej duszy, czasem przesadnie nastrojonej. Jestto poeta, który największą chlubę przyniósł Galicyi, jako miejscu rodzinnemu, bo niektóre słowa jego chwytał kraj cały. Przyglądając się działalności innych poetów, w kraju piszących, równego jemu nie ujrzymy ani w tym, ani w następnym okresie.

---

4. Królestwo polskie.

XVI.

Po r. 1831 najbardziej wyludnionem z ludzi zdolnych było Królestwo Polskie, a w szczególności Warszawa. „Towarzystwo przyjaciół nauk" zostało rozwiązane i już nie dźwignęło się nanowo. Uniwersytet zniknął również, a wychowanie publiczne przybrało kierunek czysto utylitarny: chodziło w niem o wykształcenie duchowieństwa, nauczycieli, urzędników i agronomów. Akademia duchowna, otwarta w roku 1837, przez cały ciąg swego istnienia, t. j. do r. 1865 była tylko nieco wyższem seminaryum, nie miała ani chwili blasku, nie zasłynęła znakomitymi profesorami, nie wydała odznaczających się uczniów. Wykształciła ona kilka pokoleń księży, mogących zajmować wyższe stopnie kościelne; nie natchnęła wprawdzie ich ani fanatyzmem, ani ultramontanizmem, lecz nie obudziła w nich także gorliwości w obronie wiary wobec szerzącej się filozofii niezależnej. Ci, którzy tę obronę podejmowali, byli to ludzie świeccy, albo też księża, pochodzący z Wołynia i Podola, a i to w bardzo małej liczbie.

Celem wykształcenia nauczycieli zaprowadzono przy liceum warszawskiem, zostającem pod kierunkiem Lindego, w najwyższej klasie dwa oddziały: filologiczny i matematyczny, tworząc z nich rodzaj maleńkiego seminaryum nauczycielskiego, gdzie prócz wykładu pedagogiki i innych nauk zaprawiano także młodzież do wykładów. W r. 1839 utworzono z tego „Kursa dodatkowe", które przetrwały lat 10. Dla wykształcenia prawników otwarto w r. 1843 „kursa prawne", ale te istniały bardzo krótko, bo do r. 1847, kiedy przy uniwersytetach w Moskwie i Petersburgu ustanowiono katedry prawa polskiego i kodeksu cywil-

nego, z wykładem polskim, co przetrwało do r. 1862. Wreszcie naukę rolniczą miał szerzyć instytut w Marymoncie, istniejący od r. 1819; nie wszczepił on naprawdę wiedzy agronomicznej, a z jego profesorów jeden tylko zacny dziwak, *Wojciech Jastrzębowski* (1799 † 1882) nabył rozgłosu nie tyle swoim poglądem na ustrój wszechświata („Anankonomia"), ile serdecznością swego charakteru i umiejętnością zyskiwania posłuchu u młodzieży. Od r. 1844 zapanował w wychowaniu publicznem kierunek realny, wprost przeciwny filologicznemu. Na całej przestrzeni Królestwa pozostało jedno tylko gimnazyum w Warszawie, t. zw. „gubernialne", gdzie uczono łaciny i trochę greczyzny. Resztę dawniej istniejących gimnazyów albo zamieniono na szkoły powiatowe (4-klasowe), czy też na szkoły (lub gimnazya) realne, albo całkowicie zniesiono.

Wobec takiego stanu szkół średnich i instytucyj, przygotowujących do zawodów praktycznych, niepodobna myśleć o rozwoju *nauki;* co najwyżej troszczono się o układanie podręczników dla potrzeb wychowania w zakresie początkowym i średnim. Pozostali z dawniejszych czasów nauczyciele i profesorowie, nie widząc przed sobą żadnych widoków, zaprzestali pracować nad posuwaniem umiejętności naprzód lub choćby tylko nad dotrzymaniem kroku rozwojowi nauki w Europie. Rzadkie pod tym względem były wyjątki, a do najgłośniejszych należeli:

Wacław Aleksander Maciejowski (1793 † 1883), rodem ze Ślązka austryackiego, prawnik-historyk, reprezentujący w Warszawie ten kierunek słowiański, jaki poznaliśmy w Poznańskiem, Krakowie i Lwowie, autor obszernej „Historyi prawodawstw słowiańskich" (1832 — 35; drugie wyd. 1856 — 65, sześć tomów), „Polski i Rusi pod względem obyczajów" (1842), „Piśmiennictwa polskiego" (1851—2) i wielu innych prac badawczych, bardzo zresztą dowolnie i kaprysśnie wykonywanych. Nie miał on miru wśród współ-

czesnych z powodu twierdzenia o istnieniu obrządku słowiańskiego w początkowych dziejach chrześcijaństwa w Polsce.

Jan Jakób Szwajnic (1795 † 1867), prawnik-historyk tak samo jak Maciejowski, równie jak on profesor na „Kursach prawnych“, zajmował się krytycznem rozpatrywaniem stosunków rzymskich. Znając dobrze poglądy reformatora studyów w tym kierunku, Niebuhra, wydał poważne i cenne dzieło: „Historya narodu i państwa rzymskiego“ (1845—7, trzy tomy, Warszawa), ale nie znalazł wielu czytelników i dokończenie tej pracy, na ogromną zamierzonej skalę, musiał pozostawić w rękopiśmie.

Antoni Waga (1799 † 1890), przyrodnik po literacku wykształcony, niezmordowany badacz, wsławiony później w Europie odkryciem nowego gatunku salamandry, piszący dużo przed r. 1830, w tym okresie ogłosił drukiem niewiele, działalnością jednak wychowawczą przyczyniał się do budzenia zamiłowania do nauk przyrodniczych.

Z młodszych sił nauce naszej przybywało bardzo mało. Ci nawet, co jako stypendyści kończyli uniwersytety w Moskwie czy Petersburgu, bywali dobrymi nieraz praktykami, lecz się uprawą umiejętności nie zajmowali. Młodzież, mająca uzdolnienie literackie, zazwyczaj studyów uniwersyteckich nie odbywała.

XVII.

Czasopiśmiennictwo dźwigało się bardzo powoli. Z dwudziestu kilku wydawnictw peryodycznych, jakie w r. 1831 wychodziły, pozostało na rok 1832 tylko cztery polityczne („Dziennik powszechny krajowy“ pod redakcyą znanego powieściopisarza, Feliksa Bernatowicza, „Gazeta Warszawska“, „Gazeta Codzienna“ i „Kuryer Warszawski“), a jedno jedyne

niby-literackie p. t. „Tygodnik polski.“ Charakter tego jedynego pisma literackiego i jego losy są najwymowniejszem świadectwem ówczesnego ubóstwa pod względem talentów i ówczesnej apatyi społeczeństwa. Wydawcą i redaktorem „Tygodnika“ był wykształcony prawnik, *Damazy Dzierożyński*. Jako umysł poważny chciał on i pisemko swoje w tonie poważnym utrzymać. Każdy numer składał się w pierwszem półroczu z czterech głównych działów p. t. 1) naukowość, 2) moralność i prawność, 3) gospodarstwo i wynalazki, 4) gazeta rozmaitości, gdzie obok króciutko podawanych nowin politycznych oraz ekonomicznych z różnych stron kraju mieszczono także poezye (zwykle bardzo liche), przysłowia, aforyzmy. Na czele numeru szedł przekład dzieła Julliena, dokonany zapewne przez samego redaktora, p. n. „Zarys nauki względem użycia czasu czyli tryb dobrego zarządzenia swojem życiem, najpierwszy środek do uszczęśliwienia.“ Po dwu miesiącach musiał już redaktor „Zarys“ ten usunąć na plan dalszy, gdyż pierwsze miejsce zajęły bardziej zajmujące artykuły; wprowadził prócz tego powiastki i anegdotki; wierszom (dostarczanym głównie przez *Władysława Miniewskiego*, bajkopisa w stylu klasycznym) więcej przestrzeni udzielał; wreszcie w końcu drugiego kwartału powieść objęła rolę naczelną w numerze („Noc zaczarowana“). Z kwartałem trzecim tytuł pisma uzupełnia się dodatkiem, uwydatniającym rozrywkę umysłową („Tygodnik polski wiadomości *przyjemnych* i użytecznych); a powieści i wogóle artykuły bawiące zajmują odtąd przeważną część numeru; wszystkie prawie powiastki, jak zresztą anegdoty i rozprawki, są *tłomaczone*. Tu i owdzie tylko znajdzie się, obok bajki Miniewskiego, artykuł Fryderyka Skarbka, Franciszka Królikowskiego i t. p. W takiej formie doprowadził Dzierożyński pismo swoje do końca r. 1832. Przytem na r. 1833 ogłosił *pierwszy* w tym okresie na cały kraj „Noworocznik polski płci

pięknej poświęcony", skromny rozmiarami, z ryciną narysowaną przez Jana Piwarskiego, a rytowaną przez Ditricha. Większą część książeczki zajmuje powiastka Bernatowicza: „Powódź"; po niej idzie interesująca „Rzecz o śpiewach ludu między rzekami Bugiem, Wkrą i Niemnem mieszkającego." Resztę zbiorku wypełniają wiersze, między którymi najważniejsze są przekłady z Lamartine'a, oraz pieśń sycylijska i nowogrecka. Z początkiem r. 1833 znowu Dzierożyński zreformował swój „Tygodnik", zmniejszył format, zniżył cenę, zaczął go wypełniać prawie wyłącznie artykułami lekkimi, z dodatkiem na końcu „Treści gazet z ostatniej poczty." Chciał dawać ryciny, ale prenumeratorowie nie zgodzili się na podniesienie opłaty, więc zaniechał zamiaru. Powiastek umieszczał dużo, najwięcej tłomaczonych z Balzac'a; są jednak i oryginalne. W N. 1 i 2 czytamy powiastkę p. t. „Gastołd" z podpisem Zygmunt Kr.(asiński) i z taką uwagą redaktora: „Spodziewamy się, że nasi czytelnicy podzielą z nami to zdanie, iż w niniejszej powieści styl męski z czasów Górnickich i Skargów nie tłumi wytwornej polerowności nowszych wyobrażeń. Starać się więc będzie redakcya zasilać swe pismo podobnemi, tak wiele obiecującemi dla literatury naszej tworami." W dalszych atoli numerach nie spotykamy już pism młodzieńczych Krasińskiego. W połowie r. 1833 przeszedł „Tygodnik" pod redakcyę „wydawcy Gazety Codziennej", której Dzierożyński został spółpracownikiem. Nowa redakcya powiększyła format, do tytułu dodała objaśnienie, że jest to „pismo rzeczom *naukowym* i przyjemnym poświęcone", znowu więc wysunęła naukowość na przód, starając się rozmaitością i ciekawością poruszanych tematów zainteresować czytelników. Dawano przeważnie i teraz przekłady; ale artykuły oryginalne niekiedy były bardzo dobrze pisane. „Tygodnik" przestał być tygodnikiem; wychodził bowiem w zwiększonej liczbie arkuszy tylko dwa razy na

miesiąc. Pomimo usilnych starań o ożywienie pisma trudno było przełamać obojętność ogółu; skarżyła się więc redakcya: „Z boleścią wyjawić przychodzi, jak szczupły obręb zatrudnienia umysłowe wzięły, kiedy jedno jest tylko w tym rodzaju pismo peryodyczne i to, dla małej liczby prenumeratorów, do upadku zmierza. Że myśl zysku nami nie powodowała, o tem każdy, porównawszy cenę przedpłaty z objętością zeszytu i gatunkiem papieru, łatwo się przekona. Pasowaliśmy się więc w nadziei, że liczba prenumeratorów usiłowania nasze wesprze, lęcz zawiedzeni w oczekiwaniu, wyznajemy, że dalsze wydawanie możność naszą przechodzi. Lecz smutna myśl, że nam się zarumienić przyjdzie w obliczu innych narodów, szczycących się tak wielką liczbą rozmaitych pism, które może powiedzą, iż nasz umysł odrętwiał na wszelkie powaby nauki; nadzieja zresztą, która i upadającym na pomoc przybywa i pociesza ich błogą przyszłością, wstrzymała nasze kroki i do dalszego wydawania skłoniła." Ale nie na długo. Sądząc, że dotychczasowy sposób prowadzenia pisma (tłomaczenia z obcych języków i pomieszczanie „materyj, które do rozerwania umysłu służą") był przyczyną małej liczby abonentów, postanowiono skierować się „głównie do rzeczy krajowych, które czy to pod względem naukowym, czy pod względem rozrywki, okażą się może powabniejszemi." Ponieważ na pierwszem miejscu kładziono naukę, więc przewidywano, że nie wszystkim się dogodzi; to też usprawiedliwiano się z góry, mówiąc: „Gdyby było wiele pism w tym rodzaju, wówczas mógłby każdy żądać, nie tylko zaspokojenia potrzeby, ale i dogodzenia wyłącznym życzeniom. Lecz kiedy tylko jest jedno na nieszczęście, przeto musimy się ograniczyć na samej potrzebie, zwłaszcza, że i gazety to, co może zabawić, po większej części obejmują." Przewidywanie się sprawdziło; abonenci nie mogli widocznie strawić szczegółowych „Uwag nad gramatyką Kopczyńskie-

go“ i odpadli od „Tygodnika“ tak, że z końcem r. 1833 musiał być zamknięty. Niewielką on posiadał wartość literacko-naukową, ale jako pierwsze usiłowanie obudzenia ruchu umysłowego po r. 1831 zajmuje w czasopiśmiennictwie naszem miejsce naczelne; Dzierożyński zaś jako początkodawca zasługuje na pamięć.

Za jego przykładem poszli inni, szukając sposobów trafienia w gust publiczności. „Noworocznik“ Dzierożyńskiego wywołał cały szereg coraz ozdobniejszych wydawnictw tego rodzaju tak, że przez lat kilkanaście była to forma ulubiona rozpowszechniania poezyj, powiastek, wiadomości historycznych i rycin. Najwięcej się podobał pierwszy z rzędu, wydany na rok 1834 p. t. „Jutrzenka.“ Jego redakcyą zajął się Kazimierz Brodziński i zgromadził wiązkę utworów belletrystycznych rzeczywiście pięknych, a pomiędzy niemi jego poezye (zwłaszcza „Dziadek“) i jego rozprawka („O piękności i wzniosłości“) oczywiście błyszczały jak brylanciki. Z dalszych wymienić należy „Wianek“ na r. 1836 i 1837 zebrany i ułożony przez *Karola Korwella* (1809 † 1850), który następnie, poczynając od r. 1838 prawie rok rocznie aż do 1847 ogłaszał podobne zbiorki p. t. „Niezapominajki“ z przewagą naturalnie belletrystyki, ale z dopuszczeniem wspomnień dziejowych, dostarczanych mu zazwyczaj przez *Wincentego Hipolita Gawareckiego* (1788 † 1852), niezmiernie ruchliwego i pracowitego prawnika, zajmującego się szczególniej historyą miast naszych. Na wyróżnienie też zasługuje pierwsze nasze wydawnictwo, podjęte i wypełniane przez lat kilka wyłącznie przez kobiety, p. t. „Pierwiosnek“ (1838—1843). Redakcyę jego prowadziła zasłużona autorka dla dzieci *Paulina z Radziejowskich Krakowowa* (1813 † 1882). Nie miało ono bynajmniej na celu dążności emancypacyjnych, lecz pragnęło pobudzać kobiety do większej pracy umysłowej, do wyższego wykształcenia, ażeby mogły

spełnić swe zadanie jako matki-wychowawczynie przyszłych pokoleń. Powołało do współpracownictwa znaczną liczbę panien głównie, ale z nich zaledwie drobna cząstka wytrwała na niwie literackiej; powychodziwszy za mąż, łatwo zapominały o zawodzie pisarskim.

Takie książeczki, ukazujące się raz na rok, nie mogły oczywiście mieć większej doniosłości, nie mogły marzyć o wywołaniu wpływu na poglądy i przekonania. Ale stworzenie organu peryodycznego, czyniącego zadość takiemu wymaganiu, nie było łatwe. Przedewszystkiem musiano zabawiać prenumeratorów. Myśl Dzierożyńskiego o dołączaniu rycin do „Tygodnika" pochwycił księgarz warszawski J. Glücksberg i z początkiem r. 1834 zaczął wydawać obrazkowy „Magazyn powszechny" na wzór angielskich, francuskich a głównie niemieckich „groszowych magazynów." Ryciny brał z zagranicy, tekst objaśniający kazał tłomaczyć. Chociaż redaktorem został Kazimierz Brodziński i przez półtora roku „Magazynem" się zajmował, nie mógł on nic więcej zrobić, jak dbać o czystość języka i dawać swoje artykuły, gdyż o pozyskaniu stałych spółpracowników wobec szczupłych funduszów, wyznaczonych na redakcyę, niepodobna było myśleć. Pomimo jednak obcej przeważnie treści, „Magazyn" dając obrazki, przedstawiające czy to sławne gmachy, czy zabawne rzeczy, czy przedmioty natury, taniością swoją przemówił do czytelników, pozyskał wziętość i wywołał spółzawodnictwo. Przedsiębiorczy, znany nam literat *Franciszek Salezy Dmochowski* († 1870), z początkiem roku 1835 zaczął wydawać ilustrowane „Muzeum Domowe", a chociaż ryciny brał także z obczyzny, dawał częściej tekst oryginalny i obiecał umieszczać sprawozdania z ruchu literackiego. Z początku dotrzymywał tej obietnicy, lecz później czy to że nie chciało mu się pełnić obowiązku recenzenta, czy też że ta rubryka nie była zbyt poczytną, dał pokój krytyce;

pobudził jednak ze swej strony redakcyę „Magazynu powszechnego“, która przeszła w ręce skrzętnego kompilatora, *Leona Rogalskiego* (1806 † 1878) do większej dbałości o rzeczy swojskie, a nawet o oceny dzieł nowo się ukazujących. Dmochowski nie przetrzymał spółzawodnictwa i w początkach r. 1840 zamknął „Muzeum“ swoje, sprzedał drukarnię i księgarnię i wyniósł się na wieś, by gospodarować. „Magazyn powszechny“ dotrwał do końca r. 1842, zapełniając się coraz poważniejszemi rozprawami, dotyczącemi często rzeczy krajowych, chociaż cecha pierwotna obczyzny nie zeszła z niego nigdy. Trwalsze istnienie miał „Magazyn mód“ założony w roku 1835 i aż do r. 1860 włącznie prowadzony przez *Joannę z Sucheckich Widulińską* († 1864), autorkę kilku powiastek dla dzieci. Oczywiście ryciny mód i powieści były tu główną przynętą.

Pomijając krótkotrwałe wydawnictwo, ogłaszane od r. 1835 do 1838 p. t. „Światowid, czyli zbiór najciekawszych powieści i artykułów tak tłomaczonych jak i oryginalnych“ przez redaktora „Gazety Warszawskiej,“ *Jana Nepomucena Krupskiego* (1799 † 1856), oraz dodatki powieściowe do różnych gazet dołączane pod osobnymi tytułami, wspomnieć potrzeba „Panoramę literatury krajowej i zagranicznej“ jako próbę poważniejszego organu dla spraw literacko-krytycznych. Rozpoczął jej wydawanie r. 1836 młody wtenczas *Antoni Józef Szabrański* (1799 † 1882), prawnik z zawodu, rymopis, znający dobrze literaturę niemiecką, późniejszy tłomacz „Pieśni o Nibelungach.“ Szło mu niesporo; ani spółpracowników, ani prenumeratorów nie mógł zgromadzić w znaczniejszej liczbie; sam wypełniał znaczną część numerów, w przeciągu dwu lat ogłosił sześć zeszytów i urwał. Niebawem wszakże miał stanąć na czele innego naukowo-literackiego pisma, istniejącego do dziś dnia. Zebrało się grono zamożnych ludzi, z których paru miało wyższe uniwersyteckie wykształcenie; ci

złożyli pewien fundusz, mający zapewnić wydawnictwu trwałość w razie, gdyby prenumerata nie pokryła kosztów. Postanowiono też wypłacać autorom honorarya za artykuły. W ten sposób wyposażona „Biblioteka Warszawska“ zaczęła się ukazywać z początkiem r. 1841. Żaden z działów wiedzy czy beletrystyki nie był z niej wykluczony. Chociaż wśród jej założycieli znajdował się jeden hrabia zajmujący się dramatopisarstwem i historyą *(Aleksander Przezdziecki)*, kierunek przecież jej był zupełnie demokratyczny i postępowy, lecz umiarkowany. Nie frazesami chciano dopomagać rozwojowi myśli ludzkiej i reformie stosunków społecznych, lecz spokojnem rozumowaniem, przedstawianiem faktów. Tak np. redakcya pragnęła wyzwolenia chłopów, lecz nie dążyła do tego celu pomieszczaniem wycieczek przeciwko szlachcie; dała natomiast obraz uregulowania stosunków włościańskich w W. Ks. Poznańskiem, skreślony przez fachowca. Podobnie postępowała w roztrząsaniu zagadnień filozoficznych, w ocenie znaczenia rozumu, znaczenia arystokracyi i stanu miejskiego. Zwolenniczka swobody myśli i wolności politycznej, pragnęła parlamentarnie wszystko traktować. Z jej spółwłaścicielami poznamy się jeszcze później; tu wymienić należy jedną tylko osobistość, jakby zrosłą z „Biblioteką“, gdyż po za nią nic zgoła nie ogłaszał. Był to filozoficznie wykształcony prawnik, ekonomista, krytyk obdarzony jasnym, trzeźwym sądem i talentem pisarskim, *Feliks Zieliński* (1817 † 1876).

Ów spokój, a czasami i chłód w obrabianiu spraw palących, nie mógł się podobać entuzyastycznej młodzieży, a gdy się znalazł człowiek zamożny, mogący łożyć na wydawnictwo, powstało pismo o barwach gorętszych. Tym mecenasem niecierpliwego postępu był *Edward Dembowski* († 1846), syn kasztelana Leona, a tem pismem był „Przegląd Naukowy.“ Dembowski, otrzymawszy bardzo staranne

wykształcenie w domu, rozszerzywszy je w obcowaniu z ludźmi światłymi w kraju i za granicą, przejął się do głębi, z właściwym sobie niemal konwulsyjnym zapałem, badaniami filozoficznemi i dążnościami demokracyi radykalnej. Filozofię niemiecką, mianowicie Hegla, poznał gruntownie, przyswoił sobie jej metodę dyalektyczną, uznał filozofa berlińskiego za największego „mistrza ludzkości", ale starał się posunąć dalej stanowisko przezeń zajęte, kojarząc z poglądami filozoficznemi dążenia społeczne, oparte na podniesieniu ludu do znaczenia czynnika pierwszorzędnego w narodzie. Młody, namiętny, był bezwzględnym w swoich uwielbieniach i wstrętach. W „Przeglądzie Naukowym", który założył r. 1842 wspólnie z *Hipolitem Skimborowiczem* (1815 † 1880), bibliografem zapalonym i wydawcą paru krótkotrwałych czasopism, przez dwa lata blizko gorliwie się zajmował szerzeniem swoich poglądów, drukując mnóstwo artykułów najróżnorodniejszej treści, bo dotykających filozofii, poezyi, matematyki, astronomii, nauk przyrodniczych i technicznych. Pisał pośpiesznie, pod względem językowym niepoprawnie, pod względem stylowym niejasno a jaskrawo, ledwie szkicując swe myśli, ale z takiem przejęciem się rzeczą, z takim entuzyazmem, że wśród młodzieży wywoływał żywe zainteresowanie się i zdołał osiągnąć pokaźną na owe czasy liczbę prenumeratorów (523). W artykułach filozoficznych zapowiadał nadejście filozofii przyszłości, która „nie tylko myśl za istotę świata uzna, lecz dołączy do niej dwa inne czynniki: *uczucie i twórczość*, czynniki jednoznaczne z myślą i z sobą, a zarazem jednoznaczne z bytem." W rozprawkach estetyczno-literackich, uznając nadzwyczajną ważność pięknej formy w dziełach sztuki, żądał równocześnie wielkich myśli i potężnych uczuć; zadaniem bowiem sztuki jest wznoszenie ducha i rozczulanie serca; wszelka pospolitość, rażąca trywialność powinna być z niej wykluczona. W krytyce

był niezmiernie wymagającym i surowym, o ile nie znajdował myśli pokrewnych swoim, gdy zaś takie odnalazł, ślepł na wady. W końcu r. 1843 przeniósł się do W. Ks. Poznańskiego, gdzie zbliżył się z mężami przedstawiającymi ideę postępu, wziął czynny udział w ówczesnej publicystyce, w „Dzienniku Domowym“, „Tygodniku literackim“ i „Roku“, stał się, mimo nader młodego wieku, jedną z najbardziej wpływowych osobistości w stronnictwie ruchu. Osobno ogłosił ciekawą historyę literatury naszej p. t. „Piśmiennictwo polskie w zarysie“ (1845, Poznań) pierwszą próbę uogólnienia poglądu na teń przedmiot; dużo tu dziwactw, ale i wiele trafnych spostrzeżeń.

Po wyjeździe Dembowskiego z Warszawy, gwałtowność polemiki ustała w „Przeglądzie Naukowym;“ Skimborowicz nie posiadał filozoficznego wykształcenia, by dalej pismo w poprzednim kierunku prowadzić; pozostał atoli demokratą, chętnie mieścił rozprawy, dotyczące emancypacyi kobiet, i znacznie podniósł literacką stronę pisma przez dobór pięknych powieści i poezyj. „Przegląd“ zakończył swój byt w r. 1848.

Opozycyę względem filozofii niezależnej od religii, a więc względem „Przeglądu Naukowego,“ a po części i „Biblioteki Warszawskiej,“ założyła w Warszawie kobieta, pierwsza Polka, zajmująca się seryo „nauką nauk,“ *Eleonora z Gagatkiewiczów Ziemięcka* (1819 † 1869). Poznała ona najprzod filozofię francuską, potem entuzyazmowała się Heglem, wreszcie, niewiadomo pod jakim wpływem poddała jego filozofię krytyce w „Myślach o filozofii“ (1840 r.)—pierwszej krytyce tego kierunku u nas — i zapragnęła, na wzór ówczesnych francuskich myślicieli z obozu katolickiego, pogodzić wiarę z rozumem. Wychodził wprawdzie od r. 1841 w Warszawie „Pamiętnik religijno moralny,“ ale ten nie miał dążności literackiej i filozoficznej; przeznaczony był ku zbudowaniu wiernych i podawał szczegóły z dziejów kościoła pol-

skiego. Ziemięcka tedy od początku r. 1842 zaczęła wydawać miesięcznik literacko-filozoficzny p. t. „Pielgrzym.“ Nie wdawała się tu ona w polemikę z filozofią niemiecką, uznawszy ją za błędną, rozwijała jedynie zasady filozofii chrześcijańskiej, w zastosowaniu do rozmaitych dziedzin działalności ludzkiej. Przy każdej sposobności przypominała, że filozofia „obiegła całe możliwe koło obłąkań,“ że jest „próżnem gonieniem za ogólnikami rozumu,“ że jest „nikczemnem mędrkowaniem,“ „pyłem wiedzy,“ „szumem mądrości ludzkiej” i t. p. Najulubieńszem atoli wyrażeniem, powtórzonem nieskończoną ilość razy, jakiem piętnowała samodzielne prace umysłu, jest „pycha rozumu;“ gdziekolwiek rozum chce zachować samoistność, tam widziała wyłącznie i zawsze jego „pychę“ tylko. Poza tem jednak Ziemięcka nie różniła się w poglądach z postępowcami; lubo nie napisała, ani też nie zamieściła w „Pielgrzymie“ żadnego artykułu w sprawie włościańskiej, odzywała się ubocznie z sympatyą dla uciśnionych i biednych, a teorya naczelnego znaczenia arystokracyi w społeczeństwie nie znalazła odgłosu w jej miesięczniku. Zapełniała go przeważnie sama, dawała mnóstwo tłomaczeń z francuskiego, gdyż współpracowników uzdolnionych nie mogła znaleźć na miejscu, zasilali jej pismo głównie pisarze z Rusi i Litwy, a gdy i ci w swoim zapale ochłodli, musiała z końcem roku 1846 przerwać swe wydawnictwo.

„Pielgrzym” nie wywarł w owej dobie wpływu silniejszego, mało był czytany; jak gdzieindziej, tak i w Królestwie sympatye tych, co się literaturą parali, były po stronie demokracyi. Widać to nie tylko z artykułów i dzieł w sprawie włościańskiej [1]), ale

---

[1]) Z kilku dzieł o tej sprawie, wydanych imiennie (*Andrzej Edward Koźmian*, *Piotr Łubieński)*, lub bezimiennie („O chłopach,“ 1847 r, Lipsk), najważniejsze są dwie obszerne

i z zajęcia się twórczością ludową, z poezyi przenikniętej motywami ludowymi.

XVIII.

Najwybitniejszy przedstawiciel czci dla twórczości ludowej w Królestwie — to *Kazimierz Władysław Wojcicki* (1807 † 1878). Nie był to umysł krytyczny, ale zbieracz zapalony, interesujący się wszystkimi szczegółami życia ludowego i umiejący mówić o nich z przejęciem. Już przed r. 1830 zajmował się tym przedmiotem i na konkurs, ogłoszony przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk, napisał jedyną rozprawę o zwyczajach i obrzędach ludowych; rozprawa ta nie doczekała się druku, ale korzystał z niej Łukasz Gołębiowski w dziele swojem p. t. „Lud“ (1830 r., Warszawa). Po r. 1831 znalazł się Wojcicki w Galicyi, żył w towarzystwie Borkowskich, Bielowskiego i Magnuszewskiego, którego siostrę pojął za żonę. Tu jeszcze bardziej przeniknął się ważnością badań etnograficznych, a za powrotem do Królestwa, spożytkowując obficie zbiór Wacława z Oleska, ogłosił dwa tomy „Pieśni ludu Białochrobatów, Mazurów i Rusi z nad Bugu, z dołączeniem odpowiednich pieśni ruskich, serbskich, czeskich i słowackich“ (1836—37 r., Warszawa). Równocześnie drukował „Starożytne przypowieści z XV, XVI i XVII wieku“ (1836 r.), oraz „Klechdy, starożytne podania i powieści ludu polskiego i Rusi“ (1837 r.). Z temi poszukiwaniami etnograficznemi połączył niebawem badania nad dawnymi zwyczajami wogóle i nad starem piśmiennictwem naszem, a wyniki swoich dochodzeń składał w luźnych

---

prace *Józefa Gołuchowskiego*, byłego profesora w uniwersytecie wileńskim, gospodarującego teraz w Królestwie: „Kwestya włościańska w Polsce“ (1849 r., Lipsk), „Rozbiór kwestyi włościańskiej w Polsce i w Rosyi“ (1851 r., Poznań).

obrazkach, przystępnie pisanych, takich jak: „Stare gawędy i obrazy“ (1840 r., cztery tomy), „Zarysy domowe“ (1842 r., cztery tomy) i t. p. Jego „Historya literatury polskiej w zarysach“ (1845 — 46, cztery tomy, drugie wydanie znacznie powiększone 1859 — 61), będąca właściwie wypisami historyczno-literackimi, stanowiła przez długi czas karm' główną młodszego pokolenia, chcącego się poznać z piśmiennictwem epok ubiegłych. Jako redaktor „Biblioteki Warszawskiej“ po Szabrańskim nie tylko nie odstręczał młodzieży od współpracownictwa w swem piśmie, ale owszem, chętnie ją do siebie przygarniał. To też młodzież warszawska, poświęcająca się literaturze, choć czasem żartowała ze zbieracza, szanowała go przecież i szła do niego po radę, gdy jakiś temat dziejowy opracować chciała. W późniejszej dobie, gdy wymagania krytyczne wzrosły, Wojcicki utracił wiele ze swojej powagi, ale około r. 1840 cieszył się nią jeszcze w zupełności.

Z pomiędzy owoczesnej młodzieży, mniej lub więcej uzdolnionej, wydatnieje grupa, przezwana przez podobieństwo do równoczesnej grupy francuskiej „cyganeryą warszawską.“ Głównemi hasłami jej były: szerzenie idei demokratycznych, zaznajamianie się z ludem w pieszych po kraju wędrówkach, zbieranie pieśni, klechd, podań, zapisywanie zwyczajów ludowych, czerpanie z utworów fantazyi ludowej wątku albo też barw do obrazków czy pieśni artystycznych. Z temi demokratycznemi dążeniami łączył się wstręt do salonowości i lekceważenie wszelkich konwenansów, a gorące uwielbienie dla nastroju poetyckiego, marzycielstwa i entuzyazmu. Przejąwszy z romantyczności fantastykę ludową, chętnie się nią poeci tej grupy posługiwali; a potępienie rozumu i mądrości książkowej doprowadzili do krańców. Chcieli zawsze w poezyi występować jako natchnieni, a że natchnienie na zawołanie nie przychodzi, sztukowali się górnolotnymi frazesami, które rozważane spokojnie, w ze-

stawieniu z małością treści opiewanej, budzą nieraz uczucie nie wzniosłości, ale śmieszności. Mieli oni nastrój Magnuszewskiego, alę nie posiadali jego siły. Jako ich właściwość myślową można podać przejęte z „Chattertona“ Alfreda de Vigny narzekanie na „ból świadomości“ bez chęci jednak wyrzeczenia się tego bólu, gdyż on ich wyróżnia od ludzi pospolitych, bezmyślnych. Jeden z tego grona tak malował pokrewne mu usposobienia:

......Dziwni z twarzy, z mowy,
Często nudni, szaleni; ich posępne lica
Na świecie, jak na kwiatach całun pogrobowy;
Ich piersi jakaś cicha, wielka tajemnica...
Dziwni ludzie! Te smutne, potępione twarze
Razem trwożą i ziębią, jak nocy widziadła;
U nich wiecznie wzrok chmurny, twarz dziko pobladła;
A jeżeli się czasem w twarzy śmiech ukaże,
To tak strasznie nieludzki, tak pełen szaleństwa,
Jako konającego wśród bólów męczeństwa...
(*Seweryn Filleborn*: „Trzy światy,“ 1843).

Inny znów śpiewał o „myśli czarodziejskiem kwieciu,“ co zdala „cudownie do ludzi się wdzięczy“ —

Lecz zaledwie odetchniesz zblizka kwiatu wonią,
Żądną zaledwie dotknąć podążysz go dłonią,
Oto myśl nagle strzela ramiony olbrzyma!
W żelaznem ich objęciu skutego cię trzyma,
Purpurowym świat cały zasłania namiotem
I węża—dusiciela krępuje cię splotem,
I dzień i noc cię szarpie zębami tygrysa,
Dzień i noc jako upiór krew twoją wysysa,
Dopóki całej duszy wreszcie nie wypije,
Myśl—upiór życiem ofiar żywi się i tyje...
(*Roman Zmorski*: „Myśl,“ 1843).

Najwcześniej z tego grona zwrócili na siebie uwagę dwaj bracia Norwidowie, Roman Zmorski i Seweryn Filleborn. Pisywali oni do wydawanego w r. 1840 i 1841 przez Hipolita Skimborowicza i Jana Budziłowicza „Przeglądu Warszawskiego litera-

tury, historyi, statystyki i rozmaitości," z celem przysposobienia „pola do objawiania się *miejscowych idei.*" lecz zawsze w związku z rozwojem ogólnej cywilizacyi europejskiej. Obaj *Norwidowie* pomieszczali tu zarysy powieściowe prozą i poezye.

Ludwik Norwid (1820 † 1882) w swoich obrazkach powieściowych był wyłącznie satyrykiem, wyśmiewając ograniczoną szlachtę wiejską („Dużo osób a jeden tylko człowiek"), zidyociałych mieszczuchów i zarozumiałych poetów, co poszukiwali na obczyźnie wątku dla swoich utworów („Hipochondrycy i pseudoliteraci"), a w poezyach, których zresztą drukował niewiele, gardząc ziemią i tymi, co się nią zadawalają, wołał: „Śmiejmy się z ludzi, bo płakać nie warto; oni śmiech łatwiej, niż płacz zrozumieją: więc śmiać się trzeba, choć z piersią rozdartą."

Cypryan Norwid († 1883) używał subtelniejszej niż Ludwik ironii, przedstawiając losy sieroty, którego opiekun wykwitował zupełnie wynalezionem przez siebie szlachectwem dla niego („Łaskawy opiekun czyli Bartłomiej Alfonsem"), a w wierszach posługiwał się fantastyką ludową, lecz nadawał jej allegoryczne znaczenie („Wieczór w Pustkach," „Marzenie"), wylewał swe bóle, cierpienia i rozpacze, malując się, „jako człowiek spowity nieszczęścia całunem, jako człek ściśnięty powrozem tęsknicy" („Noc"), żalił się na niemożność wyrażenia swych pomysłów za pomocą słowa, choć niem od samego początku władał dzielnie i może nie często doświadczał tego smutnego uczucia, „jak to myśl upada na siłach, jak to płacze, kiedy ją w sukienki czarnych głosek obleką" („Do piszących"), nienawidził miasta i radby się był przenieść na wieś, gdzie wzrósł i wychował się, „bo ja chłop jestem—wołał—bo moje oczy wielmożna świetność kole i mroczy" („Wspomnienie wioski"). Wyrazami, zwrotami i rytmami już wtedy igrać próbował i to nieraz z powodzeniem niemałem („Wspomnienie dla Niny").

Właściwości te częścią się wzmogły z laty, częścią wysubtelniały, ale myśl utraciła zaletę jasności i przejrzystości. Wyjechawszy za granicę, zwiedziwszy archipelag Joński i Włochy, osiadł w Paryżu, choć miasto nazywał „serc i kwiatów grobem." Rozczytywanie się w pismach Słowackiego, zwłaszcza z doby mesyanicznej, wpłynęło bardzo silnie na poglądy i na styl Norwida. Zbrzydził sobie zwykłą, pospolitą rzeczywistość, a zaczął przebywać w krainie marzeń i ideałów, chętnie ulatując myślą w kraj sztuki i nauki greckiej, a po części rzymskiej, tak dalece, że mówiąc o nim, przemagał w sobie wstręt do opisu i wdawał się nawet w szczegóły ubioru i rozkładu mieszkań. Bądźcobądź jednak najważniejszą dla niego rzeczą stało się odtwarzanie stanów duchowych za pomocą urwanych zdań, napomknień, subtelnych wyróżnień wyrazowych, igraszek słownych. Wszystko, co było tajemniczem, pociągało go ku sobie najsilniej; mówił więc nieraz o przechodzeniu dusz, o sobowtórach duchowo-cielesnych, o dopatrywaniu w zjawiskach czasowych i przestrzennych tego, co wieczne, niezmienne i duchowe. Chciał wyrazić, a raczej dać uczuć pojęcia nieskończone za pośrednictwem takich połączeń słów, któreby działały na czytelnika suggestyjnie. Posługiwał się tedy *symbolami*. W przedmowie do swego najobszerniejszego poematu, nazwanego przypowieścią p. t. „Quidam" (1859, z czasów Hadryana, rozprawy filozofów, męczeństwo chrześcijan, powstanie żydów pod Barkochbą) uprzedzał, że „intrygi i węzła dramatycznego wielce się wystrzegał." Istotnie dał tylko cienie postaci, urywki rozmów, napomknień o wypadkach; w osobie Zofii „czarującej talentami, a nerwami i wolą do siebie nienależnej," chciał przedstawić „ruiny świątyni wiedzy," stawiając na jej miejsce Kościół z ideą miłości. W tragedyi czy misteryum „Krakus" upośledzenie ludu symbolizował w uosobionym „Progu" itp. Sądził, że sztuka powinna malować nie to, jak

jest, ale jak dziać się może i powinno. Nie można mu przyznać, iżby spełnił zadanie takie; zamało miał do powiedzenia ogółowi; myśli jego były mętne i rozpierzchliwe; dbał raczej o piękne, niezwykłe wyrażenia, choćby z pogwałceniem gramatyki, aniżeli o harmonijne rozwinięcie pomysłu; stąd utwory swoje słusznie porównywał do „dzikiej mogiły starych urn pobitych," bo w kawałkach można ujrzeć i piękny materyał i cudne malunki, lecz skleić je w całość niepodobna. Wybór swoich „Poezyj" ogłosił Norwid 1863 r. w Lipsku. Był on pierwszym symbolistą naszym; uważał on jednak poezyę za pomocnicę „w postępie moralności i prawdy" i hasła „sztuki dla sztuki" nie głosił.

Roman Zmorski (1824 † 1867), 17-stoletni młodzieniec, buchał jak wulkan, naczytawszy się wielkich wieszczów; przedwczesne rozczarowanie silił się wypowiadać grzmiącemi słowy, bolejąc nad tem, że dzisiaj wszystkiem dla świata jest „bałwan złota," ale się nie wyrzekał „iskry świętej" i błagał, by pierś jego „wzdęta jej ogniem" wiecznie płonęła („Fantazya"), rzucał „przekleństwa fałszom i pysze, co człowieka plami," zwracając się z uwielbieniem do „ojców prostoty" („Mazur"), brał motywy z pieśni gminnych, zebranych przez Wojcickiego („Nad Bugiem"), „jakby w rozkoszy smakował w boleści," lecz twierdził, że „i ten szalony, kto za pierwszą goni, i ten szalony, kto się drugiej chroni" („Dwie mary"), a chociaż nie był pewnym wyniku poszukiwań myślowych i gorycze ich odczuwał, kazał przecięż „po niezmierzonym uczuć i myśli przestworze" gonić „za światem prawdy nieśmiertelnej" („Zachęcenie").

W dalszym rozwoju swoim niewiele Zmorski posunął się naprzód. Należał on do tych, co roją obszerne pomysły, opowiadają o nich dużo, lecz wykonywają rzadko. Pragnął utworzyć „szkołę mazowiecką" w poezyi polskiej, chciał jakiś ważny wypadek z dziejów Mazowsza opiewać, a pozostawił kilka



Roman Zmorski.

ułamków, trochę pieśni ognistych i dwa poemaciki nierównej wartości.

Pierwszy z nich: „Lesław, szkic fantastyczny" (napisany 1843, druk. 1847), to prawe dziecię krańcowego romantyzmu. Czarownice boso w koszulach zbierające rosę rzeszotami, topielcy w białych kroplistych całunach, o długich zielonych włosach, zawodzący tańce na brzegu rzek i jezior, mogły niegdyś bawić dziecinną wyobraźnię, ale dziś prócz dążności do spożytkowania fantazyi ludowej nie spostrzegamy w nich głębszego rozmysłu. Rzecz się dzieje w nocy „przy świetle księżyca, wśród okolicy pustej, smutnej i groźnej." Lesław, „blady gorzej ściany," napojony pogardą dla mądrości książkowej, gardzący „blademi robaczemi żądzami i karlemi uczuciami tłumu," jest przedstawicielem rozbujałego indywidualizmu („kto rozpalił w piersi swojej własnej słońce dla siebie, dla tego dzień biały — równo z nocą chmurną — jasny") ma wielkie wyobrażenie o potędze miłości swojej, o sile woli, z szatanem rozprawia, lecz nie myśli zapisywać mu duszy, ale dla dowiedzenia, że nie ulega jakiemuś przymusowi, skacze dobrowolnie w roztwartą przepaść piekielną. Pokochał on dziewicę-chmurę, lecz później zapłonął dla ziemskiej panny Heleny, a gdy przy ostatniem pożegnaniu pocałował ją, raził ją piorun... Z całego poematu, przepełnionego deklamacyą o wysokich uczuciach i rozległych widnokręgach, najwięcej zastanawia myśl, wypowiedziana przez czarta, że „wątkiem istnienia jest nienawiść wieczna," że w całej naturze panuje nieustanna walka o byt: „Od błękitnych chmur do głębi ziemi, co żyje, walczy: siłą, zdradą podłą wzajem się szarpie, rozdziera i żre; cobądź istnieje, istnie tylko bojem..." I Lesław, choć wyznaje zasadę miłości, nie śmie zaprzeczyć tej „okropnej prawdzie," bo i dla niego przerażająca burza żywiołów jest niczem w porównaniu „z tą cichą walką, co się w każdej chwili, na każdem miejscu ziemi, z równą mocą nieubłaganej nienawiści toczy..."

To jakby poetycka zapowiedź przyszłej teoryi Darwina.

Zupełnie w innym tonie napisana została w roku 1847/8 (druk. w 1850) „Wieża siedmiu wodzów.“ Prostota i naturalność ją znamionują. Skutkiem to było zajęcia się pieśniami serbskiemi, które na język polski wierniej od Bohdana Zaleskiego przełożył. Zmorski, podobnie jak Bielowski i Siemieński, starał się naśladować styl tych słowiańskich poematów i udało mu się to w znacznej części. Siedmiu wodzów sytych sławy, dokonawszy czynów dzielnych, postanowiło się położyć w mogiłach, ale przedtem chcieli wznieść pomnik niespożyty, pomnik, coby wierzchołkiem czarne przegonił chmury. Zaczęto budować wieżę, ale co w dzień zmurowano, to w nocy pochłaniała ziemia; długo tak trwało, aż wreszcie wodzowie zdecydowali się razem ze ścianami wieży być połkniętemi przez ziemię. Obwieściwszy tedy reszcie wojowników, że za lat tysiąc znów się pojawią, wypiwszy puhary miodu, wstąpili na zręby. A wówczas cała robota w grunt wchłonięta wzniosła się w chmury, a hełmy wodzów błyszczały jak gwiazdy. Do dziś istnieje ta wieża, lecz jest niewidzialna, tylko siedm gwiazd nad nią błyszczy w dni pogodne.—Czy z polskiego, czy ze skandynawskiego źródła wziął ten pomysł Zmorski, pozostanie „Wieża siedmiu wodzów“ najlepszem dziełem jego niespokojnego, tułaczego żywota. Zbiorowe wydanie „Poezyj“ Zmorskiego wyszło w Lipsku r. 1866 i w Warszawie r. 1899.

Seweryn Filleborn tchnął smutkiem łagodnym, jakby zrezygnowanym, lubił marzenia, ale radził dziewicy niewinnej i szczęśliwej, aby unikała „rozmów duszy“, bo „to trujące ziele powabną, długą drogę boleści uściele i oziębi serduszko zimnem śmierci tchnieniem“. I on naturalnie na motywach gminnych osnuwał swe pomysły („Podolanka“). Dwunastozgłoskowym wierszem, może na wzór Pola,

umiejętnie się posługiwał, pisząc balladę „Pogoń“ przypominającą szczegółami sławnego „Króla olch“ Goethego.

Filleborn, pomimo niepozornej postaci (przezwany był w gronie młodzieży Karpiem) umiał zaletami serca skupiać koło siebie spółbraci, przewodniczył im nie tylko w hulankach (bardzo niewybrednych pod względem jakości), lecz także i w utworzeniu pewnej odrębnej grupy literackiej. Pomimo ubóstwa wszystkich tych poczynających poetów zaczął z r. 1841 wydawać pisemko miesięczne p. t. „Nadwiślanin“; lecz zdołał ogłosić ledwie 5 maleńkich zeszycików, bo prenumerata nie mogła pokryć kosztów druku i papieru. W pisemku tem, wytykającem zawzięcie „Bibliotece Warszawskiej“ pod redakcyą Szabrańskiego brak poczucia poezyi i sądy opaczne w krytyce, zebrało się sporo spółpracowników ze stron różnych, a niektórzy powiększyli grono cyganów. Najważniejsi z nich: Józef Bohdan Dziekoński, Seweryn Sierpiński, Józef Kenig i Teofil Lenartowicz.

Józef Bohdan Dziekoński (1815 † 1855) był wiekiem starszy i wykształceńszy od reszty. Syn pedagoga Tomasza, urodził się w Warszawie, tu pobierał nauki średnie, a uniwersyteckie w Dorpacie, gdzie w czasie jego studyów na wydziale lekarskim, uczyło się 60—80 Polaków. Życie koleżeńskie w burszenszaftach kwitło tu jeszcze w pełni, a choć Dziekoński w latach późniejszych surowo się o niem wyrażał, zamłodu dał się pociągać jego powabowi. Przebywszy tu kilka semestrów, przeniósł się do uniwersytetu w Królewcu, stamtąd odbył wycieczkę na Litwę w r. 1839; egzamin na doktorat zdawszy w Moskwie, przybył do kraju w r. 1840, ale praktyką lekarską wcale się nie zajmował, zwrócił się do literatury i do studyowania magnetyzmu i somnambulizmu. Lubił też wielce chemię, a badania nad nią poprowadziły go do zaznajomienia się z alchemią i wogóle z naukami tajemniczemi. Wyobraźnię miał

gorączkową, zapalną i skłonną do marzycielstwa. Pozostawał pod silnym wpływem powieściopisarzy francuskich, których wielbił za ich humanitarne dążności i talent (Sand, Sue i inni), ale w ich tory nie wstępował; raczej fantasta niemiecki, Teodor Amadeusz Hoffmann, oddziaływał na wcielanie jego pomysłów w formę nowellistyczną.

W „Nadwiślaninie" umieścił dwa swoje utwory: „Fajka" i „Pająk". W pierwszym z nich odbiło się jego marzycielskie usposobienie, w drugim — wstręt do życia salonowego. Przy dymie fajki, popada autor w rozmyślania, nasuwające mu na pamięć to ideały kochanek, to wielki gród przodków, to zagadnienia wszechbytu, stosunek duszy do ciała, potęgę woli, poczucie nieśmiertelności, rozmowę z dyabłem-sceptykiem; gdy księżyc zeszedł, wspomnienia dziecińśtwa rozrzewniają go; obejmuje stary kasztan, głowa odpada, a gdy on chce się do niej zbliżyć, kąsa go... „Pająk" napisany został jako urywki z listów młodego artysty znudzonego „zimnem, sztywnem i bezdusznem" życiem salonów warszawskich. Wyszedłszy od baronowej, gdy spojrzał na swój strój balowy, „nanowo całe utrapienie, cała nikczemność brudu i błota ziemi z szatańskiem szyderstwem przed oczy mu wystąpiła; czuł w tej chwili męczarnie dzikiego orła, któremuby skrzydła obcięto i na zabawkę rzucono dzieciom." Jakiś szał go opanował; gotów był tarzać się wśród błota i pyłu, byle „sobie zprzed oczu, zprzed duszy strącić siebie i te obmierzłe cechy mody bezdusznej, sztywnej salonowości", białe rękawiczki w kawałki poszarpał... Podobno nikt u nas silniej nie wyraził wstrętu do stosunków konwencyonalnych, a zamiłowania do zabaw ludowych, chociaż autor bynajmniej nie ukrywał stron ujemnych w tych zabawach.

Inne drobne powiastki i obrazki, później pisane, zebrano w dwu tomikach p. t. „Spomnienia i marzenia Bogdańskiego" (1848, Warsz.). Najobszerniej-

szym utworem Dziekońskiego jest trzytomowa powieść p. t. „Sędziwój“ (1845, Warsz.). Są to dzieje głośnego alchemika polskiego z końca XVI i początków XVII wieku, oraz „kosmopolity“ Sethona, który tu odgrywa wyższą, sympatyczniejszą nawet rolę od bohatera tytułowego. Cudowności pełno; tajemnice magii, dążenia „różokrzyżowców“, wynalezienie kamienia filozoficznego plączą się z miłością namiętną i nieprzepartą, ze zmianą charakteru Sędziwoja pod wpływem bogactw. Idea zasadnicza utworu wyraża się w tem Heglowskiem zdaniu: „Co myśl stworzyła, to było konieczne“. Autor ceni naukę, nazywając ją nieśmiertelną jak człowiek, ale wiarę nazywa tem, „co tylko w duszy naszej jest najmędrszego, najszczęśliwszego, najbardziej boskiego“. Przeciw materyalizmowi powstaje naturalnie gorąco. Miłość kobiety uważa za przeszkodę w rozwinięciu zmysłu wszechwiedzy. Utwór cały odznacza się fantazyą gorączkową i nastrojem dytyrambicznym. We wszystkiem zaś, co Dziekoński po sobie zostawił, widzimy człowieka przenikniętego do głębi potrzebą podniesienia ludu, obrońcę uczucia przeciwko wszelakiemu wyrachowaniu, obrońcę energii czynnej przeciw bierności, wroga obskurantyzmu i bigoteryi. W kwestyi marzycielstwa i nauk tajemnych, znać po r. 1845 pewną zmianę jego poglądów. Wielbił wtedy myśl jasną, nie okazywał się wrogiem realizmu artystycznego; fantastyczność uznawał za dobrą wówczas jedynie, gdy się nią posługuje pióro mistrzowskie. Rzeź galicyjska podziałała nań przygnębiająco. W r. 1847 wyjechał za granicę, zapoznał się osobiście z Mickiewiczem, przejął się mistycyzmem Towiańskiego, służył r. 1848/9 w legionie włoskim, uformowanym przez naszego wieszcza, a walczącym z Austryakami Po ukończeniu kampanii włoskiej udał się w Badeńskie a potem do Szwajcaryi, gdzie ciężką pracą zarabiał na życie już to jako rytownik, już to jako malarz jarmarczny. Choroba wreszcie, „gatunek kon-

sumpcyi", jak ją sam charakteryzował, położyła koniec i biedzie i życiu.

Seweryn Zenon Sierpiński (1818 † 1843), syn rektora szkoły w Zamościu, przedwcześnie zmarły, zamiłowany w poszukiwaniach dziejowych, mający też wykształcenie prawnicze, czciciel przeszłości, a pessymista co do ludzi i rzeczy współczesnych, dał się poznać dziełkiem naukowem p. t. „Obraz miasta Lublina" (1839), które następnie przerobił i znacznie uzupełnił („Historyczny obraz m. Lublina" 1843); zajmował się historyą akademii zamojskiej i kilka artykułów o niej w czasopismach zamieścił, obrabiał kwestye dawnego prawa polskiego, podał „Treść kodeksu karzącego" (1841); ale że te prace nie były ani poczytne, ani popłatne, zwrócił się do powieściopisarstwa, ogłaszając od r. 1840—42 „Nowy gabinet powieści" (3 tomiki[1]). Umysł to był dość trzeźwy, racyonalistyczny, starający się wyjaśniać „cudowne" wypadki za pomocą przyczyn naturalnych, serce gorące i zacne; wielbił prostą naturę, bolał nad smutnym losem poddanych, którzy w skutek zahukania i ciężkiej pracy mają i umysł przytępiony i zwichnięte poczucie moralne („Historya pana Bartosza" drukowana najprzód w „Nadwiślaninie") pierwszy u nas bodaj odwrócił powszechne narzekanie na złe sługi, stosując je do panów i pań; o sławę nie dbał, pessymistycznie się na nią zapatrując („Biedna Józia"); według niego trzeba działać nie dla sławy, lecz dla zabezpieczenia szczęścia sobie i ogółowi, oba te cele równoważąc (artykuł „Sława" w „Nadwiślaninie"); jezuitów nie cierpiał („Pan Wojski"), i wogóle złym duchownym gorzkie mówił prawdy, oskarżających o chciwość i brak serca; w rzeczach religijnych był, zdaje

[1]) Wydane r. 1843 „Pięć powieści oryginalnych" nie są nowością; to tylko nowa karta tytułowa do pierwszego tomiku „Nowego gabinetu".

się, sceptykiem, a fałszywą, zewnętrzną pobożność chłostał niemiłosiernie. Słowem, jako umysł był wychowańcem wieku oświeconego z odcieniem Roussowskich upodobań; jako powieściopisarz zaś uległ wpływowi romantyzmu, ubiegając się za niezwykłemi wypadkami (zmartwychwstanie pozornie zmarłych, odzyskiwanie wzroku przez ślepych i t. p.) i usposobieniami duszy, chociaż czasem malował i powszednie stosunki, obrabiając je jaskrawo, realistycznie, mianowicie gdy mówił o ludziach sobie spółczesnych. Styl zmieniał często, władając nim dobrze, lubo wpadał niekiedy w manierę rytmiczną, dla nas dzisiaj niemiłą; rozwinąć całość tylko w drobnych opowiadaniach potrafił.

Przy Sierpińskim najwłaściwiej będzie wspomnieć, że w „Nadwiślaninie“ wystąpił także po raz pierwszy na widownię piśmienniczą rozgłośny później publicysta i krytyk teatralny, a wtedy 20-letni młodzian, *Józef Kenig* (ur. 1821 † 1900). Prócz krótkiej oceny rysunku Piwarskiego: „Szynki Baranki“ dał on tu artykulik entuzyastyczny p. t. „Sztuka i artyści“. W formie opowiadania o natchnionym twórcy wśród arcyprozaicznego otoczenia, piętnował brak prawdziwego pojęcia o sztuce zarówno w warstwach średnich narodu jak i w wyższych. Sztuka—mówił—to cząstka bóstwa; jej celem nie zabawa, lecz szczęście, złagodzenie i wykształcenie ludzi; nie jest wprawdzie tak doskonałą jak dzieła Stwórcy, ale zawsze zawiera myśl proroczą...

Teofil Lenartowicz urodził się r. 1822 w Warszawie; z powodu ubóstwa, mógł skończyć zaledwie szkołę powiatową 4 ro klasową; po krótkim pobycie u rodziny, zamieszkałej na wsi, mając dopiero lat 14, został w stolicy Królestwa dependentem u adwokata, a r. 1837 aplikantem w sądzie najwyższej instancyi, gdzie po trzech latach otrzymał etatową posadę kancelisty. Niewielkie nabytki umysłowe, wyniesione ze

szkoły, starał się pomnożyć pracą własną, studyując literaturę ojczystą, przestając z utalentowanymi kole gami i niektórymi dojrzalszymi ludźmi. Pierwszy swój wiersz jako 19-letni młodzian drukował w „Nadwiślaninie", opisując rozczarowania i smutek, w duchu owoczesnej romantyki krajowej, pragnąc jeno miłości bez końca, „jak robactwo ziemne pragnie wschodu słońca". Gdy „Nadwiślanin" upadł, Lenartowicz drukował sporo w „Przeglądzie Warszawskim", ale zarówno te, jak i późniejsze jego poezye, nie mają jeszcze w sobie nic znamienego; powtarzał on w nich ogólniki wyczytane w książkach, malował naturę pospolitemi barwami („Obraz po burzy"), zatapiał się w powszednich rozmyślaniach („Dumanie w nocy"), opiewał nawet „Szatana". Próbował najrozmaitszych form wierszowych, wzorując się to na Zaleskim, to na Goszczyńskim. Jeden tylko obrazek p. t. „Galary", malujący życie flisaków na Wiśle, jest jakby zapowiedzią przyszłej twórczości Lenartowicza, która go rozsławiła. Ale na ten obrazek nie zwrócono wówczas uwagi, i dopiero wierszem „Do poezyi" (1844 w „Bibliotece Warszawskiej"), gdzie autor spożytkowując motywy zawarte w kilku utworach Mickiewicza, wysławiał tę „kochankę ducha, dziewicę słońca, z mieczem i w zbroi hartownej," tę matkę, wiarę i „prawdę narodów" — dobił się chwilowego znaczenia, wzmocnionego takiemi pieśniami jak: „Wisła", i t. p. Niebawem potem opuścił kraj, a dalsza jego działalność należy już do następnego okresu.

Zanim się to stało, Zmorski i Dziekoński postanowili raz jeszcze skupić siły „cyganów", wydając książeczkę zbiorową r. 1843 p. t. „Jaskułka (!), pamiętnik". Tu nowy ukazał się członek cyganeryi, który dążność demokratyczną miał najjaskrawiej wypowiedzieć. Był to

Włodzimierz Wolski (1824 † 1882). Urodzony w Serocku, nauki szkolne odbył w Warszawie; poprzestał tylko na ukończeniu gimnazyum. Od lat naj-



Włodzimjerz Wolski.

młodszych okazując nadzwyczajną łatwość przybierania swych myśli w szaty poetyckie, bardzo prędko pozyskał sobie rozgłos. W „Jaskułce“ wystąpił odrazu w dwojakim charakterze: jako poeta, spragniony silnych wrażeń, co woli być „czynnym, ognistym szaleńcem, niżeli cichą, bladą, bierną cnotą“ *(Noli me tangere)* i jako nowellista, malujący już to knajpowe stosunki, już to dusze artystyczne, nie umiejące żyć zwykłym, konwencyonalnym trybem, nadmiernie wrażliwe, gotowe raczej umrzeć samobójczo, niż znosić szyderstwa zimnych, nieczułych bliźnich („Skrzypce“). Tegoż samego roku pozyskał Wolski nadzwyczajne uwielbienie, zwłaszcza wśród młodzieży, poemacikiem, który sobie wyrywano i przepisywano. Był to „Ojciec Hilary“ (drukowany najprzód w „Przeglądzie Naukowym“). Nie nadzwyczajne zalety języka, nie głębia psychologiczna, nie układ poematu, nie prawda w przedstawieniu życia, lecz ustępy, wymownie malujące poczucie godności w chłopie, i podeptanie jej przez szlachcica, budziły naówczas to uniesienie. Mniejsza o to, że idealna miłość szlachcianki Zofii do młodego ogrodniczka Daniły (rzecz dzieje się na Wołyniu w końcu zeszłego wieku) mało została uprawdopodobnioną; mniejsza o to, że spowiedź na wzór „Giaura“ Byronowskiego włożył autor w usta zakonnika, który po latach wielu mówi z całym zapałem młodzieńczym; mniejsza o to, że wszystkie postaci, prócz karykaturalnego pana szambelana, są cieniami tylko; czytelnicy mało na te braki zważali, rozkoszując się takiemi np. tyradami, które w czasach pańszczyzny i poddaństwa miały znaczenie doniosłe, a silniej musiały uderzyć umysły, niż podobne nieco, ale nietendencyjne opowiadanie „czumaka“ w „Zawerusze“ Olizarowskiego (1836):

Ja chłop, niewolnik z imienia i rodu;
Ojca nie znam, a matka — żebraczka zgrzybiała
Psom pana podczaszego obiady dawała;
Ja, ojcze, miałem urząd piękniejszy, dwojaki:

Byłem zwierzę, na które panicz strzelał z łuku,
I jak pies pilnowałem pańskiego ogrodu.
Bywało, pan podczaszy przy biesiadzie jakiéj
Przyzwał zwierzę do nogi, dla zabawy gości,
Natychmiast mnie sadzami mazali chłopaki,
I zawodząc w jadalnię śród śmiechów rozpuku,
Śpiewać mi rozkazano, a wtedy ja, dziecię,
Ja niewolnik, co ledwie marzyłem o świecie,
Jużem szalał, gryzł ręce i język z wściekłości!
I — pośmiewisko ludzi — szydziłem wzajemnie,
Wykarmiłem ten zaród nienawiści piekła i t. d.

Nienawiść tę hamowała miłość dla Zofii; znieważony, chwycił za nóż, ale go ręka zawiodła; wtrącony do więzienia, wydobył się z niego. Dowiedziawszy się, że jego Zofia poniewolne śluby z szambelanem zawarłszy, wkrótce umarła, wstąpił do klasztoru. Dziś poemat ten ma już znaczenie tylko historyczne, jako najwymowniejsza wtedy obrona godności człowieczej.

Tęż samą dążność silnie demokratyczną miało libretto Wolskiego do znanej powszechnie opery Moniuszki „Halka"—odmalowanie krzywdy wyrządzonej przez panicza dziewczynie wiejskiej. Ale po r. 1846, po rzezi galicyjskiej, tendencyjna jaskrawość znikała z poematów Wolskiego; chciał on raczej pojednania warstwy szlacheckiej z chłopską, co wyraził w rozwlekłej trochę, ale obfitującej w piękne obrazy powieści poetyckiej „Połośka"; następnie zaś w „Wielkim panu" (1852) przedstawił historyę nawrócenia arystokratycznego rozpustnika w skutek miłości do ubogiej szlachcianki. Uczuć rzewnych nie umiał on wyrażać; stąd liryki jego są chłodne; wyjątek stanowi obrazowanie wrażeń muzycznych, które umiał żywo odczuwać i umiejętnie oddawać; jego „Fantazya na śmierć Chopina" (1849) jest, artystycznie rzecz biorąc, najznakomitszym jego tworem. Po r. 1850 występował Wolski przeważnie jako nowellista i powieściopisarz, o czem będzie wspomnienie na swojem miejscu.

XIX.

Od połowy r. 1843 rozprzęgło się grono cyganeryi; wielu z jej członków wyjechało za granicę; tych, co pozostali, starał się znów skupić jedyny naówczas na cały kraj jowialista staropolski, „chirurg filozofii", „kawaler krzyża naturalnego", *August Wilkoński* (1805 † 1852). Pochodził on z W. Ks. Poznańskiego. Ukończywszy gimnazyum w Poznaniu, udał się na uniwersytet do Wrocławia, gdzie przebywał od r. 1826 do 1828. Za obrazę swego przyjaciela wyzwawszy na pojedynek oficera pruskiego, ranił go ciężko, za co wyrokiem sądowym skazany został na 12 lat twierdzy. W czasie odsiadywania kary poznał *Paulinę Lauczównę*, sierotę po naddzierżawcy dóbr rządowych, a uzyskawszy krótki urlop na czas wesela, ożenił się z nią; oboje zamieszkali w twierdzy. Wkrótce potem otrzymał ułaskawienie, przeniósł się do Królestwa i oddał się gospodarstwu rolnemu, ale doznawszy w niem zawodu (żył wesoło i hucznie), od r. 1840 stale zamieszkał w Warszawie, gdzie i żona jego i on sam poświęcili się pracy literackiej. Żona pisywała powiastki i powieści, w których bardzo zacne myśli i uczucia mdłem wyrażała piórem; on zaś zawsze w dobrym humorze, pomimo częstej biedy, zaczął w „Bibliotece Warszawskiej" pomieszczać jowialne „ramotki", rozchodzące się w lot po całej Polsce. Nie posiadał ani wielkiej sztuki słowa, ani ciętego dowcipu; ale anegdoty przez siebie opowiadane umiał ubarwić takim żartobliwym nastrojem, że do śmiechu pobudzać musiał. W przeciągu lat kilku zebrało się tych opowiadań na cztery tomy, wydane w Warszawie 1845 — 46 p. t. „Ramoty i ramotki". Występował przeciwko wszelkiemu małpiarstwu zagranicy, piętnował szlachtę źle obchodzącą się z wieśniakami, wyszydzał próżność hrabiów i wszelkie przesądy rodowe, głosił równość stanów

i godność pracy. Nie lubił ani salonowych lalek, ani udanej uczoności, ani paplaniny filozoficznej bez zrozumienia rzeczy. Cenił szczerość i zdrowy rozsądek, a ponieważ w wyrażeniach starał się zachować tok mowy potocznej, przypadł wszystkim do smaku. Dziś ramotki jego po większej części przestarzały się, bo w ośmieszaniu wad więcej Wilkoński zważał na objawy powierzchowne, niż na ich istotę; ale w swoim czasie spełnił zadanie swe pożytecznie.

Pod koniec r. 1845, zamierzając wydawać pismo zbiorowe p. t. „Dzwon literacki", starał się o spółpracowników, a między innymi zwrócił się także do młodych „cyganów". Zaczęli się oni teraz zbierać w domu państwa Wilkońskich, pod nazwą „Cechu głupców", wesoło czas przepędzając na żartach, śpiewach, rysowaniu karykatur i t. p. Co miesiąc atoli każdy z członków musiał dać artykuł do „Dzwonu". Najsumienniej z tego obowiązku wywiązywali się: Bohdan Dziekoński i Włodzimierz Wolski, oraz po części nowy przybysz, *Karol Baliński* (1817 † 1864) rodem z Hrubieszowskiego, sierota od 5-go roku życia, wygnaniec po latach sześciu (1838 do 1843) przybyły z dalekiej północy, opuszczony przez narzeczoną z powodu oszpecenia przez chorobę. Zjechawszy do Warszawy, zbliżył się do redakcyi „Przeglądu Naukowego", lecz pisywał także do „Biblioteki Warszawskiej", gdzie w r. 1844 wydrukował najgłośniejszy swój wiersz, „Farys wieszcz" wyrażający szlachetne porywy młodej duszy, co nie pragnie sławy ni oklasków, lecz uroczej ciszy, „z której odgadnie, że w duszach wielki zamiar się knowa, co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie". Nagrodą piewcy — „to te spojrzenia, co świecą całym duszy wulkanem, krótkie milczące dłoni ściśnienia, z westchnieniem długo w piersi stłumianem, i owa chmura cieniąca czoła, w której połyska miecz archanioła"... W „Dzwonie literackim" prócz „Kilku słów o komedyach Szekspira" dał parę poezyj, z których

Strona Twojego Panie podarunku,
i aby mojéj wdzięczności wielością
wyrazów nieosłabić, —
po polsku Ci powiem:
Bóg zapłać za poczciwe
serce Twoje. —

Bóg z Tobą.

An Wz —

Dałem jéj nazwę Twierdza, wychowam
ją najstaranniéj; będzie przedmiotem
zazdrości dla myśliwych, — a w jéj
wnuczkach i prawnuczkach miłem
wspomnieniem Twéj przyjaźni dla mnie
dobroci —

11/6 902 z Zamościa. —



August Wilkoński.

najpiękniejszą jest przemowa „Do braci lekarzy“, wzywająca, by walcząc ze straszną chorobą, zwaną zwątpieniem, starali się roztlić i rozdmuchać iskrę miłości wielkiej:

Bijcie w to serce, jak w łono krzemienia,
Wszechmocnym czarem przyjaźni, miłości,
Nieście mu szczytne naszych wieszczów pienia,
Mówcie o ojców cnotach i wielkości,
Wskażcie mu drogę, co do nieba zbliża,
Drogę najświętszą Golgoty i Krzyża.

W r. 1846 Baliński wyjechał do Galicyi, następnie do W. Ks. Poznańskiego, gdzie w r. 1849 ogłosił zbiorek poezyj swoich, poprzedzonych ogniście skreśloną przedmową, p. t. „Pisma”, a w r. 1851 kolendę: „Grosz wdowi“. Nareszcie osiadł w Paryżu, a zapoznawszy się osobiście z Mickiewiczem, wszedł do koła towiańczyków, przestawał dużo z Ludwikiem Nabielakiem, przeniknął się mistycznym nastrojem, pod wpływem którego powziął myśl tłómaczenia „dramatów świętych“ Kalderona; zamiar ten urzeczywistnił częściowo tylko, wydając przekład „Kochanków nieba“ (1858). Z oryginalnych poezyj wyszły między 1854 a 1863 następne: „Myśli serdeczne“, „Mądrość”, „Głos ludu w tysiącletnią rocznicę zgonu Piasta”, „Hasło”. Wróciwszy do kraju, osiadł we Lwowie, ogłosił część poematu „Męczeństwo Zbawiciela“; po jego zgonie wydrukowano dwa jeszcze ustępy z tego poematu, t. j. „Zaprzaniec” i „Droga krzyżowa“. Jako człowiek Baliński był wielce szlachetną, podniosłą postacią, wierną ukochanym ideałom; jako poeta, nawskroś uczuciowym lirykiem, czy wówczas, gdy wcielał w piękne słowa to, co przepełniało serca entuzyastycznej młodzieży, czy też gdy w duchu religijnym starał się w śpiewach swoich prostotę z powagą połączyć. Poezye swoje snuł on, jak się ładnie wyraził Lucyan Siemiński — „z bólów, zawodów, pragnień i wierzeń swego żywota, podo-

bny w tem do niektórych liści, co zmięte i starte wydają woń, jakiejby bez tego zniszczenia może nie wydały". Nie był mistrzem słowa i wiersza, lecz władał niemi dzielnie.

XX.

Do takich poetów, co jak Baliński, pośrednio tylko z cyganeryą warszawską się łączyli, należą jeszcze dwaj pisarze, których twórczość poetycka trwała bardzo krótko, lubo przeżyli długie lata. Byli to: Antoni Czajkowski i Gustaw Zieliński.

Antoni Czajkowski (1816 † 1873) był synem Pawła, profesora literatury polskiej w uniwersytecie krakowskim, gdzie też studya prawne ukończył, napisawszy „Rozprawę historyczną o prawach kobiet" (1836, Kraków), pierwszą w naszej literaturze; dowodził tu, że kobiety zostawały dotychczas w poniżeniu. Następnie przeniósł się do Warszawy i przez lat osiem (1837 — 1845) urzędował, dając się poznać przytem jako poeta, umieszczający utwory swoje w różnych wydawnictwach, a między innemi także w „Jaskułce". Pierwszy jego zbiorek, p. t. „Niektóre poezye" wyszedł w Warszawie r. 1841, drugi tamże p. t. „Poezye" r. 1845. W tym drugim zbiorku Czajkowski uporządkował swe wiersze w pewne grupy, chcąc zapewne wskazać czytelnikom różnorodność swych natchnień. Na czele pomieścił poezye z dziedziny podań i uczuć religijnych, potem dał obrazki z dziejów powszechnych (Igrzysko rzymskie, Karol Wielki, Na dzień 14 grudnia 1840 r., t. j. na sprowadzenie zwłok Napoleona do Paryża), dalej zestawił legendy i tradycye z dziejów polskich (Pustelnicy, ś. Stanisław, Starosta Wilczek, Śmierć Stefana Czarnieckiego), następnie zamieścił wrażenia wywołane widokiem natury krajowej (Wisła, Morskie Oko) lub też

rozpatrywaniem losów sztuki lub nauki polskiej („Towarzystwo sztuk pięknych“, „Do Januarego Suchodolskiego“, „Do Augusta Cieszkowskiego“, zachęcając go, żeby zamiast w obcym, pisał w ojczystym języku). Najobszerniejsze utwory swoje osnuł na podaniach gminnych: „Madej“, „Baśń o żelaznym wilku“; należą one do najudatniejszych u nas przeróbek artystycznych tego, co fantazya ludu stworzyła. I motywa ze świata wschodniego posłużyły Czajkowskiemu do napisania kilku ładnych wierszy, jako to: „Bodaj taka kochanka“, „Mirza“, „Gazele perskie“. Wreszcie są jeszcze poezye, w których wyraził on swoje poglądy społeczne czy literackie, albo też pozwolił wyobraźni pobujać swobodnie: „Dwa obrazy“, „Pola elizejskie“, „Do mojej myśli“, „Niezapominajki“, „Pająk“, gdzie zachęcał do naśladowania pająka w wytrwałej, niczem nie dającej się odstraszyć pracy. Erotycznej struny prawie zupełnie nie dotykał, co w owych czasach należało do objawów wyjątkowych. Czajkowski był przedewszystkiem *wirtuozem słowa i myśli*. Dbał wielce o ładne wyrażenie, o zwroty zręczne lub dowcipne, o rym wytworny a urozmaicony. Co do treści, to żadnej nie okazywał predylekcyi; każdy wątek mieszczący w sobie jakąś sytuacyę dramatyczną, jakieś uczucie mniej powszednie, lub też myśl żywotniejszą, obrabiał z jednakiem zamiłowaniem i z jednaką starannością. W jednej z pieśni („Do mojej myśli“) skarżył się na zatratę swych marzeń i snów młodzieńczych; twierdził, że wiek swój sterał na niczem, że się zestarzał duchem, że mu stępiał rozum, a wyobraźnia osłabła, myśl zaś, ta jego „królowa“ drzemie, rozkoszując się w „chaotycznej wielkości“ i nie chce kształtować się, „łamać na słowa“, nie chce „wielka bezimienna – skarłowacieć w imię“. Można stąd wyprowadzić wniosek, że bardzo wielkie, zwłaszcza pod względem formy stawiając wymagania, tak dla innych, jak dla siebie, nie łatwo się decydował ubierać rozpowszechnione pomysły w trwałe

kształty słowa. Z serca własnego nic prawie nie snując, i dlatego nie umiejąc wzruszać, czerpał treść z książek, rzadziej z otoczenia, zajmował się przeważnie zagadnieniami moralnemi, bardzo zaś rzadko społecznemi. Do przekładów brał się chętnie. Po roku 1845 oddał się swoim studyom specyalnym i został profesorem prawa polskiego w uniwersytecie petersburskim. Luźne wiersze, zawsze ładne co do formy, rzadko już kiedy drukował.

XXI.

GUSTAW ZIELIŃSKI (1809 † 1881), syn Norberta pułkownika i Kazimiery z Zielińskich, przyszedł na świat za czasów Księstwa Warszawskiego we wsi Markowicach na Kujawach, w ówczesnym departamencie bydgoskim. Początkowe i średnie wykształcenie odbierał najprzód w Toruniu, potem w Warszawie i Płocku; wydział prawny w uniwersytecie warszawskim ukończył w przeciągu trzech lat od r. 1827 do 1830. Prawdopodobnie słuchał też wykładów Brodzińskiego i Osińskiego. Poezye Kazimierza z Królówki, „słodyczą i melancholią nacechowane“, czyniły na nim „miłe wrażenie“, ale wywoływały pewne krytyczne uwagi, ponieważ nie było w nich „imaginacyi zdumiewającej, przenoszącej nas w świat inny“ i ponieważ nie miały ani ognia ani mocy poezyj Schillera. Czytał już wtedy oczywiście twory Mickiewicza i innych początkodawców nowego w literaturze kierunku i stanął po ich stronie. Na twórczość własną nie miał jeszcze w owych czasach ochoty. W r. 1831 jako ochotnik służył w artyleryi i znajdował się w kilku potyczkach oraz w walnej bitwie pod Warszawą 6 i 7 września. Wraz z korpusem Rybińskiego przeszedł do Prus i bawił kilka miesięcy w okolicach Lubawy, ale w początkach r. 1832 wrócił do kraju i zajął się gospodarstwem, uro-



Gustaw Zieliński.

zmaicanem studyami literackiemi i pierwszemi próbami twórczości własnej. Zawartą jeszcze w uniwersytecie przyjaźń z kolegą ubogim, który kiedyś miał się dać poznać na polu badań dziejowych, a nie był bez zdolności wierszopisarskich, z *Zygmuntem Komarnickim* († 1883), podtrzymywał i wymieniał z nim listy, dotyczące poezyi i zagadnień moralnych. Interesował się wielce literaturą dramatyczną i sam ułożył słaby zresztą dramat historyczny p. t. „Zbigniew“, z którego drobne tylko wyjątki ukazały się w druku już po jego śmierci. Wiersze jego liryczne nie posiadały zalety śpiewności, nie uderzały siłą, nie ujmowały wdziękiem; lepsze były nieco wiersze liryczno-dydaktyczne („Sztuki piękne“ i t. p.), gdyż właściwa mu refleksyjność mogła się w nich swobodniej wypowiedzieć. Nie miał on namiętności silnych, ani też usposobienia do wywnętrzań się serdecznych; uczucia swoje trzymał na wodzy i był skłonnym do przedmiotowego obrabiania motywów poczerpniętych zzewnątrz. Pierwszym jego poematem, napisanym w r. 1835 (a w całości drukowanym dopiero w r. 1878, Toruń) jest „Samobójca.“ Młodzieniec, zagnany w dalekie kraje, pozbawiony rodziny i kochanki, nie mając w sobie „myśli twórczej, której skrzydłem wzbity mógłby się kiedyś wynieść nad gmin pospolity“, stęskniony, zbolały, nie widząc nadziei powrotu, zabija się na polowaniu. Utwór z tej treści wysnuty, składa się właściwie z kilku luźnie ze sobą związanych ustępów: z obrazu starca i dziewczyny, umierających z tęsknoty za tym, którego kochali, a któremu pomódz nie mogli; z obrazu rozmyślań więźnia, czytającego jakoby na ścianach wypisane myśli innego o przebiegu dziejów ludzkości; z obrazka polowania—jest to część najpiękniejsza, najżywiej wykonana,—z opisu pogrzebu i słów nieznajomego, co sam jeden spółczuł z samobójcą, z pieśni (bardzo słabej) pozostawionej przez

nieszczęśliwego i z dumań nad obrazkiem dziewicy, który obok niego znaleziono. Ani postać, ani duchowa strona samobójcy nie rysują się przed nami plastycznie; refleksyjność wszędzie przeważa, a że w niej głębokich myśli niema, nie zostawia więc poemat trwalszego wrażenia. Ustępy opisowe należą do najładniejszych. Czując zapewne sam swą zdolność w tym kierunku, nakreślił Zieliński cały poemat opisowy p. t. „Stepy“, który zajął nowością krajobrazów i był tłomaczony na język niemiecki.

Najpiękniejszym atoli i najpopularniejszym zarazem stał się „Kirgiz“ (1842, Wilno). Żadna z powieści poetyckich, żaden z poematów wogóle, w kraju pisanych, nie wywarł takiego, jak ten wrażenia, żaden nie wyrobił sobie większej trwałości, większej liczby wydań i tłomaczeń na obce języki. Cóż nadało mu wziętość? Przedewszystkiem sam wątek pełen dramatyczności, rozsnuty z wielką miarą artystyczną, nie wpadającą ani w rozwlekłość, ani w zbyteczną zwięzłość. Syn stepów, którego poeta żadnem nie oznaczył imieniem, jakby dlatego, by tylko typową postać ‚Kirgiza“ przed nami wystawić, wyrwawszy się na koniu z niewoli w mieście, przemoczony straszną ulewą, zgłodniały, przybywa do jakiegoś aułu (ruchomej wioski) swoich plemiennych spółbraci. Gościnnie przyjęty, zabawił tu dłużej, pokochał Demelę, córkę naczelnika aułu, Bija, nie wiedząc o tem, że gospodarz był zabójcą jego ojca, a jego samego przedał kupcom w niewolę. Ostrzeżony przez Demelę, że Bij czyhać nań będzie, jak tylko gość z aułu się wydali, zaniechał zemsty dla miłości; przekonany jednak, że mu Bij nie odda córki dobrowolnie, umawia się z nią o ucieczkę, gdy koczujący auł w drogę wyruszy. Nie mogąc ich dopędzić, Bij każe step zapalić; kochankowie giną we wzajemnym uścisku.

Niepodobna było w tak szczupłych obrębach, jakie sobie poeta zakreślił, umieścić więcej różnoro-

dnych a wciąż interesujących obrazów, wzruszeń i namiętności. Sama tedy treść „Kirgiza“, tak różna od zwykłej osnowy powieści poetyckich, zajmowała i zajmuje w wysokim stopniu. A to dodatnie wrażenie, wynikające z wątku, potęgował sposób obrobienia. Mieliśmy w owej dobie kilka poematów, wysnutych z życia wschodniego; ale w nich widać było tylko wschód poetycki, skopiowany z utworów Byrona i Moore'a, daleki od rzeczywistości. W „Kirgizie“ nie było bajronizmu wcale; zwyczaje i obyczaje, pojęcia i uczucia, poglądy moralne i sposób postępowania, krajobrazy, zjawiska natury — wszystko w nim było wzięte z bezpośredniej, żywej obserwacyi. Jakże pięknie, a zarazem jak prawdziwie odtworzył Zieliński na samym początku poczucie swobody młodego syna stepów, którego wiatr pustyni chłodził, gdy na koniu biegł stada dozierać, który tylko na stepie i na koniu czuje się w swoim żywiole. Niema tu ani cienia fałszywej poetyczności, z przypisywania Kirgizowi jakichś myśli i uczuć niezgodnych z jego usposobieniem i stopniem rozwinięcia umysłowego; poeta te tylko uwzględnił, co w tym młodzieńcu stepowym z konieczności istnieć musiały. Mając poczucie rzeczywistości, nie idealizuje bynajmniej ani jego, ani Demeli, ani ich miłości. Zgłodniały i przemoczony do nitki młodzian nie tylko wpatruje się w ładną dziewczynę, ale się wygrzewa przy ognisku i je „za czterech“, albowiem „domowi, co na wieczerzę tłumnie przybyli, chętni, usłużni swemu gościowi, wszyscy go razem z *rąk* swych karmili, a gość nie gardził gościnnym kęsem“; a i sam nie dał się ubiedz w objawach „grzeczności“ i „na stepowe bacząc zwyczaje, najlepsze kąski sam w palce bierze i z uprzejmością, jak sąsiad blizki, posyła do ust młodej Kirgizki“. Była to piękność sławiona na dużej przestrzeni stepów, lecz zgoła niepodobna do wschodnich bohaterek Byrona i Moore'a, a jej piękność, a zwłaszcza

przystrojenie jej głowy nie wywołaloby pewnie zachwytu w towarzystwie salonowem:

Szesnaście ledwie poczęła latek,
Świeża, młodziuchna jak stepu kwiatek,
Kiedy się rankiem rozwinie z pączka;
Jej kibić giętka; jej drobna rączka
Odgarnia z czoła włos kruczy, lśniący,
W siedmiu plecionkach na twarz płynący
A z za tych wązkich, ciemnych warkoczy,
Przetkniętych w perły, żywe jej oczy
Jak czarny węgiel, gdy się rozżarzy,
Siały promienie z ogniska twarzy...

A miłość w swoich przejawach, również zgodna z namiętną naturą, bynajmniej nie zbliża się do obrazów, jakie angielscy nakreślili poeci; niema w niej idealizmu, ale niema i najmniejszego udawania; jest szczerze i otwarcie zmysłową. Sam poeta widział potrzebę zwrócenia uwagi na charakter malowanego przez siebie uczucia:

O! to nie miłość naszych salonów—
Tkań słów jedwabnych. zręcznych pokłonów
Na tle wybladłem czczej etykiety,
Gdzie płeć oboja szuka zalety
W pokryciu przywar sztuką wabności...
Gdzie rąk ściśnienia, oczu spojrzenia...
Łezka i uśmiech, nawet westchnienia
Płacą dań złotu, a nie miłości—
To miłość stepu... gwałtowna, dzika,
Która dwa serca nawskroś przenika
I taki pożar nieci wśród łona,
Jak iskra w składy prochu rzucona.
To miłość stepu! bez tęsknic, marzeń,
Miłość chceń, które myśl żądłem drażni,
Z samych namiętnych usnuta wrażeń
I z rozognionych tęcz wyobraźni.
To miłość stepu!... to jakieś morze
Uciech, rozkoszy, pieszczot edeńskich,
Co jednym rzutem życia bezdroże
Otacza w milion kół czarnoksięskich...

Słów w dziejach tej miłości niewiele, tyle jeno, by się porozumieć ze sobą; a gdy przyszło umierać wśród płonącego stepu, ostatnie wyrazy młodzieńca łączyły z sobą uczucia zemsty i miłości — nienasyconej; Demela w tej śmiertelnej chwili nie mówi nic; pocałunek i uścisk są od słów wymowniejsze.

Część opisowa poematu jest świetna, zarówno gdy maluje ulewę, jak gdy kreśli pogoń lub pożar stepu. A całość rozwija się szybko w rytmie przyśpieszonym, doskonale odpowiadającym nastrojowi dramatycznemu, jaki przeważa w opowiadaniu. Wiersze nie wszędzie są doskonałe; styl nie odznacza się wielką świeżością i oryginalnością; usterków atoli rażących niema; i wrażenie wywarte przez osnowę nigdzie się nie obniża wskutek jakichś niedoborów w jej oddaniu.

Wydrukowawszy w jednym tomiku zbiorek swoich „Poezyj" (1846, Warszawa), Zieliński osiadł na wsi, oddał się gospodarstwu, zyskał poważanie wśród ziemian płockich, którym w niejednej sprawie przewodniczył, zbierał bibliotekę w Skępem i zgromadził w niej wiele cennych rzadkości; tworzeniem atoli poetyckiem prawie wcale się nie zajmował; prócz drobnych bowiem wierszy ogłosił tylko r. 1856 dwa słabe ustępy z dramatu osnutego na podaniach gminnych p. n. „Czarnoksiężnik Twardowski". Czynił natomiast poszukiwania historyczne; ułożył obraz dziejowy „Ziemi dobrzyńskiej" (1857) i wydał „Wiadomość o rodzie Świnków oraz rodowód pochodzącej od nich rodziny Zielińskich herbu Świnka" (1880, Toruń).

XXII.

Obok grona męskiego, silnie przenikniętego potrzebą zmiany losu włościan i gorąco kochającego poezyę, było także w ówczesnej Warszawie grono

kobiet, temi samemi uczuciami i poglądami ożywione. Grono to nie łącząc się ściślejszemi węzły ani z „emancypantkami“, ani tem mniej z „lwicami“, pragnęło podniesienia skali oświaty *naukowej* wśród niewiast, wywalczenia pewnych swobód towarzyskich i zmiany pewnych przepisów prawnych, regulujących stosunki między małżonkami. Składało się ono początkowo z czterech kobiet: Narcyzy Żmichowskiej, Wincenty Zabłockiej, Anny z Sokołowskich Skimborowiczowej i Kazimiery z Jaczewskich Ziemięckiej, rozszerzało się od r. 1842 do 1850 coraz bardziej i stanowiło dość jednolitą całość. Uczestniczki tego grona, zbierające się zazwyczaj w redakcyi „Przeglądu Naukowego“, przezwano „entuzyastkami“. Treścią ich rozmów i dyskusyj były najwyższe zagadnienia ludzkości: doskonałość, postęp, wiedza, miłość, szczęście, zbawienie, Bóg. Mózg ich chorował na „przekrwienie kosmologiczne“: zajmowały go bowiem same wszechświatowe zagadnienia, same szerokie poglądy, same „niebotyczne szczytności“, poddmuchnięte potężnem tchnieniem romantyzmu i filozofii niemieckiej. „Ojciec Bronisław“ t. j. Trentowski, chociaż lekko cenił umysł kobiecy, był przecież w tem gronie ubóstwiany. W postępowaniu towarzyskiem chciały entuzyastki przeprowadzić zasadę szczerości, prawdy uczucia, niezależności, śmiałości w działaniu, a skromności w ubiorze. W pogardzie dla konwenansów nieraz posuwały się zadaleko i ściągały na siebie niepochlebną ocenę opinii. Słysząc krytykę swego postępowania, długo milczały zupełnie, gardząc niejako zarzutami, których słuszności nie czuły w duszy; miały przytem niejaką otuchę w coraz żywiej rozwijającym się ruchu demokratycznym; dopiero po smutnem jego wykolejeniu w r. 1846, musiały wystąpić z obroną swych dążności i obronę tę prowadziły głównie w „Przeglądzie Naukowym“ r. 1847 i 1848. W r. 1849 rozproszyły się (niedobrowolnie) i każda pozostawiona została sama sobie.

Najznakomitszą entuzyastką, a zarazem największą poetką w prozie była NARCYZA ŻMICHOWSKA (1819 † 1876), znana pod pseudonimem *Gabryelli*. Urodzona w Warszawie, przepędziła lata dziecinne na Podlasiu wśród krewnych, kochających ją czule. Oddana na pensyę do pani Wilczyńskiej w stolicy, weszła następnie do Instytutu guwernantek, gdzie słuchała Tańskiej-Hofmanowej, wykładającej naukę moralności. Już wtedy odznaczała się umysłem bujnym i wolą hartowną. Parę lat po ukończeniu nauk poświęciła na głębsze studya samodzielne i bogaciła myśl swoją rozległem i różnorodnem czytaniem. Doznała potem jakiegoś serdecznego zawodu, który ją pogrążył w pewne zobojętnienie na wielkie hasła, a nawet podsuwał zamiar samobójstwa. Nie chcąc być ciężarem rodzinie, przyjęła obowiązki nauczycielki u hr. Zamoyskich. Z nimi odbyła podróż do Francyi, gdzie zobaczyła się z ukochanym swym bratem Erazmem, którego od schyłku r. 1831 nie widziała. Erazm był jednym z najgorętszych wyznawców kierunku demokratycznego i siostrę ku niemu nanowo zjednał. Po rozstaniu się z chlebodawcami wróciwszy do kraju, miała już Żmichowska poglądy wyrobione i starała się je w czyn zamieniać tak w zawodzie nauczycielskim, gorliwie przez nią uprawianym, jak i w literackim. Wierszem „Szczęście poety“, pomieszczonym w „Pierwiosnku“ na r. 1841 zdobyła sobie rozgłos, a następnymi utworami, zarówno wiązaną jak i niewiązaną mową pisanymi, pozyskała miano natchnionej poetki. Istotnie była nią w całem podniosłem znaczeniu tego słowa. Wiersze jej wprawdzie nie celują ani siłą, ani starannością budowy; ale za to jej proza poetyczna należy do najpiękniejszych, jakie w literaturze naszej posiadamy i może być słusznie zestawiona z prozą Zygmunta Krasińskiego.

Z poematów jej wymienić należy dwa, na fantastyce ludowej osnute: „Moina i Kościej“ (1842) oraz „Lilia“ (1843), i dwa inne, filozoficzne, wymierzone

przeciw samolubstwu, przemocy materyalnej, fałszowi i ciemnocie, a zachęcające ludzi do czystej miłości braterskiej: „Fantazya“ i „Trzy pieśni gęślarza" (obie z r. 1843). Z wierszy pomniejszych pięknością formy i serdecznym nastrojem odznaczają się: „Czemu mi smutno," „Tęsknota," „Circulus vitiosus" (t. j. kółko błędne), „Artyście nieużyteczna przestroga.“

W prozie dała Żmichowska najprzód kilka przepysznych obrazków „Z podróży kobiety,“ satyryczne opowiadanie p. t. „Cierpienie,“ kilka rozprawek, dotyczących rozwoju pojęć moralnych, kilka podań ludowych w „Prządkach,“ powiastkę z czasów panowania króla kmiotków p. t. „Dańko z Jawuru.“ I w tych utworach jest zawsze myśl poważna, uczucie serdeczne, dążenie do zgłębienia istoty duszy ludzkiej. Roztrząsała zagadnienia religijne, odróżniając pozór od zasady, podziwiała naturę, wielbiła pieśń, uczyła kochania szczerego, malowała potęgę woli kobiety, dziwiącej swą stanowczością i odwagą tych nawet, co nieraz w życiu przywykli śmierci w oczy zaglądać. Wszystkie te atoli utwory były jakby przygrywką jeno do wspaniałego poematu prozą p. t. „Poganka,“ drukowanego po raz pierwszy r. 1846 w „Przeglądzie Naukowym.“

Treść tego utworu wypełniło to, co w kole entuzyastek najczęściej i najżarliwiej rozbierano, co niejednokrotnie do najsprzeczniejszych zdań i wniosków prowadziło, a mianowicie kwestya miłości i sztuki. Żmichowska w owych czasach była „radykalistką miłości,“ a w pojęciu istoty sztuki należała także do najbardziej krańcowych romantyków, utrzymując, iż sztuka wymaga zupełnego sobie oddania się, że wysysa i pochłania wszystkie myśli, wszystkie uczucia człowieka... Gdyby wszakże te tylko poglądy rozwinęła autorka, musielibyśmy w „Pogance“ widzieć genialne upostaciowanie pomysłów, mających czasowe jedynie znaczenie, musielibyśmy ją oceniać z historycznego jedynie stanowiska. Atoli w poemacie tym,



Narcyza Żmichowska.
(Ze zbiorów Leopolda Meyéta).

obok cech, jakie na nim wycisnęła chwila dziejowa jego powstania, istnieje pierwiastek wiecznotrwały, nadający utworowi znaczenie wielkiego dzieła sztuki, które czasu się nie lęka. Pierwiastkiem tym jest głębokie ujęcie i subtelne przedstawienie tego psychologicznego faktu, iż w każdej duszy ludzkiej kryją się przeciwne, wręcz sobie wrogie potęgi, które o działaniu i losach człowieka, o jego szczęściu stanowią. Od najprostszych objawów w dziecku, do typowych ukształtowań w postępowaniu wielkich zbrodniarzy lub wielkich świętych, potęgi te uzewnętrzniają się na całej skali najdrobnostkowiej przeprowadzonego stopniowania, jako powolność i upór, jako łagodność i gwałtowność, jako pobłażliwość i okrucieństwo, jako poświęcenie siebie dla innych i poświęcenie innych dla siebie. W literaturze naszej niema drugiego poematu, w którymby te żywiołowe potęgi ducha ludzkiego dobitniej i świetniej były przedstawione, jak właśnie w „Pogance.“ Ich artystyczne odtworzenie stanowi najdoskonalszy czyn poetycki Żmichowskiej; przezeń staje się ona w naszej poezyi pierwszorzędną jej przedstawicielką.

Pierwiastek „spokoju“ wystawiła w licznem rodzeństwie Benjamina. Panowała tu jakaś święta, ewangeliczna błogość w urządzeniu stosunków domowych, w pożyciu sióstr i braci, ojca i matki, w każdym myśli i uczuć kierunku, w każdem słowie i w każdym uczynku. Błogość ta przecież nie była ani zwierzęcą szczęśliwością bezmyśli, ani też zaprzeczeniem wszelkiej goryczy, wszelkiego smutku. I owszem, w rodzinie Benjamina nie obeszło się ani bez takich tęsknych istot jak Ludwinia i Julcia, ani bez takich bólem pojących się mężów jak ojciec, co karty księgi dziejowej z sercem żalu pełnem przewracał. W rodzinie Benjamina odczuwano gorąco każde tętno sprawy ogólnej i nie szczędzono życia w jej obronie. Nie w uwolnieniu się więc od trosk, smutków i zawodów wielkich, nie w zaskorupieniu się

ślimaczem leżała tajemnica owej błogości, lecz przedewszystkiem w tem uspokajającem pojęciu, co było dla całej rodziny prawdą najwyższą, żywotną, że wszystko, co piękne, jasne, szczęśliwe, mądre, - to Bóg, który ani na jedno oka mgnienie najmilszych dzieci swoich samym sobie nie zostawia; a potem, w zastosowaniu tej prawdy do życia, w urzeczywistnieniu ideału bożego na ziemi — w miłości prostej, szczerej, szlachetnej, która wszystkich bez wyjątku członków rodziny i społeczeństwa słonecznym promieniem ogrzewała i do coraz wspanialszego rozwoju pobudzała. To też ta miłość i ta wiara niezachwiana we wszystko, co dobre, piękne, mądre i szczęśliwe, stanowiła talizman rodzinny przeciw nieszczęściom niespodziewanym i klęskom losowym... I gdy Benjamin, znękany i zawiedziony powrócił do tego świętego grona, którego głos napróżno go niegdyś do obrony ogniska rodzinnego powoływał; ono go nie odepchnęło, pamięci lat młodych nie znieważyło przypomnieniem bolesnego upadku; nie wyrzucało okropnego lekceważenia siebie, lecz przygarnęło z miłością.

Wśród takiej to rodziny, nie wątpiącej ani na chwilę o możności szczęścia za pomocą rozumnego ograniczenia wymagań, wychował się artysta Cypryan, z duszą płomienną i pełną blasków tęczowych, ale z niepokonanym demonicznym nastrojem, który i szczęście własne i szczęście najdroższych osób gotów poświęcić, byłeby pomysł artystyczny urzeczywistnić. Zamąca on spokój brata swego, Benjamina, rozdmuchując w jego piersi iskry pożądania sławy poetyckiej, potęgi niesłychanej, miłości bezbrzeżnej, byleby zyskać w nim model do postaci Alcybiadesa, ponieważ miał już Aspazyę. Benjamin poznał Aspazyę, umiejącą wyzyskiwać wszystko i wszystkich na rzecz swego zadowolenia, pokochał ją szalenie, dla zyskania jej miłości dokonywał rzeczy nadzwyczajnych; był kochany, dopóki dostarczał Aspazyi nowych

wrażeń, potem wzgardzony i odepchnięty, stał się nie zdolnym do pracy owocnej, do pracy zbawczej. Tym sposobem Żmichowska umiała w sposób genialny duchowi spokoju rodzinnego i rezygnacyi, niezamąconej wichrami namiętności, przeciwstawić trzy rodzaje gwałtownego naprężenia ducha: demonizm fantazyi skierowanej ku światowi artystycznemu (Cypryan), demonizm fantazyi, skierowanej ku życiu rzeczywistemu (Aspazya) i wreszcie demonizm uczucia, w miłości ziemskiej szukającego błogości niezamąconej (Benjamin). Nie wyczerpała wprawdzie głównych typów demonizmu, to prawda; ale w tych, które wzięła do obrobienia artystycznego, okazała głębokie pojęcie duszy ludzkiej, wysoką zdolność wtajemniczania się we wszystkie jej zakątki, subtelność analizy, lubo w najogólniejszych tylko zarysach. Trzy osobistości, przedstawiające trzy rodzaje demonizmu, obdarzyła wysoką inteligencyą, gdyż bez niej nigdyby się nie stały uosobieniami wielkich potęg duchowych, bez niej byłyby prostymi okazami szaleństwa, rozpusty i niedołęstwa woli. Inteligencya, świadomóść wielkich zagadnień życiowych, nauka oświecająca drogi ich pochodu i ukazująca im wszystkie zarzuty, jakie ludzie ludziom robić mogą, wszystkie wątpliwości, jakie każdy talent sam sobie rozwiązywać musi, wszystkie wymagania, jakie społeczeństwo stawia względem jednostek, sprawiają, że owe trzy osobistości rozważać musimy na równi z potęgami natury, z szalonymi wichrami, z burzą zwrotnikową, z wybuchami wulkanu, którymi kierują prawa mądre, lecz nieubłagane, poświęcające życie nie tylko jednostek, ale gromad całych, byleby tylko same swobodnie moc swoją okazać mogły...

Artyzm Żmichowskiej doszedł w „Pogance“ swego zenitu. Jakiż to wyborny kontrast pomiędzy spokojnymi, tęsknymi trochę a prostymi obrazami, w których poetka maluje nam pożycie rodziny Benjamina w początku i na końcu poematu, a tym p

łącym kolorytem owych płomiennych sytuacyj, kiedy demoniczne natury na scenę występują! Niepodobna przypatrywać się pierwszym bez rzewnego roztkliwienia, a drugim—bez uniesień i zapału!... Żmichowska nie rzeźbi szczegółów w „Pogance;" całe dzieje miłości Benjamina i Aspazyi zawierają się na kilku kartach; ale poetka tak dobitnie wystawiła charaktery, tak umiejętnie przygotowała nas do ich zrozumienia, że łatwo się domyślić sytuacyj pojedyńczych, któreby może w wykonaniu trochę jednostajnemi się okazały. Z trzech osobistości wulkanicznego usposobienia, pod względem plastycznym Cypryan najwydatniej występuje; Aspazya, jako artystka życia, nie tyle słowami, ile otoczeniem swojem, przez nią samą urządzonem, w myśl nam się wraża; Benjamin, jako uosobienie uczucia, chociaż ani na chwilę z nami się nie rozstaje, w falistych pojawia się kształtach, najdoskonalsze urzeczywistnienie nie czynności, lecz bierności; wszystkie wrażenia, wszystkie myśli, wszystkie sytuacye „magnetycznie" zbiera w piersi swojej i odtwarza wiernie jak klisza fotograficzna. To, co nas dziś razi w „Pogance": tajemniczość jakaś bytu Aspazyi; sześcioletnie, nieprawdopodobne przygody Benjamina, kiedy kolejno zostaje nababem, erudytem, lwem salonowym, wszystkiem zresztą, co tylko pomyśleć można, zwęglenie się wreszcie „poganki" w tej właśnie chwili, gdy Benjamin obraz Cypryana, przedstawiający Aspazyę i Alcybiadesa, spalił; trzy te szczegóły, w czasie pojawienia się „Żyda tułacza," „Monte Crista" i innych dzieł fantastyczno-realnych, były niejako uprawnionymi. A przytem „Poganka" nie jest powieścią, nie kreśli powszednich stosunków życia, lecz jest poematem, przedstawiającym potęgi ducha ludzkiego w obrazach; użycie w niej pierwiastku fantastycznego jako allegoryi nie może być za błąd poczytanem.

Nadzwyczajności takich nie spotykamy już wcale w „Książce pamiątek" (1847—8). I tu poetka nie

rozstała się ze światem artyzmu i wyższego wykształcenia; wyprowadzone tu na widownię osoby są niepospolitymi objawami umysłowości; świat ten wszakże ma pod sobą grunt rzeczywisty, osoby te ukazują się w warunkach życia codziennego. W „Książce pamiątek" dokonały się zrękowiny przynajmniej, jeśli nie zaślubiny idealizmu z realizmem estetycznym; początkowa nawet rozmowa z gospodarzem domu o najem mieszkania, zakrawa na obrazek rodzajowy, tak samo jak późniejsza scena w restauracyi Marego, gdzie to się zebrało grono młodzieży, co społeczeństwu „kradli procent od swoich zdolności, rodzinie — kosztowne utrzymanie bez wzajemnej pracy, kobietom — dobre imię, a jedni drugim — pieniądze przy zielonym stoliku..." Tylko delikatność barw i leciutkie ich nakładanie zdradzają, że obrazków owych nie robił artysta zamiłowany w scenach rodzajowych. To też następnie towarzystwo hulaszczych młodzików schodzi zupełnie z widowni; ślusarz, jego żona i służąca zjawiają się na niej bardzo rzadko, a Helusia furtką serca wchodzi do salonu osób o wysokim nastroju duchowym, o nadobłocznych dumaniach, o sercach eterycznych. Świat artyzmu zatem i w „Książce pamiątek" jest przedmiotem najważniejszym; ale jego wyobraziciele nie posiadają już tych namiętnych a gwałtownych uniesień, tych burzliwych, druzgocących wszystkie po drodze przeszkody żądz i pragnień; są to raczej wysoko ukształcone jednostki, które, zszedłszy się na pogawędkę, rozbierają z zapałem, lecz bez wyskoków, zajmujące kwestye umiejętne, artystyczne i sercowe. I tu pod spokojną powierzchownością odgrywa się dramat straszliwy; wszystkie przecież pozory salonowego trybu życia są dość skrupulatnie zachowane. Bo też i pojęcie artyzmu jest odmienne od tego, jakie w „Pogance" dostrzegamy. Już teraz poetka nie rozpatruje natchnień artystycznych z punktu widzenia przyrodnika, co je do sił natury zalicza i nie myśli ich pociągać do odpowiedzialności

społecznej, lecz z punktu widzenia publicysty, który się pyta o cel każdego kroku społecznego. To badanie celów i zamiarów, będących zasadą życia społeczeństw, uzmysłowiła autorka w postaci obywatela, Kazimierza. Nie poprzestaje on na zaznaczeniu faktu, że coś, a zwłaszcza ktoś jest takim a takim, lecz chciałby jeszcze wiedzieć, jak ten ktoś przymiotów swoich, zdolności, bogactwa, wpływu używa: czy na cele samolubne, czy też na społeczne; głosi on hasło, że „zbawieniem innych własną duszę zbawić dopiero można."

W teoryi zadań artystycznych zbliżywszy się do rzeczywistości, co do uczucia pozostała jeszcze i tu Żmichowska dawną entuzyastką, wyznającą, że miłość miała wszystko zbawiać, wszystkie cierpienia nieomylnie leczyć, do wszystkich czynów szlachetnych najpewniej i najdzielniej pobudzać; kto dla jakichkolwiek powodów zaparłby się miłości, ten stałby się niezdolnym do pożytecznego wśród społeczeństwa działania. Taką tezę zamierzała przeprowadzić w „Książce pamiątek."

Najważniejszą jej postacią, około której krążą wszystkie inne, jak planety około słońca, jest Marya-Regina. Rozum to bystry i subtelny, fantazya bujna i ruchliwa, umiejąca uplastyczniać sobie i innym, zarówno najsłabsze jak i najgwałtowniejsze poruszenia umysłu i serca, talent genialny uprzyjemniania życia za pośrednictwem najwykwintniejszych wytworów nauki, sztuki i rękodzieł, oraz za pośrednictwem stosunków towarzyskich właściwie dobranych. Przywykła do zupełnej w myślach i czynach niezależności, nigdy przecież nie zboczyła z ubitej drogi, lecz zato w obręb powszedniości tyle zagarnęła sobie jeno wrodzonej poezyi, tak zekształtowała najpospolitsze zdarzenia, tak ze wszystkiego, co ją otaczało, nowe umiała wyciągnąć żywioły, że była i rozsądną i dziwaczną, entuzyastką i chłodną anatomistką, czułą i dumną, a zawsze, w każdej chwili życia, w każdem

myśli poruszeniu, w każdem drgnięciu serca wysoce artystyczną istotą. Umie wybornie odczuwać cudze natchnienia, myśli, żądze, plany i zamiary; umie przecudownie słuchać i rozumnie odpowiadać; umie słówkiem i ruchem wszystkich ku sobie pociągnąć, czy to poetę Ludwika, czy smutną marzycielkę Helusię, czy prostą ślusarzową nawet. W teoryi co do miłości jest największą entuzyastką; w praktyce oblicza skrupulatnie, jakie korzyści cierpienie z zawiedzionej lub zaprzeczonej miłości przynieść może... Brata nawet, Romualda, którego najwięcej ze wszystkich kochała, nie inaczej ocenia, tylko jak artystę: rzuca mu pod nogi serca innych kobiet, byle tylko talent jego nowemi wrażeniami podsycić; ale nie wiadomo, czyby swoje własne uczucia zdeptać mu pozwoliła .. W końcu i brat i inni zmarnieli, a ona stała się skąpą gospodynią dziwacznego ojca i rozrzutnego brata. Dlaczego? Dlatego, że wszyscy przeciw miłości zgrzeszyli: jedni ze zbytku uczuciowych skrupułów, drudzy z teoryi, lub niedołęstwa, lub jeszcze ze źle zrozumianej cnoty. Marya-Regina oderwała skłaniające się ku Ludwikowi serce, bo w jej przekonaniu istotnym obowiązkiem niewieściego uczucia był wybór i uznanie najlepszości w wyborze; ona tak dla swej pychy, czy dla swego rozumu potrzebowała ideału najlepszości, jak Romuald do podparcia swej niemocy, do utrzymania swego charakteru na wyżynach — potrzebował kochającej i kochanej kobiety.

„Książka pamiątek“ nie jest skończoną; prócz tego rozpada się na dwie nierówne i niejednakowo pisane części; w pierwszej było jeszcze dużo uniesienia, zapału, rozmarzenia, poezyi; w drugiej znajduje się daleko więcej rozpraw, niż obrazów, więcej morałów, dyalektycznie rozwijanych, niż ruchu, akcyi powieściowej. Pod względem głębi psychologicznej nie miała Gabryela równych sobie pisarzów ani wtedy, ani długo potem.

Okoliczności zewnętrzne zmusiły do zamknięcia „Przeglądu Naukowego,“ gdzie powieść ta się drukowała; stąd i urwanie utworu, którego nigdy już później nie dopełniła Żmichowska. Musiała też wyjechać do Lublina, a w samotności rozmyślając nad własnem i ogólnem położeniem, utworzyła kilka wymownych a pełnych siły poezyj, z których najznakomitsza ma tytuł: „Głos Pański...“ O działalności Żmichowskiej w dobie reakcyi pomówić wypadnie w okresie następnym.

Obok Gabryelli ledwie na wzmiankę zasługują takie poetki jak: *Józefa Prusiecka* († 1887), *Walentyna z Trojanowskich Horoszkiewiczowa* († 1891).

XXIII.

„Książka pamiątek“ prowadzi nas do powieściopisarstwa warszawskiego. Było ono wogóle bardzo biedne. Najwięcej tu robiono tłomaczeń powieści francuskich Dumasa (ojca), Sue'go, Févala, Sanda. Piszących oryginalnie na dwie grupy podzielić można: jedni, nie ubiegając się o zawiłą intrygę, pragnęli malować zwyczaje i obyczaje polskie, przeważnie na wsi; drudzy, biorąc sobie za wzór powieściopisarzy francuskich, ubiegali się o drastyczny wątek i kreślili życie warszawskie w salonie, w knajpie, na Saskiej kępie, na ulicy.

Do pierwszej grupy, prócz autorek powiastek drobnych, należy wspomniana okolicznościowo *Paulina z Lauczów Wilkońska* (1815 † 1875), którą można słusznie nazwać pierwszą naszą „literatką.“ Pisywała powiastki, obrazki, powieści, wspomnienia historyczne, biografie, artykuły z dziejów piśmiennictwa; tłomaczyła obce utwory, dopomagała mężowi w redagowaniu „Dzwonu literackiego,“ robiła korektę, wydawała książki zbiorowe i t. d. Nie była poetką, nie posiadała wybitnego talentu, nie zajmowała się filo-

zofią: lecz obdarzona wielką wrażliwością na objawy ruchu umysłowego, chwytała dobrze ważniejsze jego objawy a przemiany, i w skromnym zakresie twórczości swojej wypowiadała w sposob prosty, pełen umiarkowania to, co w danej chwili zajmowało dusze wybrane. W okresie, o którym mówimy, żyjąc w towarzystwie o przekonaniach demokratycznych i postępowych, rozwijała w swoich pismach poglądy i dążności zgodne z temi przekonaniami: upominała się o ulepszenie doli włościan, z miłością kreśliła takie osobistości, które po wsiach zakładały ochronki, szkółki, apteczki, szpitale, wyszydzała przesądy rodowe, domagała się zrównania stanów, występowała przeciw małżeństwom konwencyonalnym, zawieranym z jakiejkolwiek rachuby, a nie z uczucia szczerego. Cała strona zewnętrzna życia:—mieszkanie, ubranie, zajęcia, zabawy bardzo trafnie, szczegółowo, z wielkiem zamiłowaniem bywała przez nią przedstawiana. Strona wewnętrzna zaś: uczucie, marzenia, myśli, poglądy, przekonania, o ile prostsze i zwyklejsze, o tyle naturalniej i swobodniej wypływały z fantazyi Wilkońskiej; ilekroć zaś skala ich się podnosi, sztukowała się deklamacyjną retoryką. W sprawie emancypacyi kobiet zachowała stanowisko umiarkowane. W początkach swego autorskiego zawodu mówiła wprawdzie z uznaniem o George Sandzie, ale niebawem zaczęła się krytyczniej na doktryny przez nią głoszone zapatrywać i ślepe jej naśladowczynie potępiać. Pragnęła dla kobiet wyższego wykształcenia, większej swobody towarzyskiej, nie miała nawet nic przeciwko paleniu cygar, ale raziło ją popisywanie się kobiet konną jazdą, a jeszcze w wyższym oczywiście stopniu, jaskrawe zrywanie z tradycyjnymi przepisami moralności.

Zbiory drobnych jej powiastek i obrazków mieszczą się w książkach p. t. „Wieś i miasto“ (1841), „Powieści“ (1842 i 1859 po dwa tomiki), „Poranki i wieczory“ (1847, dwa tomy), „Godzina rozrywki“

(1849). Większe utwory zaczęły się od „Zapóźno“ i „Jeszcze dość wcześnie“ (1846, trzy tomy), „Tak się dzieje“ (1848, dwa tomy), „Wawrzyna“ (1851), „Różni ludzie“ (1853). Z późniejszych jej, bardzo licznych powieści, w których się odbiły zmiany zachodzące w poglądach społecznych, najznamienniejsze są: „Irena“ (1857), „Obrazek poznański“ (t. r.), „Fata morgana“ (1859), „Skalińce“ (1861—64, trzy tomiki), „Dziedzic Orłowa“ (1868), „Za posagiem“ (1874). Rozwlekłość, gadatliwość, a przytem wyblakłość kolorytu więcej daje się czuć w tych późniejszych, aniżeli w dawniejszych opowiadaniach Wilkońskiej. Wszędzie atoli widać interesowanie się sprawami ważnemi, które w danej chwili zwracały na siebie uwagę; trafność poczucia i poglądu na użyteczność pewnych haseł dla swego społeczeństwa.

Najzdolniejszym przedstawicielem drugiej grupy powieściopisarzy warszawskich jest *Józef Symeon Bogucki* (1816 † 1855). Poczęści Paweł Kock, poczęści Eugeniusz Sue byli jego wzorami. Pierwszą jego powieścią była „Zalotna, czyli jeden rok tajemnicy“ (1838 Warszawa). Osnuta jest raczej na szeregu wypadków niezwykłych (dwużeństwo), niż na rozwoju charakterów, lubo i te, mianowicie trzy główne: namiętnego szulera Rudolfa, zalotnej Melanii i szlachetnej choć słabej panny Leontyny, są nakreślone sylwetkowo tylko, ale poprawnie. Nigdzie niema sytuacyj powszednich, a sceny nawet ze zwykłych życia stosunków podniesione są obrobieniem, które jest najczęściej przesadne, i prócz rozmów, naturalnych a nieraz dowcipnych, opowiadania a zwłaszcza refleksye są wygłaszane pretensyonalnie, jakby wyrocznie. Styl, niezwykle kwiecisty, razi mimo to nadmiarem wyrazów abstrakcyjnych lub porównań niewłaściwych; język zaś wygląda jak liche tłomaczenie z francuskiego. W dalszych pracach ujemności stylu i języka zmniejszały się, lecz ślady francuszczyzny przetrwały. Pragnąc zobrazować stosunki

warszawskie i pokazać, że mogą one zająć, lubo nie przedstawiają takiej rozmaitości, jak paryskie, ogłosił „Wizerunki społeczeństwa warszawskiego“ (1844). Czternaście szkiców wypełnia tę książkę, a są pomiędzy niemi prawdziwie piękne i nadzwyczaj trafne, zwłaszcza gdzie wystawia błyszczącą nędzę elegantów („Milionerzy w perspektywie“, „Historye zielonych stolików“). W dziesięć lat potem przedrukowując te „Wizerunki“, dodał tom drugi, gdzie w 7 grupach zobrazował śmieszności dawniej pominięte, lub rozwinął szerzej te, o których poprzednio tylko napomknął. Najlepsza to praca Boguckiego. Obszerne bowiem jego powieści, jako to: „Klementyna, czyli życie sieroty“ (1846, sześć tomów), „Rodin, czyli duch na drodze pokuty“ (1846, ośm tomów), „Kapitaliści“ (1852, cztery tomy), lubo dotykają spraw ważnych i żywotnych: położenia kobiety w społeczeństwie, wynagrodzenia krzywd zrządzonych przez człowieka przewrotnego, stosunku kapitału do pracy; lubo w obrobieniu dużo znajdujemy zalet: umiejętność zaciekawiania, dowcip w rozmowach, talent rozwijania jednej sytuacyi z drugiej; ale w gruncie rzeczy, co do zasadniczych pomysłów, zależnym w nich jest autor nasz od pisarzy francuskich, szczególniej Sue'go, którego romanse cenił bardzo wysoko. „Rodin“ to dopełnienie „Żyda wiecznego tułacza“, z rozwinięciem myśli o uszczęśliwieniu chłopów i rzemieślników: dla pierwszych ciągła zapomoga na wydatki rolne, dla drugich fabryka, której właściciel dzieli się równo z robotnikami dochodem, a po pewnym czasie zakłada fabryki na własne ich imię, ażeby ci nowi właściciele ze swymi pracownikami w tenże sam sposób postępowali. Artystycznie najlepszą postacią w „Rodinie“ jest Thoms, urwis skończony, ale z sercem najlepszem. Gdy w „Kapitalistach“ chciał Bogucki przedstawić ulicznika warszawskiego, to powiedział, iż jest on „tak prozaicznego stylu, że choćbyś miał imaginacyę najsławniejszych poetów i cały pęk

piór Malczewskiego, dowcip i wesoły humor Krasickiego, nic a nic nie zrobisz.“ Główną kwestyą, rozbieraną w „Kapitalistach“, jest nędza warstw niższych. Jakkolwiek autor ironizuje dzieło Thiersa: „O własności“, sądzi przecie, że ani socyalizm, ani komunizm, ani organizacya pracy (warsztatów narodowych we Francyi w r. 1848) nie dają środków zapobieżenia nędzy. Dla tych, co dzisiaj cierpią ubóstwo, należy się od nas tylko ulga. Z innych spostrzeżeń Boguckiego zaznaczyć wypada paradoksalne zdanie, że uśmiech i łza to pierwiastki zwierzęce: „istota prawdziwie ludzka poi się rozkoszą lub rozpacza na dnie ducha, który jest dla wszystkich niewidzialny...“

W ślady Boguckiego wstąpić pragnął *Edward Bogusławski* (ur. 1823), ale nie posiadał jego dowcipu i talentu wynalazczego. Po drobnych powiastkach i obrazkach, wystąpił 1845 z dwutomową powieścią: „Michalina“, osnutą na tle życia warszawskiego zarówno ze sfer bogatych jak i ubogich. Takież obrazki, tylko na znacznie szerszą skalę i wprowadziwszy jeszcze różnorodniejsze żywioły (lwice, emancypantki, modniarki, kawiarki, pseudo-literaci, biuraliści, pozłacana młodzież, parafianin wprowadzony w świat warszawski przez modnisia, szulerzy i t, d.) rozwinął autor w 6-tomowym romansie p. t. „Daguerotypy Warszawy“ (1847). W poglądach swoich był demokratą; z pewnym naciskiem przedstawiał sobkostwo, chciwość, zepsucie, a nawet zbrodniczość warstw bogatych lub noszących świetne imię, a przeciwstawiał im gotowość do ofiar, cnotę, niewinność, pracowitość warstw ubogich, lubo nie przeczył, że i wśród nich są słabości i występki, twierdząc jedynie, że grunt serca jest w nich dobry i zacny. Pod względem estetycznym pozostawał jeszcze pod wpływem dawniejszej deklamacyjnej szkoły w powieściopisarstwie, mianowicie w przedstawianiu uczuć; tam jeno od niej odstępował, gdzie mówił o wypadkach

komicznych lub wybiegach rzezimieszków. Psychologia jego bardzo powierzchowna, styl dosyć poprawny, ale zgoła nie obrazowy. Rychło Bogusławski porzucił pole powieściowe i literackie wogóle, zająwszy się swojem urzędowaniem w Dyrekcyi Ubezpieczeń.

Całkiem niezależnie od Boguckiego, a równocześnie z nim wystąpił w literaturze *Marceli Bogorya Skotnicki* (1815 † 1850), niezmiernie płodny i wielostronny, ale niewielkiego talentu pisarz. Miał on wyższe ukształcenie, ukończył uniwersytet jagielloński, potem studyował w Berlinie, interesował się sztukami pięknemi i założył pierwszy, krótkotrwały, dla nich organ: „Tygodnik sztuk pięknych" (1840). Rozpoczął od poezyi: „Prace literackie" (1840), dużo tłomaczył z francuskiego; w twórczości powieściopisarskiej starał się połączyć moralizatorski ton Dickensa z jaskrawymi obrazami romansistów francuskich; pisał i małe opowiadania jako to: „Chłopiec z pod Skalmierza" (1845), „Drugi Sąd Salomona" (1848), „Adjutant naczelnego wodza" (t. r.)—i duże powieści: „Kupiec z Krakowskiego Przedmieścia" (1844), „Samoluby" (1846, sześć tomów), „Pan Hilary" (1847, trzy tomy), „Karciarze" (1847, cztery tomy), „Bratowa" (1850, siedm tomów). Układał też i powiastki dla dzieci.

Niemały rozgłos w swoim czasie miał *Adam Amilkar Kosiński* (1814 † 1893), sypiący jak z rękawa opowiadania żołnierskie, według jednego szablonu zrobione. Zajęły one czytelników werwą i wspomnieniami z czasu legionów. Początkowo drukowane w czasopismach, wyszły potem w pięciu zbiorach: „Powieści i opowiadania żołnierskie" (1845, Lipsk, trzy tomy), „Powieści z dziejów polskich" (1845, Warszawa, trzy tomy), „Powieści staroszlacheckie" (1847, trzy tomy), „Powieści i legendy" (1851, cztery tomy), „Miasta, wsie i zamki polskie" (1851, Wilno, cztery tomy), „Obrazki dawne i tegoczesne"

(1855, trzy tomy). Obok tych drobnych, zaczął też ogłaszać i obszerniejsze powieści: „Magnaci i szlachta“ (1851, trzy tomy); „Dziecię królewskie“ (t. r. także trzy tomy), „Ostatni mazowieccy książęta“ (1852), „Krew hetmańska“ (1853). Gdy krytyka wykazała brak prawdy dziejowej, brak psychologii, a zwłaszcza zapożyczanie się u autorów francuskich co do wątku i obrobienia [1]), Kosiński usunął się z widowni literackiej i ożeniwszy się, osiadł jako obywatel ziemski w okolicach Częstochowy. Pod koniec życia przeniósł się do Warszawy; od r. 1877 zaczął wydawać „Przewodnik heraldyczny“, którego do r. 1885 ogłosił pięć tomów.

Podobnego losu doznał także *Teodor Tripplin* (1813 † 1881), urodzony w Kaliszu, wykształcony po r. 1831 w Królewcu i Montpellier, gdzie uzyskał stopień doktora medycyny; poczem praktykował w różnych okolicach Francyi i Hiszpanii. „Wspomnienia z podróży po Danii i Norwegii“, ogłoszone r. 1844 w Poznaniu, odrazu mu wyrobiły imię żywego opowiadacza i dowcipnego człowieka. Przybywszy do Warszawy, zaczął fabrykować co raz to nowe „Podróże“ po Anglii, Portugalii, Hiszpanii i Marokko, popuszczając wodze fantazyi, jakby nie pisał sprawozdań z otrzymanych wrażeń lub widzianych krajobrazów, lecz dowolnie po powieściopisarsku wymyślone przygody. Co gorsza, ponieważ te jego Podróże miały ogromne powodzenie, zaczął opisywać i takie kraje, gdzie zgoła nie był, np. Saharę, biorąc z pisarzy obcych, niemieckich i francuskich, nie tylko materyał, ale i szczegóły. Długo mu to uchodziło bezkarnie. Tripplin od podróży przeszedł do powieści, kreśląc drastyczne sytuacye i działając na

---

[1]) Ujemne strony tych opowiadań wskazał u nas pierwszy Julian Bartoszewicz w obszernym „Rozbiorze powieści A. A. Kosińskiego“ (w „Przeglądzie naukowym“ 1848, t. III, str. 5—23).

zmysłowość; talentu wszakże twórczego wcale w nich nie okazał. „Pan Zygmunt w Hiszpanii“ (1852), „Asmodeusz w Paryżu“ (1854), „Kobieta z głową“ (1856), „Maskarada w obłokach“ (t. r.), „Lekarz w Szwajcaryi“ (t. r.), „Lunatycy“ (1857), „Dwa duchy“ (1860) i t. d. były jednak chciwie czytane. I w nich również śmiało przyswajał sobie obce pomysły. Gdy to ujawniono, Tripplin wyjechał z kraju, tułał się znów długie lata po świecie; w końcu wrócił i wystąpił z nowemi „Wspomnieniami“, ale te już żadnego odgłosu w duszy czytelników nie wywołały.

Nie mieli szczęścia zwrócić na siebie uwagi ogółu i historyków literatury dwaj jeszcze podróżnicy nasi z tej doby, chociaż talentem nietylko dorównywali Tripplinowi, lecz go owszem znacznie przewyższali. Zmarłszy młodo, nie wiele pozostawili po sobie; ale w tych kilku tomach więcej znajdziemy myśli i więcej stylowego poczucia, aniżeli w licznych książkach Tripplina. Są to Karol Frankowski i Władysław Wężyk.

Karol Frankowski (1795 † 1846), w literaturze występujący jako *Kajetan Niepowie*, wykształcenie odebrał w liceum Richelieugo w Odessie, służył wojskowo, w 1836 wybrał się za granicę, zwiedził Francyę, Austryę, Włochy i Anglię, długo przebywał w Paryżu, gdzie zapoznawszy się z tamecznymi pisarzami, między innymi z Balzakiem, przyswoił sobie styl ówcześnie modny: żywy, błyskotliwy, pełen napomknień literackich, mitologicznych i dziejowych, ubiegający się za niezwykłemi porównaniami i przenośniami. Pisał po francusku artykuły sprawozdawcze w jednej z gazet teatralnych, a w r. 1840 ogłosił w Paryżu swoje „Studya fizyologiczne nad wielkiemi stolicami Europy Zachodniej *(Etudes physiologiques sur les grandes métropoles de l'Europe occidentale)*. Wróciwszy do kraju osiadł w Warszawie, został dyrektorem gimnazyum realnego, zaczął tu wy-

dawać 1842 wraz z Hignet'em czasopismo: „Glaneur de Varsovie“, gdzie pomieszczał iskrzące się dowcipem feljetony. Nazwany przez jeden z dzienników „zbiegiem literackim“ za pisanie po francusku, zwrócił się do polszczyzny i ogłosił najprzód obszerny „dramat w trzech porach i pięciu aktach z prologiem“ p. t. „Gra namiętności“ (1843, Warszawa), gdzie na tle bardzo zawikłanej intrygi, obejmującej i dwużeństwo i fałszowanie papierów publicznych i podpisywanie weksłów cudzem nazwiskiem i morderstwo staruszki celem zagrabienia testamentu i obłąkanie z zazdrości, odmalował jaskrawo straszne zepsucie wyższych warstw społeczeństwa francuskiego, z nieodstępną wówczas postacią szlachetnego a wszechwładnego mściciela krzywd w osobie pułkownika Napoleońskiego de Mortagne i jego wiernego feldfebla Fijołka. Nie miał ten utwór zalet kompozycyi dramatycznej, był raczej dyalogowaną powieścią, lecz posiadał sceny znakomicie wykonane i mógł żywo zająć wyobraźnię i myśl czytelnika. W trzy lata potem wydrukował duży tom p. t. „Moje wędrowki po obczyznie“ (1846, Warsz.). W tomie tym zawarł tylko obrazy życia paryskiego, rozpatrywane z dwojakiego punktu widzenia, przedstawiające ujemne i dodatnie jego strony („Paryż w grzechu“, „Paryż w stanie łaski“) z niehamowaną werwą, dobitną charakterystyką, zajmującymi szczegółami. Nie brakło już wtedy u nas opisów Paryża. Znana już nam *Łucya z Giedrojciów Rautenstrauchowa* w dwu swoich książkach: „Wspomnienia o Francyi“ (1839, Kraków), „Ostatnia podróż do Francyi“ (1841, Lipsk) wiele interesujących zamieściła wiadomości o życiu literackiem, artystycznem i towarzyskiem w Paryżu, a *Stefan Witwicki* w „Listach z zagranicy“ (1842, Lipsk) najdłuższy i najlepszy z nich poświęcił jędrnej charakterystyce stolicy mody i smaku; ale ani tu, ani tam nie było tej wielostronności w malowaniu stosunków paryskich, nie było tej plastyki, jaką się odznaczały

obrazy i opowiadania Frankowskiego. Język tylko stanowi ujemną stronę jego: jest to dziwna mieszanina galicyzmów i rusycyzmów ze zwrotami czysto polskiego, szlacheckiego pochodzenia. „Paryż“ miał być początkiem jeno szeregu opisów, do jakich w tece podróżnej Kajetana Niepowie mieściły się materyały, ale śmierć rychła nie dozwoliła mu ukazać ich światu.

Pod względem języka nieporównanie poprawniejszym, pod względem stylu równiejszym, mniej za nadzwyczajnemi połączeniami goniącym był *Władysław Wężyk* (1814 † 1848), młodzieniec ekscentryczny, niezmiernie ruchliwy, wiele krajów znający, a dla własnego wylany (utworzył w Poznaniu roku 1842/3 stały teatr polski, istniejący co prawda tylko 7 miesięcy), ukształcony i ciągle się kształcący. Prócz wielu artykułów krytycznych i publicystycznych ogłosił on w roku 1842 w Warszawie „Podróże po starożytnym świecie (2 tomy). Tytuł ten zapowiadał całą seryę wspomnień i badań, ale autor dał tylko Egipt. W dwu częściach przedstawił najprzód historyę, a potem wrażenia. W historyi był przytłoczony mnóstwem faktów, których nie potrafił należycie opanować. Przedstawiając wrażenie, czuł się w swoim żywiole; rączo, dobitnie, barwnie kreślił krajobrazy, opisywał okolice, malował obyczaje. Pełen uniesienia, lecz i trzeźwego rozmysłu także, skreślił nader zajmująco swoje spostrzeżenia nad fizyonomią i życiem Kairu, opowiedział swe wrażenie w Górnym Egipcie odniesione. A nie bawił się w zmyślone przygody; mówił to tylko, na co własnemi patrzył oczyma, co posłyszał osobiście. Bajek i przygód nadzwyczajnych nie dawał, ale tak umiał ująć swem opowiadaniem, tyle znamiennych zanotował szczegółów, że wśród rozważniejszych czytelników szczere zyskał sobie uznanie.

XXIV.

Słów jeszcze kilka o krytyce literackiej, która się bujnie w Warszawie rozwinęła, mianowicie od r. 1841. Każde czasopismo pomieszczało wówczas krótsze lub dłuższe oceny nowo wychodzących książek. Istniało nawet osobne (krótkotrwałe) czasopismo p. t. „Roczniki krytyki literackiej“, założone r. 1842.

Z wielu pisujących krytyki, odznaczyło się w tym czasie dwu głównie: Tyszyński i Majorkiewicz.

Aleksander Tyszyński (1811 † 1880) skończywszy uniwersytet w Wilnie na wydziale prawnym, ogłosił r. 1837 w Petersburgu dziwną książkę dwutomową p. t. „Amerykanka w Polsce“, będącą połączeniem rozpraw z romansem. W części powieściowej, dającej się czytać oddzielnie, autor nakreślił kilka psychologicznych wizerunków męskich i żeńskich, uwzględnił oczywiście miłość i rozwinął swój pogląd fatalistyczny na losy ludzkie, pogląd, który umiał pogodzić jakoś z nauką katolicką o wolnej woli. W bohaterze budzi się wątpliwość co do siły zasad moralnych w pannie przezeń kochanej, a to stąd, że się zgodziła na tajemną schadzkę; posyła jej więc tłomaczenie pieśni z „Hamleta“, śpiewanej przez Ofelię, a sam wyjeżdża. Nie tylko szczęścia, ale zadowolenia w życiu nie znajduje; mimo to postępek swój uważa za konieczny; inaczej zrobić nie mógł, bo go los jego ku temu zmusił. — W dziale dydaktycznym znajdują się tu rozprawy o religii chrześcijańskiej, o języku polskim, o dziejach cywilizacyi w Polsce, najobszerniej o literaturze XIX wieku, a nie tak szczegółowo o dawniejszej. Tyszyński wprowadził pierwszy nazwę odrębnych „szkół“ dla oznaczenia charakteru poezyi naszej najnowszej; wyróżnił mianowicie cztery takie szkoły: litewską, ukraińską, puławską i krakowską. Książka ta wyrobiła Tyszyńskiemu sta-

nowisko jako krytykowi. Będąc jednym z założycieli „Biblioteki Warszawskiej“, pomieszczał w niej od r. 1841 szereg ocen z działu poezyi, powieści, estetyki, filozofii, historyi — starając się być jaknajbezstronniejszym, zawsze przytaczając wprzódy treść rozbieranego utworu, zanim do jego krytyki przystąpił. Odznaczał się nauką i sumiennością, styl miał sobie właściwy, staranny, ale ciężki i zawiły. Namiętnie kochał poezyę, lubił się dopatrywać myśli głębszej w utworach; nie uznawał hasła „sztuka dla sztuki“, lubo stronę jej formalną wysoko szacował. Część swoich ocen zebrał r. 1854 w trzytomowym zbiorze p. t. „Rozbiory i krytyki.“ Pod koniec życia ułożył „Pierwsze zasady krytyki powszechnej“ (1870, dwa tomy). Jestto właściwie zwięźle przedstawiona historya cywilizacyi wraz z poglądem na przyszłość i z wyciągniętemi stąd prawidłami postępowania, prawidłami dotyczącemi moralnej i naukowej strony człowieka, a więc i krytyka. Ogrom wiedzy, czerpanej ze źródeł samych, zmieścił w tej niewielkiej księdze, a zarazem wykazał w niej podniosły, szlachetny, dla dobra i prawdy żyjący charakter.

Jan Majorkiewicz (1820 † 1847), młodzieniec pełen zapału, znacznego oczytania i duszy niepospolitej, pochodził z Płońska na Mazowszu. Nauki początkowe pobierał w gimnazyum płockiem, w Warszawie uczęszczał na kursa pedagogiczne i prawne, ukończył wydział prawny w Moskwie. Będąc jeszcze w uniwersytecie, pisał rozprawki treści filozoficznej. W „Nadwiślaninie“ dwudziestojednoletni młodzieniec pomieścił aż 6 artykulików, najeżonych erudycyą. Mówił tam o „peryodach dziejów filozofii,“ o „Jakóbie Górskim i filozofii“, o „rozporządkowaniu dziejów filozofii“, o „ciemności pism filozoficznych niemieckich“, pomieścił „Myśli i uwagi“, w których wypowiedział zasadnicze swoje twierdzenie, iż „wiedza zakwitła na niwie uczucia.“ Po upadku „Nadwiśla-

nina" drukował swe prace w „Przeglądzie Naukowym", dotykając zagadnień filozoficznych, prawnych, jeograficznych i literackich. Odbywszy aplikacyę sądową w Płocku, otrzymał urząd w Komisyi Sprawiedliwości w Warszawie, 1845 r. Wtedy zaczął pracować nad większemi dziełami i ogłosił z datą r. 1847 tom „Historyi, literatury i krytyki", gdzie pomieścił dzieje piśmiennictwa polskiego od czasów najdawniejszych aż do spółczesnych sobie, rozpatrując je w trzech okresach: badania wiary, powstawania na rozum i godzenia uczucia i wiary z rozumem. Niektóre tylko części obrobił staranniej, inne bardzo ogólnikowo. Pierwszy po Dembowskim dał przykład wnikania w wewnętrzne znaczenie utworów, z pominięciem nawet strony bio- i bibliograficznej. Rzucił kilka pięknych myśli, lecz nie zdołał jeszcze należycie ich przetrawić. Pisał żywo, lecz wielkiego talentu literackiego nie posiadał. Nadzwyczajne wysiłki w połączeniu ze słabem zdrowiem zgon jego przyśpieszyły. Kochany i szanowany przez wszystkich, co go znali, chlubną zostawił po sobie pamięć i żal, że tak rychło zszedł z pola zasługi. Objawiło się to w skwapliwości, z jaką zebrano wszystkie jego artykuły drukowane i prace rozpoczęte w rękopiśmie, ażeby je w zbiorowem wydaniu ogłosić. Wyszły te „Pisma J. Majorkiewicza" w Warszawie r. 1850—51 w pięciu tomach: 1-szy zawiera drugie wydanie „Literatury polskiej w rozwinięciu historycznem"; 2-i i 3-i „Historyę serca i rozumu, czyli uczucia i wiedzy," 4-y i 5-y „Pisma pomniejsze" t. j. artykuły krytyczne, rozprawki, zarysy. W krytykach swoich cenił przedewszystkiem treść, dążność; był wolnomyślnym, demokratą i postępowcem, ale dalekim od radykalizmu; za ideał człowieczeństwa poczytywał harmonijne połączenie uczucia i rozumu, wiary i wiedzy.

---

5. Litwa.

XXV.

Uniwersytet wileński przestał istnieć w r. 1832; liceum krzemienieckie w 1833; miejsce tych wyższych zakładów naukowych zajął świeżo w roku 1834, założony uniwersytet w Kijowie. W Wilnie powstała, dla celów praktycznych, Akademia medyczna, funkcyonująca od r. 1832 do 1840, oraz Akademia duchowna od roku 1834 do 1842, kiedy została przeniesiona do Petersburga.

Młodzieży, poświęcającej się wiedzy teoretycznej, brakło, gdyż ubodzy nie mieli za co odbywać dalekich podróży po światło, a zamożni woleli się popisywać na jarmarkach jako „bałaguli." [1]) W dziedzinie historyi tylko można wymienić parę nazwisk, już to znanych poprzednio, już to nowo się wybijających, jak np. *Teodor Narbutt* (1784 † 1864), *Michał Baliński* (1794 † 1863), *Mikołaj Malinowski* (1799 † 1865), *Aleksander hr. Przezdziecki* (1814 † 1872). I oni nawet zresztą po większej części prace swe drukowali w Królestwie.

Twórczość poetycka, jakby wysilona tu wydaniem przed r. 1830 najznakomitszych piewców, teraz przedstawiała się ubogo; rymowało bardzo wielu, ale wyższy talent nie zajaśniał ani jeden; powieściopisarstwo natomiast, a w części i dramatyka wydały sporo dzieł niepospolitych, największych, jakie wogóle w całej krajowej literaturze wtedy się pojawiły w tych rodzajach literackich. Czasopiśmiennictwa we właściwem znaczeniu nie było. Prócz dawniej-

---

[1]) *Bałaguli* lub *baragoli* (z żydowska=furmani), zamiłowani w koniach, królowali na jarmarkach berdyczowskich. Pod pozorem hartowania ciała i nawrotu do prostych obyczajów, „hulali po miastach i miasteczkach, napadali JWielmożnych

szego „Kuryera litewskiego," który teraz na „Wileński" zamieniono, a który w literaturę się nie bawił, choć miał przez czas długi naczelnego redaktora w osobie poety Antoniego Edwarda Odyńca, przezywającego się teraz Inocentym Staruszkiewiczem, nie wychodziło na Litwie żadne pismo *peryodyczne*; ukazywały się jeno „noworoczniki," czyli almanachy i pisma *zbiorowe*. Właściwe, peryodycznie ukazujące się wydawnictwa polskie, istniały tylko w Petersburgu, a mianowicie polityczno-literackie: „Tygodnik petersburski," założony w r. 1830 przez *Józefa Emanuela Przecławskiego* († 1879) i Franciszka Malewskiego († 1870), oraz satyryczne p. t. „Bałamut petersburski," założone 17 maja 1830 przez *Józefa Sękowskiego* († 1858), który jakkolwiek Polak rodem, należy do literatury rosyjskiej, gdyż ją przeważnie pracami swemi pomnożył. „Bałamut" po kilku latach, w ciągu których redaktorzy się zmieniali, zniknął zupełnie; „Tygodnik" zaś, zostawszy „gazetą urzędową dla Królestwa Polskiego," był prenumerowany początkowo z obowiązku, później zaś, gdy do niego zaczęli pisywać prawdziwie utalentowani autorowie, zyskał ogromną powagę literacką i miał wiel-

---

po drogach, wyrządzając im bolesne (ale przynajmniej dające się czemś wytłomaczyć) figle, napadali kobiety bezbronne, siłą na nich dopraszając się o to, czego sercem pozyskać nie mogli, pisali paszkwile, śpiewali piosenki swawolne, uganiali się na koniach, facyendowali końmi, oszukiwali na koniach;—niektórzy dla zwrócenia na siebie uwagi ukazywali się *nago* na koniach w miasteczku i pędzili ulicami, napełnionemi ludem; inni starych, bezbronnych, słabych i tchórzów wyzywali, ażeby się z nich urągać..." „Przybrali swobodną manierę ludzi nawpół dzikich, obnażoną mowę, obyczaje niczem nie skrępowane, żadnymi względy, żadnymi przyjętymi u świata zwyczajami i nie kryli się z zepsuciem, owszem szukali z niego chluby..." (J. I. Kraszewski: „Latarnia Czarnoksięska," 1843, t. III, 180—2.) Bałagułów nazywano także „Skórkowymi" od skórzanych szarawarów, jakie zazwyczaj nosili. Była to rubaszna, płaska odmiana cyganeryi artystycznej.

kie rozpowszechnienie na Litwie. Sam Przecławski był niewątpliwie zdolnym człowiekiem, lecz charakteru lichego; karyerowicz w życiu, był przemysłowcem jako wydawca czasopisma i stosownie do panującej w danym czasie opinii, naginał swoje przekonania, zręcznie umiejąc się wywinąć ze sprzeczności w swych zdaniach. Dużo miał dowcipu i pióro cięte.

Zanim atoli „Tygodnik“ nabrał wziętości, zadawalano się noworocznikami i pismami zbiorowemi. Pierwszym noworocznikiem tego okresu na Litwie był „Znicz,“ ogłoszony na r. 1834 przez *Józefa Krzeczkowskiego*, który żadnem obszerniejszem dziełem nie upamiętniwszy swego nazwiska, stał się typowym przedstawicielem wydawcy almanachów. Nie myślał on nadawać żadnego kierunku, czy społecznego, czy literackiego swoim noworocznikom; zbierał skrzętnie wszystko, co mu dawano, lub co mógł wyprosić, czy od pseudo-klasyków, czy od ultra-romantyków, od postępowców, czy od zachowawców. To też „Znicz“ przedstawia się jako zbieranina wierszy i prozy bardzo różnej wartości tak, że i lichoty nie brakło. Ale ponieważ był jedynym wtedy, kupowano go, a Krzeczkowski ogłosił drugi tom na r. 1835, w latach zaś następnych (1837 i 1838) przezwał swe wydawnictwo „Birutą.“ Że jednak w tym czasie inni poszli w jego ślady i wytworzyli spółzawodnictwo, zaniechał czas jakiś wydawnictwa, utracił zaufanie, i z coraz gorszemi potem występował zbiorkami, jak „Rimembrauza“ na r. 1843, „Świstek Spirydyona Wędżegi“ w r. 1845.

Ze spółzawodnictwem wystąpił jedyny wtedy u nas otwarty wróg nietylko bajronizmu, ale i najznamienniejszych utworów samego Byrona, pomimo uznania dla jego wielkiego talentu, *Adam Pieńkiewicz*, który się już dał poznać rozprawą o poezyi, pomieszczoną na czele 7-tomowego „Wyboru poezyi

z pisarzów polskich" (1835—36, Wilno), mającego na celu „budzenie prawych uczuć." Otóż on na r. 1838 ogłosił almanach p. t. „Bojan" i poderwał nieco wziętość „Biruty." Równocześnie *Aleksander Groza* (1807 † 1875), młodszy towarzysz Seweryna Goszczyńskiego i Bohdana Zaleskiego w szkołach humańskich, znany już jako autor poematu: „Pan Starosta Kaniowski" (r. 1836) wystąpił na ten sam rok 1838 ze swoją „Rusałką," jako organem Ukrainy, Podola i Wołynia. Oprócz niezłych poezyj samego redaktora, znajdowało się tu parę utworów prozą rozumnie, a czasem pięknie pisanych. Zwróciły one uwagę na „Rusałkę" i zachęciły Grozę do ogłaszania takich zbiorków rok rocznie przez lat jeszcze pięć (1839—1842). Zarówno tem wydawnictwem, jak swemi poezyami, późniejszemi powieściami i pracami pedagogicznemi przyczynił się Groza niemało do podtrzymania ruchu umysłowego w swojej prowincyi. Wielkiego talentu nie posiadał, ale wielką odznaczał się zacnością i wytrwałością.

Wspomnieć wreszcie wypada noworocznik „Linkmine," wydany na r. 1841, jako organ wyłącznie litewski, przez skrzętnego pracownika nad historyą i etnografią Żmudzi, księdza *Ludwika Adama Jacewicza* (1810 † 1846), pisującego pod pseudonimem Ludwika z Pokiewia.

Wszystkie te noworoczniki drukowały się w Wilnie. Tu także od r. 1834 do 1843 wychodziło pismo zbiorowe p. t. „Wizerunki i roztrząsania naukowe." Nakładcą był księgarz Zawadzki, redaktorem *Ignacy Szydłowski* (1793 † 1846), niegdyś nauczyciel literatury polskiej w gimnazyum wileńskiem, znany ze zdolności rymotwórczych i dowcipu, lecz i z niewielkich zalet charakteru. Z początku „Wizerunki" były zbiorem samych niemal tłomaczeń i streszczeń znakomitych rozpraw, znajdujących się w miesięcznikach i kwartalnikach francuskich i angielskich; miały więc tę dobrą stronę, że choć w niepopra-

wnym języku zaznajamiały ogół nasz z ruchem umysłowym europejskim. Potem zaczęto się starać o artykuły oryginalne, a że najłatwiej było pozyskać rozprawki lub materyały historyczne, zaczęto zapełniać zeszyty obszernymi opisami różnych miejscowości, a zwłaszcza takich, gdzie były kościoły i kaplice. Ujawniono w ten sposób dużo szczegółów mniej lub więcej ważnych, ale interesujących głównie historyka; dla ogółu prawie nic w końcu „Wizerunki" nie podawały i musiały być zwinięte.—Inna próba wydawania książek zbiorowych, podjęta p. t. „Pisma Rozmaite" (1838) przez słynnego kaznodzieję wileńskiego, *Ludwika Trynkowskiego* († 1849 w Irkucku) wspólnie z *Franciszkiem Dobkiewiczem*, skończyła się na jednym tomiku; pamiętną zaś jest z gorącej przemowy za nękanym w poddaństwie ludem wieśniaczym.

XXVI.

W dobie chylenia się „Wizerunków" do upadku, wielce poczytnym stał się „Tygodnik Petersburski," a to dzięki głównie spółpracownictwu najruchliwszego i najwszechstronniejszego z literatów zamieszkałych na Litwie, który w owej chwili liczył dopiero 25 lat wieku, lecz miał już siedm lat pracy literackiej po za sobą.

Tym niestrudzonej pracowitości i niesłychanej płodności młodzieńcem był JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI, urodzony w Warszawie r. 1812, wychowany na Podlasiu, kształcony kolejno w Białej, Lublinie, Świsłoczy, w końcu na wydziale literackim uniwersytetu wileńskiego pod koniec jego istnienia. W pierwszym dochowanym utworze poetycznym, napisanym jeszcze ręką dziecinną w Białej pod wrażeniem świeżo przeczytanych „Poezyj" Mickiewicza,

w balladzie „Klasztor na górze,“ mimowoli wyraził proroczo późniejsze swe stanowisko, dalekie od wszelkiej krańcowości, a zależne od chwilowych wrażeń. Opowiedziawszy o napadzie zbójców na klasztor i duchu pokutującym ich herszta, dodaje:

Tak powiadają; ja temu nie wierzę,
Jednakże, idąc, odmawiam pacierze...

Ziarnko wątpliwości zapadło już w duszę trzecioklasisty, ale przyzwyczajenie, od dzieciństwa wszczepione, wzięło przewagę nad rozumowaniem. Tak bywało niejednokrotnie i w latach dalszych i to w rzeczach bardzo ważnych. Myśl Kraszewskiego wybiegała nieraz naprzód, a nałóg umysłowy przytrzymywał ją na miejscu i pragnął pogodzenia z istniejącym stanem rzeczy. W trzeciej klasie pisał już balladę; jadąc do uniwersytetu, przesłał rodzicom wiersz przeplatany prozą na wzór Krasickiego; w przedmowie do pierwszej swojej powieści, ogłoszonej osobno: „Pan Walery“ (1831, Wilno) nie chciał być zaliczanym ani do klasyków, ani do romantyków, wyśmiewając jednych i drugich. Bardzo wcześnie zaznajomił się z psychologicznymi romansami Henryka Beyle'a (Stendhala) i z realizmem Balzaka, lecz nie został psychologicznym powieściopisarzem, ani realistą w całej pełni; to Paweł Kock, to znowu Jean Paul (Richter) i Hoffman odciągali go w swoją stronę — na chwilę. Został twórcą nowożytnej naszej powieści obyczajowej, ale w początkowych swych utworach wstępował w ślady poprzedników, a mianowicie Fryderyka hr. Skarbka, wyróżniając się od niego nadzwyczajnem, aż do przesady posuniętem, zamiłowaniem w drobiazgowych, zupełnie prozaicznych opisach. Zrazu co parę lat, później co kilka lub kilkanaście zmieniał sposób pisania, używając stylu to bladego, to jaskrawego, posługując się to aż zanadto powszedniemi, to nieprawdopodobnemi, fan-



J. I. Kraszewski.

tastycznemi sytuacyami, chociaż bujnej, rozległej, prawdziwie twórczej wyobraźni nie posiadał, najlepiej zawsze malując to, co widział własnemi oczyma, lub co sam odczuwał. Namiętności silnych nie miał zgoła, to też nie mógł nigdy nakreślić obrazu wielkich poświęceń, czy wielkich zbrodni, nigdy też nie wystawił geniuszu twórczego, czy w nauce, czy w sztuce, nigdy wspaniałych scen dziejowych potężnie nie nakreślił. Dziedzina uczuć i umysłów średnich najodpowiedniejszy znajdowała wyraz w jego utworach.

Pierwsze jego powieści były odbiciem spostrzeżeń, porobionych w Białej, Lublinie, Świsłoczy („Pan Walery," „Wielki świat małego miasteczka," „Dwa a dwa cztery czyli piekarz i jego rodzina"); w połączeniu ze szczegółami, wyczytanymi w dziejach, spostrzeżenia te wydały pierwsze bardzo liche obrazy historyczne („Kościół Święto-Michalski w Wilnie," 1832, „Rok ostatni panowania Zygmunta III," 1833), lub fantastyczno historyczne („Majster Bartłomiej"). Pobyt w Wilnie od 1830 do 1833 odbił się w jaskrawem malowidle ulic, zaułków, kawiarni, miłostek („Pan Karol," 1833). Wyjazd na wieś w połowie roku 1833 dostarczył mu materyału do szeregu karykatur wiejskich i obrazu zanikłych sumień, jałowych mózgów szlachty z duchowieństwem („Cztery wesela," 1834, „Improwizacye dla moich przyjaciół" t. r.), skreślonych tym samym zamaszystym, za siłą goniącym stylem, co i malowidło stosunków wileńskich [1]). Rozczytywanie się w romantykach niemieckich, a zwłaszcza w pismach Hoffmanna, dostarczyło pomysłu do „Leona-Leontyny," gdzie bohater zapisuje dyabłu duszę, by mógł być kobietą i odczuwać nieznane sobie jako mężczyznie wraże-

---

[1]) Naśladował go w Warszawie Zenon Sierpiński, pisząc swoją „Biedną Józię."

nia. Zajmowanie się dawną literaturą naszą natchnęło mu archaiczną legendę „Jako Satan kusił pustelnika na puszcze.“ Wzory prozy poetyckiej wywołały improwizacyę: „Było nas dwoje.“

We wszystkich tych utworach uśmiech ironiczny lub nawet szyderczy nie schodził z ust młodzieńca, który o ideałach zgoła nie myślał i z uwielbieniem ku niczemu się nie zwracał. Ale pracował wciąż, wzbogacał swą wiedzę, wertował biblioteki i archiwa, ażeby napisać dzieje Wilna.

Gdy się ukazał pierwszy tom „Dziejów starożytnych narodu litewskiego“ przez *Teodora Narbutta*, napisał obszerną ich recenzyę i posłał do „Tygodnika Petersburskiego.” Redaktor wydrukował ją, ale dał recenzentowi parę nauk, zalecając nie wzory obce, ale ocenę dzieł „z własnego krajowego stanowiska“. Zawiązały się tym sposobem stosunki między Kraszewskim i Przecławskim, a od r. 1837 zacieśniały się coraz bardziej przez umieszczanie w „Tygodniku“ coraz liczniejszych artykułów. Pisywał Kraszewski głównie oceny nowych książek, rozprawki literackie i obyczajowo - społeczne, a pisywał z nadzwyczajnem ożywieniem, stylem jasnym, potoczystym, zrozumiałym dla mas, nieraz dowcipnym i uszczypliwym. Z mnóstwa artykułów pomieszczonych w „Tygodniku“ z r. 1837, najwięcej rozgłosu miały: „Jak się robią książki nowe ze starych książek, rzecz o kradzieży literackiej“ i „Asmodeusz“. W pierwszym była niezmiernie surowa ocena największych nawet talentów, z urągliwym sądem o naszem własnem piśmiennictwie, a w szczególności o romantyzmie, jakby młody autor chciał rozwinąć myśl Helcla w „Kwartalniku Naukowym“ 1835 o „plagiatach“ naszej literatury. W „Asmodeuszu“ był namiętnie skreślony przegląd ujemności społczesnej cywilizacyi europejskiej. Zarówno jeden jak drugi artykuł wywołał mnóstwo protestów, ale redaktor „Tygodnika“, Przecławski, nie zważał na nic; widząc, że jaskrawe

rozprawki są poczytne, zachęcał Kraszewskiego do ich nadsyłania. Lecz Kraszewski, który tak wyjątkowo, ze względu na swe usposobienie, w jaskrawość poglądów popadł, uczuł sam, że poszedł zadaleko, że jeżeli i europejska i nasza cywilizacya nic nie warte, to niema potrzeby zachęcać ludzi do oświecania się i czytania. Umiarkował więc swe opinie, dalszego ciągu „Asmodeusza,“ pomimo nalegań Przecławskiego nie nadesłał, zaczął z większem umiarkowaniem oceniać nowo wychodzące dzieła.

Z tej doby burzliwej, kiedy tak wojowniczo Kraszewski występował, pochodzi pierwsza powieść jego, przyjęta przez młodzież z entuzyazmem, a przez starszych z zastrzeżeniami wprawdzie, lecz z uznaniem. Był to „Poeta i świat“ drukowany po raz pierwszy r. 1839 w Poznaniu. Utwór ten napisany z taką werwą, z taką śmiałością i swobodą, a razem rozległością myśli, jakiej poprzednie powieści w tem skupieniu nie posiadały, — to świetna improwizacya o tych potęgach duchowych, co napełniały piersi młodzieży i zapalały ich serca nieokreślonemi, lecz uroczemi pragnieniami, to streszczenie — tych walk bolesnych, jakie jednostka ukształcona a wrażliwa musiała staczać z prozaicznymi przedstawicielami życia codziennego. Nie było tu ani kompozycyi artystycznie przeprowadzonej, ani nawet silnie narysowanych charakterów, ani wreszcie tej obfitości fizyognomij z natury portretowanych, jak w dawniejszych obrazach; ale była natomiast siła porywającego słowa, był liryzm przejmujący serce, spotęgowany ironią dotkliwą, choć niby spokojną, był nastrój poetyczny, rzadko zakłócony, a częściej wzmocniony dyssonansem. Kraszewski wypowiedział wtedy całego siebie w danej chwili; a ponieważ dużo już przeżył, przemarzył, przemyślał; więc to, co tu odmalował, nie mogło nie obudzić największego zajęcia w czytelnikach. Gustaw był najlepszym w powieści wyobrazicielem tych licznych wówczas dusz rozko-

łysanych romantyzmem, które pragnęły zrozumienia i uznania od świata, nic mu od siebie nie dając, prócz poezyi. Zamknięty w sobie, nie bierze udziału w życiu ogólnem, nie stara się nawet poznać ludzi, a tem mniej apostołować wśród nich. Uważając się za wyższego od całego otoczenia, marzy tylko, czyta i pisze smętne wiersze; trawi się w sobie, bo go sąsiedzi za dziwaka poczytują. Pragnie miłości, ale nie znajduje duszy sobie odpowiedniej; ani gospodarna Marya, ani literatka Julia, nie czynią zadość jego umysłowi lub sercu. Czuje się osamotnionym i szuka pociechy i zapomnienia w gorących trunkach. Niestety, takich Gustawów mieliśmy w owej dobie sporo („cyganerya warszawska"), a i teraz ich nie braknie.

„Poeta i Świat" w połączeniu ze spółpracownictwem w „Tygodniku Petersburskim" wyrobiły Kraszewskiemu firmę; od tego czasu nakładcy z różnych stron zgłaszają się do niego, zamawiając nowe utwory lub przedruki. Kraszewski nikomu nie odmawiał i wszystkim dostarczał obficie dzieł różnorodnych. Były to rzeczy bardzo nierównej wartości; jedne tchnęły życiem i brawurą („Całe życie biedna", pierwszy tom „Mistrza Twardowskiego"), inne stanowiły mieszaninę różnych żywiołów, lepszych i gorszych, poważnych i żartobliwych („Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne", trzy tomy); inne jeszcze przedstawiały się jako szereg bladych anegdot lub scen oderwanych („Stańczykowa kronika", „Ostatnia z książąt Słuckich"). Była tu i źródłowa praca historyczna („Historya miasta Wilna", cztery tomy) były i barwnie kreślone „Studya literackie". Były wreszcie słabe próby dramatu dziejowego (Halszka z Ostroga", „Tęczyńscy") i ogromny epos z dziejów Litwy pogańskiej „Anafielas", składający się z 3-ch poematów: Witolorauda (z podań bajecznych, najlepszy), Mindows i Witoldowe boje. Kraszewski wielką przywiązywał wagę do tego eposu, zdawało mu się,

POETA I ŚWIAT.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE DRUGIE POPRAWNE

WE 2 TOMACH.

Kto mi dał skrzydła, kto mię odział pióry
I tak wysoko postawił, że z góry
Wszystek świat widzę? —
Kochanowski, Ks. I. X.



WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

że on pierwszy wyśpiewał prawdziwą Litwę, jakiej Mickiewicz nie dał nam poznać; niektórzy krytycy wynosili wysoko „Mindowsa"; ale wśród ogółu nie obudził się zapał dla spraw mu obojętnych, a natchnienie poetyczne nie było tak silne, żeby wywołać wrażenie samym sobą; poemat pozostał martwym.

XXVII.

Właśnie w czasie drukowania „Witoloraudy" (1840) zabrał Kraszewski znajomość z człowiekiem znacznie od siebie starszym, o przekonaniach ustalonych, który zarówno w powieściopisarstwie jak w publicystyce naszej miał zająć bardzo wybitne stanowisko. Mówię tu o HENRYKU hr. RZEWUSKIM (1791 † 1866), którego przelotnie poznaliśmy jako towarzysza podróży Mickiewicza do Krymu i jako częstego współbiesiadnika w Rzymie. Urodził się on w sam dzień ogłoszenia konstytucyi trzeciego maja, której, tak samo jak jego ojciec Adam Wawrzyniec, mówca i wierszopis miał być przeciwnikiem. W dzieciństwie ulegał dwom przeciwnym sobie wpływom; zrazu wychowywał się u babki swojej, kobiety staropolskiego nawyknienia, nie mającej pretensyi magnackich, potem odebrany od niej z obawy, żeby się nie spospolitował, oddany został do szkoły klerykalno - arystokratycznej księdza Nicole w Petersburgu, w której wszelkie wolnomyślne książki były wzbronione, a młodzież kształcono w takich zasadach, jakby wielka rewolucya francuska nigdy nie istniała. Czytanie dzieł reakcyonistów religijnych, księdza Józefa de Maistre'a i Bonalda ugruntowało w hr. Henryku pojęcia arystokratyczne i ściśle katolickie, a zarazem wyrobiło jakieś dziwne upodobanie do legity-

mizmu teoretycznego, nie mogącego mieć żadnego naprawdę znaczenia w naszych stosunkach. Umysł jasny i trzeźwy, nie lękający się wysnuwać najjaskrawszych wyników z zasad, uznanych za słuszne, a stąd skłonny do doktrynerstwa, chociaż słownie przeciw niemu zawsze występował, charakter śmiały i uparty, trzymający się ściśle raz poślubionych wyobrażeń, fantazya żywa i plastyczna, chociaż nie twórcza w najwyższem znaczeniu wyrazu, uczucie podporządkowane zawsze rozsądkowi czy wyrachowaniu: oto główne czynniki duszy Rzewuskiego, wzbogacone licznemi doświadczeniami życiowemi i obszernem oczytaniem. Można w nim atoli wyróżnić dwie odrębne strony: gawędziarza, lubiącego językiem staropolskim opowiadać anegdoty z życia drugiej połowy XVIII wieku i przedstawiać znamienne z tego czasu osobistości, oraz filozofa, który uznawszy słabość rozumu ludzkiego, całą ufność położył nie tylko w prawdach wiary, ale w formułach i obrządkach Kościoła.

Jako gawędziarz, którego językiem szczeropolskim zachwycał się Mickiewicz, dał się poznać podczas pobytu w Rzymie r. 1830/31, odczytując towarzystwu, zbierającemu się u hr. Ankwiczów, szereg szkiców, pisanych stylem szlachcica niezbyt ukształconego z drugiej połowy XVIII wieku. Robił to, jak powiadał publicznie, dla zabawy, nie myśląc o zawodzie literackim. Zapomniał jakoby o tej swojej pracy, wróciwszy na Wołyń, gdzie przez lat sześć sprawował urząd marszałka powiatu żytomierskiego i miał sposobność poznać swoich spółpowietników z nienajlepszej strony. W tym r. 1839 wyszły pierwsze dwa tomiki „Pamiątek Imci Pana Seweryna Soplicy“, gdzie znalazły się owe szkice w Rzymie tworzone oraz kilka późniejszych. „Pamiątki“ te, lubo wydane bezimiennie, i jakoby bez woli autora, odrazu rozsławiły Rzewuskiego jako pierwszorzędnego powieściopisarza. Pochwałom nie było końca; uzna-

no je za arcydzieło, odtwarzające znakomicie czasy Stanisława Augusta. Byli tacy krytycy, co musieli swoje dopiero co wygłoszone poglądy zarzucić, przeczytawszy ten utwór.

W takiem położeniu znalazł się mianowicie uznawany wtedy jeszcze powszechnie za powagę *Michał Grabowski* (1807 † 1863), kolega Goszczyńskiego i Zaleskiego w Humaniu, jeden z teoretyków szkoły romantycznej, autor szeregu rozpraw objętych ogólnym napisem: „Literatura i krytyka" (1837—40, cztery części), twórca przytem ładnej powiastki: „Koliszczyzna i Stepy" (1837), gdzie w dalekiej perspektywie odmalował sceny z rzezi humańskiej, wolne od okropności, mieszczących się w „Zamku kaniowskim". Otóż Grabowski właśnie co napisał i wydrukował swoję „Literaturę romansu w Polsce", gdzie twierdził, że wyrzekanie się własnej osobistości dla przybrania cudzej jest w sztuce, jak i gdzieindziej, rzeczą zgubną i t. d. Przeczytawszy „Pamiątki" i poznawszy osobiście ich autora, nie miał słów na uwielbienie genialności pomysłu i wykonania; stał się zapalonym czcicielem i osoby Rzewuskiego i wszystkiego, co ten napisał.

Dziś względem „Pamiątek" nie jesteśmy tak entuzyastycznie usposobieni, bo najprzód widzimy tam tylko pewną cząstkę znamiennych cech, charakteryzujących wiek Stanisława Augusta, i to cech podrzędnych, zewnętrznych, powierzchownych, takich, jakie mógł pochwycić Imci Pan Seweryn Soplica, szlachcic domowego chowu, utożsamiający religię z obrządkami. Powtóre nawet i z tego ciasnego punktu widzenia nie wszystkiego, coby na uwagę zasługiwało, umiał dopatrzyć Imć Pan Seweryn, ponieważ obracał się w szczupłem kółku znajomości i spraw. Są wprawdzie niektóre szkice, wybiegające daleko po za widnokrąg zwykłych myśli opowiadacza, naprzykład przepyszne „Kazanie księdza Marka", ale jest ich niewiele i nie mogą wpłynąć na

zmianę podanej charakterystyki. Opowiadanie jest istotnie znamienne, ale brak mu tonów miększych i cieplejszych, co wynikało z rodzaju uczuciowości autora.

Jako myśliciel, wystąpił Rzewuski niebawem potem w „Mieszaninach obyczajowych" (tom 1-szy 1841, tom 2-i 1843), ogłoszonych pod pseudonimem *Jarosza Bejły*. Były w tych „Mieszaninach" rzeczy rozumne i dowcipnie wypowiedziane, ale daleko więcej mieściło się tam paradoksów szkodliwych oświacie i bolesnych dla społeczeństwa. Potępiwszy bowiem rozum jako niezdolny do poznania rzeczy najważniejszych dla człowieka, autor kazał się ślepo a kornie trzymać tradycyi, której podporą najsilniejszą są rody historyczne. Ponieważ arystokracya utraciła znaczenie polityczne, więc i naród już tylko wegietuje, a ci, co go chcą galwanizować, są głupi i nikczemni. Rozkwit literatury polskiej po upadku Rzeczypospolitej porównywał do bujnej roślinności na cmentarzach. Wszędzie dostrzegał rozkład najstraszliwszy, a za jedyną zbawczą radę podawał bierną rezygnacyę, wyrzeczenie się marzeń, skupienie się około garstki dawnych rodów, znających podania i przechowujących cnoty starożytne, gdyż one jedne potrafią wytworzyć silną opinię w kraju i przyczynić się do podniesienia stopnia moralności i oświaty.

Kraszewski przeczytawszy „Mieszaniny" w rękopiśmie, zostając pod czarem osobistego wpływu autora, pośpieszył z właściwą sobie wrażliwością w „Tygodniku petersburskim" nazwać je „przewybornym zbiorem najświeższych, najśmielszych i najżywszych myśli, tudzież najżywszych, pełnych dowcipu obrazków"; ale gdy ujrzał, że nie tylko demokraci i postępowcy, lecz ludzie skądinąd wyznający zasady zachowawcze ostro wystąpili przeciwko Bejle w druku, w rękopiśmiennych odpowiedziach i ustnie, rozejrzał „Mieszaniny" raz jeszcze i nie chciał już na ponawiane prośby Rzewuskiego napisać

[illegible]

obszerniejszej recenzyi, a półsłówkami zaczął nawet je potępiać.

Rolę obrońcy wszystkiego, co w „Mieszaninach“ się mieściło, wziął na siebie Michał Grabowski i w szeregu artykułów usiłował wykazać mądrość i bystrość autora. Nie zmieniło to opinii w kraju, bo wszędzie, czy w Wilnie, czy w Warszawie, czy we Lwowie, czy w Poznaniu, wszyscy, co mieli żywsze poczucie narodowe, występowali przeciwko Bejle, choć wielbili Imć Pana Seweryna Soplicę.

Rzewuski postanowił podjąć walkę z tym powszechnym wstrętem dla myśli, wypowiedzianych w „Mieszaninach.“ Zyskał już sobie całkowicie Grabowskiego, niebawem przeniósłszy się na mieszkanie do Petersburga, opanował „Tygodnik“ i jego redaktora Przecławskiego, a zjednał sobie księdza *Ignacego Hołowińskiego* (1808 † 1855), który niebawem miał zostać rektorem akademii duchownej i wypowiedzieć przy zagajeniu mowę zupełnie w myśl poglądów politycznych Bejły. Ksiądz Hołowiński znany już był wtedy z niezbyt szczęśliwego przekładu dramatów Szekspira i sonetów Petrarki, oraz z wielce wychwalanej, a istotnie nie bez talentu napisanej „Pielgrzymki do Ziemi Świętej“ (1842—45, pięć tomów). W „Tygodniku“ występował jako pogromca filozofii niemieckiej i Trentowskiego, zalecający odnowioną przez Włochów i Francuzów filozofię scholastyczną. Nie podzielał on arystokratycznych uroszczeń Rzewuskiego, ale też nie występował przeciw nim wrogo.

XXVIII.

Pod koniec roku 1842 przybył do czterech dotychczasowych piąty szermierz zachowawczości, puł-

kownik *Leopold Sztyrmer* (1809 † 1886), pisujący od lat czterech powieści psychologiczne pod pseudonimem Eleonory Sztyrmer. Urodzony w Płońsku, wykształcony w szkole kadetów w Kaliszu, potem w „szkole aplikacyjnej“ w Warszawie, wzięty do niewoli w czasie bitwy grochowskiej 1831 roku, wstąpił w cesarstwie do wojska, skończył akademię wojskową w Petersburgu i został tamże profesorem. W czasie pobytu w Finlandyi, godziny samotności zapełniał spisywaniem swoich wspomnień, kreśleniem rozmaitych rozprawek, powieści, wierszy w języku rosyjskim i francuskim. Ożeniwszy się r. 1838 z Eleonorą Janowską, napisał dla niej po francusku szereg przestróg, poprzedzonych własną charakterystyką, przedstawiającą go nam jako człowieka, kierującego się zawsze rozsądkiem, a nie wrażeniami i uczuciami, jako nielitościwego obserwatora wad i śmiesznostek, jako ścisłego przestrzegacza przyzwoitości we wszystkich stosunkach. Te rzeczy, pisane dla wprawy, pobudziły Sztyrmera do prób powieściowych, mogących liczyć na druk. Od r. 1840 wychodził w Petersburgu pod redakcyą lubionego powszechnie oryginała *Jana Barszczewskiego* (1794 † 1851) noworocznik p. t. „Niezabudka“, w którym uwydatnił się głównie pierwiastek białoruski, jako ślad pochodzenia redaktora. Otóż w tej „Niezabudce“ na r. 1841 ukazał się szkic psychologiczno-powieściowy p. t. „Pantofel, historya mojego kuzyna“, skreślony przez Sztyrmera. Wziął tu za przedmiot jedną z wad u nas najczęstszych i przeprowadził jej rozwój przez różne stopnie wieku; wadą tą: brak woli, słabość charakteru. Sztyrmer był dobrze przygotowanym do odtworzenia osobistości, taką wadą nacechowanej; po części bowiem, w dzieciństwie i w latach szkolnych, miał w usposobieniu swojem pewne znamiona nieśmiałości i zahukania, dopóki tkwiąca w nim dziedzicznie energia nie opanowała ich i nie poddała swym rządom To też korzystał z rysów autobio-

graficznych obficie. Ironia, dowcip sarkastyczny, pomysły oryginalne, zwięzłość, trafność, a w potrzebie siła wyrażenia odrazu rzuciły się w oczy czytelnikom „Pantofla“, który tem się wyróżnił od innych ówczesnych powieści, że interes główny polegał nie tyle na wypadkach, nie tyle na zarysach życia towarzyskiego, ile na psychologii osób w opowiadaniu wyprowadzonych, przedewszystkiem zaś tytułowego bohatera. Poprzedni nasi powieściopisarze, Kraszewskiego nie wyłączając, w rozbiór stanu psychicznego osób przez siebie malowanych nie wdawali się prawie wcale, albo zbywali go powierzchownie. Była to więc nowość w naszej belletrystyce [1]), kiedy Sztyrmer wystąpił z przedstawieniem wewnętrznego kształtowania się charakteru, nowość bardzo ważna, bo dopełniająca i pogłębiająca zarysy osobistości, ze strony zewnętrznej przeważnie wtedy kreślonych. Nie była to analiza jeszcze subtelna, jak w „Pogance“ lub „Książce Pamiątek Gabryelli“, nie można jej nazwać doskonałą, lecz jako pierwsza próba zasługuje na wyróżnienie. I dalsze szkice Sztyrmera ten sam miały charakter studyów psychologicznych, czy to kiedy ogłaszał „Urywki z pamiętnika oryginalnie wychowanej kobiety“ (1842), czy kiedy kreślił z niepospolitą żywością osoby i sceny w szpitalu waryatów: „Frenofogiusz i Frenolesty“ (1843), czy kiedy opowiadał dzieje „Duszy w suchotach“ (t. r.), co miała umysł bujnie rozwinięty i do analizy skłonny, lecz serce oschłe, i w niczem zadowolenia znaleźć nie mogła.

Otóż taką mając przeszłość literacką, w dobie największej wziętości swojej, wszedł Sztyrmer do grona „Tygodnikowego“, warując sobie jednak nie-

[1]) Przypominam, że utwory Żmichowskiej są nieco późniejsze; rozpoczynają się od r. 1842: „Wyjątki z podróży kobiety: Burza, Zwaliska Luxoru.“

tykalność niektórych odrębnych poglądów. W kwestyach religijnych prawdopodobnie nie różnił się wcale od swych towarzyszów. Miał wstręt do materyalizmu, podawał religijność, przynajmniej teoretycznie, za jedyny hamulec na żądze ludzkie, powstawał na przewagę rozwinięcia rozumu; zalecał karność i w „mrzonki" się nie bawił. W kwestyach społecznych zachowywał oględność; sam będąc mieszczaninem z rodu, dostawszy się do towarzystwa, żyjącego w wielkim świecie, nie mógł podzielać stanowych przesądów Bejły, któremu robił niekiedy ciężkie zarzuty, zawsze uważając go jednak za „głowę potężną." Sztyrmer zasilał „Tygodnik" powiastką („Czarne oczy"), w której tajemniczy świat duchów i przeczuć malował, a zwłaszcza artykułami krytycznymi, w „Listach z Polesia", podpisywanymi pseudonimem *Gerwazego Bomby*. Surowo karcił on pismactwo, ale także ostro wystąpił przeciwko niektórym utworom Kraszewskiego, bezwzględnie je wyszydzając.

XXIX.

Przez cztery lata (1842 — 1845) pięciu tych pisarzy szło z sobą zgodnie i wytworzyło w „Tygodniku" organ łączący religijność z oportunizmem politycznym, napadający namiętnie na filozofię niezależną od wiary, potępiający dążności demokratyczne. Stronnictwo to nazwano „koteryą Tygodnikową," albo „pentarchią", jak nie mniej towarzystwem wzajemnej adoracyi. Przez ten cały czas nie miano gdzie walczyć przeciwko tak zwartemu zastępowi i nie ufano swym siłom. Kraszewski wprawdzie od r. 1841 wydawał pismo zbiorowe p. t. „Athenaeum", ale przez trzy lata pomieszczał w niem właśnie pisma Rzewuskiego, Grabowskiego, Hołowińskiego i Sztyr-

mera; i dopiero gdy został srodze zadraśnięty zarówno przez Gerwazego Bombę, jak i przez kolegę Mickiewicza *Jana Czeczota* († 1847), wykazującego w „Tygodniku“ mnóstwo błędów językowych w jego „Witoldowych bojach“, dał w swem wydawnictwie miejsce artykułom krytycznym, przeciwko Bejle, a nawet przeciw Imć Sewerynowi Soplicy skierowanym. I w tych atoli artykułach nie chodziło o zasady, lecz o szczegóły. Dowcipny *Gustaw Olizar* (1797 † 1865), pod pseudonimem A. Filipowicza, wystawił poglądy Rzewuskiego, jako wynik „Pomieszania Jarosza Bejły” (1841) i starał się ułagodzić jego zawziętość. W pismach jedynie warszawskich podejmowano walkę z zasadniczego punktu widzenia, a w tej mierze artykuły *Feliksa Zielińskiego*, pomieszczone w „Bibliotece Warszawskiej“, pierwszorzędne miały znaczenie.

Dopiero ogłoszona w „Tygodniku Petersburskim“ powieść historyczna Rzewuskiego p. t. „Listopad“, a zwłaszcza dołączane do niej przypiski, wywołały głośniejszy objaw opozycyi na miejscu.

„Listopad“ nazwany przez koteryę Tygodnikową arcydziełem, jest istotnie pierwszą znakomitą próbą przedstawienia dziejów wewnętrznych społeczeństwa naszego w wieku XVIII za pośrednictwem rozległego powieściowego obrazu. Stają tu przed nami dwa żywioły cywilizacyi owoczesnej: żywioł staropolski, oparty silnie na religii i tradycyach domowych, i żywioł reformatorski, chcący zaprowadzić nieodzowne zmiany zarówno w ustawie politycznej, jak i w obyczajach. Autor stał po stronie żywiołu pierwszego; umiał atoli zachować bezstronność artystyczną, nie skupiając wszelkiego na nim światła, lecz obdzielając niem także i drugi, sobie wstrętny. Zarówno w dwu braciach Strawińskich, jak w królu z jednej, a Radziwille Panie Kochanku z drugiej strony, jak w obrazie dwu odmiennych duchownych, pragnął zachować miarę, wystawiając takie w nich

zalety i zawody, które z temperamentu, trybu życia, wykształcenia i charakteru płynąć musiały. Ani bezwzględnego uwielbienia, ani też szkalowania niema tu zgoła.

Jeżeli strona reformatorska, pomimo wszystkich zalet umysłu, grzeszy lekkomyślnością w życiu obywatelskiem oraz niewłaściwą oceną ludzi, których pragnie przemienić; to strona zachowawcza natomiast razi nas ciasnotą pojęć i brakiem głębokiego zapału dla sprawy, uważanej przez siebie za świętą. Jakiekolwiek zatem byłyby uczucia osobiste i przekonania społeczne czytelnika, zawsze w obrazie osób, występujących w „Listopadzie", będzie musiał podziwiać pewność i trafność rysów. To plastyczne odmalowanie postaci artystycznych, jako osób istniejących same przez się, bez podpory autorskich poglądów, stanowi największą zaletę powieści.

W kompozycyi natomiast nie okazał Rzewuski wielkiej potęgi. Ogniskiem, do którego zbiegają się wszystkie efekta powieściowe, jest z początku Zosia, narzeczona Michała Strawińskiego, potem Konfederacya barska. Zosia, jako panienka nie odznaczająca się niczem od tłumu panienek zbożnie po domowemu wychowanych, choć niewiele budzi interesu, wplątawszy się jednak w sprawę dramatyczną z powodu miłości obu braci do niej, przedstawiała w każdym razie możność skupienia około niej całej grupy obrazków, mających być odbiciem dwu stron społeczeństwa. Ale od czasu jak wyszła za Ludwika, przestaje już być węzłem powieściowym, schodzi na plan dalszy, gdy tymczasem Konfederacya barska, a mianowicie, jeden jej epizod, porwanie króla w listopadzie 1771 r., staje się głównem ogniskiem ruchu. To rozpołowienie intrygi pozbawia powieść jedności, podtrzymywanej tylko tożsamością osób wchodzących do pierwszej i drugiej części, nie zaśześrodkowaniem ich około tej samej sprawy.

Sposób opowiadania odznacza się swobodą i roz-

ległością, ale brak mu dramatycznej żywości. Styl zastosowany został do charakteru osób, które się nim posługują. W listach i rozmowach Ludwika Strawińskiego znać istotnie wychowańca Lunewillu i bywalca w Wersalu, tak samo jak w gadaninie księcia Karola Radziwiłła oraz osób podrzędnych ze świata staropolskiego (Wazgird, Skołuba) jakąś jędrną rubaszność i przyjemną pełność, która przecież nie przeradza się w jałowe gawędziarstwo. Rozmowy na dworze króla i w salonach warszawskich cechuje żywość i dowcip. Nawet braki talentu Rzewuskiego wyszły, można powiedzieć, na dobre osobom przezeń stworzonym. Nie umiał on przemawiać językiem serca, a gdy chciał odmalować namiętne wybuchy miłości, wpadał w deklamacyjną i nieznośną patetyczność. Wady te rażące gdzieindziej, tu w „dyskursach" Ludwika i Zosi, w dobie rozpowszechniania się Nowej Heloizy Roussa nie bardzo są rażące; patetyczność jest rzeczą tak modną w ówczesnem wyższem społeczeństwie, że bez niej nie możnaby było mieć należytego pojęcia o kolorycie jego rozmowy miłosnej.

I „Listopad" nie dał nam całkowitego obrazu życia przodków naszych w drugiej połowie XVIII stulecia, ale niektóre jego strony odmalowal ze znakomitym talentem co do charakterów i scen pojedyńczych, z mniejszym — co do układu całości.

Kraszewski od chwili, kiedy się „Listopad" zaczął drukować w „Tygodniku", był dla niego bardzo nieprzychylnie usposobiony i usiłował wzmiankami w listach obniżyć jego wartość. Odczytawszy nakreślony w nim ustęp o formalistycznej pobożności jenerała Kunickiego, zwrócił się do znanego nam już z życiorysu Mickiewicza księdza *Stanisława Chołoniewskiego* (1791 † 1846), dawniej przyjaciela Rzewuskiego, by swoje w tej mierze wypowiedział zdanie. Chołoniewski, za powrotem z Rzymu, rozwinął na Podolu, pomimo słabego zdrowia, gorliwą dzia-

łalność kaznodziejską i obywatelską. Największego rozgłosu nabrało jego nazwisko, gdy r. 1842 w „Athenaeum” Kraszewskiego, wyszła jego powieść fantastyczno allegoryczna p. t. „Sen w Podhorcach“, wymierzona w pierwszej części przeciwko dramatyzowaniu życia i swawolnej pogoni za poetycznemi wrażeniami, a w drugiej przeciwko „pożądaniu żony bliźniego” pod hasłem swobody jednostkowej, zrywającej więzy konwenansu. Obudzenie uczuć religijnych w duszy Zygmunta, mającego pewne podobieństwo do Krasińskiego, oraz przypomnienia zacnych i dzielnych przodków, ratuje bohatera od dostania się w moc Mefistofelesa. Śliczne tu są niektóre sceny fantastyczne: jest wiele dowcipu i rozumnych uwag, a chociaż talentu wzruszania serc autor nie ma, chociaż wyobraźnia jego ukazuje się tu nam jako rozprężliwa tylko a nie lotna; w każdym razie utwór to był niepospolity. O wiele mniejszą wartość literacką i myślową posiadają „Dwa wieczory pani Starościny wolbromskiej“ (1843, Wilno); jestto dość ciężko prowadzona polemika przeciw uroszczeniom czystego rozumu, filozofii niemieckiej, mody i t. d. w formie allegorycznego opowiadania.

Jakkolwiek był Chołoniewski nieprzyjaznym względem ówczesnego ruchu filozoficznego, nie połączył się jednak z koteryą „Tygodnika”, a na „Mieszaniny obyczajowe” Rzewuskiego patrzył z oburzeniem. Rzucone w nich pytanie: co to jest ojczyzna, dało Chołoniewskiemu pochop do odpowiedzi w „Artykule nadesłanym” (1846, Lipsk), gdzie cudny ustęp o ojczyznie z „Kazań Skargi” staje się przedmiotem rozmów i rozpraw, nie prowadzących, niestety, jak częstokroć u nas, do żadnego wyniku, bo na wieść o polowaniu wszyscy zapominają i o Skardze i o dyskusyi. Satyrycznych rysów dużo w tym obrazku, nadzwyczaj żywo kreślonym; autor nie zapomniał ani o „Synu XVIII wieku“ filantropie mistyku, ani o młodych zapalonych zwolennikach Hegla, ani o nieuctwie

i próżniactwie szlachty, ani o tem zamieszaniu pojęć, jakie wśród t. zw. ogółu inteligentnego u nas panowało i panuje.

Na wezwanie Kraszewskiego, by swoje zdanie o jenerale Kunickim objawił, Chołoniewski odpowiedział obszernym listem (drukowanym r. 1846 w „Bibliotece Warszawskiej"), nazwawszy jego pobożność „nabożeństwem babki kruchcianej, nie umiejącej swego katechizmu". Dowodził wbrew Rzewuskiemu, że rozum ludzki jest tak samo darem Boga jak wiara, że go zatem lekceważyć nie godzi się. Zarzucał przytem autorowi „Listopada" nieopatrzną gorliwość, która dla mniemanego zwycięstwa wiary, „duch ludzki na kalectwo i niecnotę skazuje, a nie dozwalając przystępu rozumowi do świątyni Pańskiej, tem samem ciężką wyrządza krzywdę religii Chrystusowej".

Rzewuski oczywiście nie pozostał dłużnym w ciętej odpowiedzi, ale dalszej polemice z Chołoniewskim, położyła koniec śmierć tego kapłana, zacnego i rozumnego, lecz niezdolnego do inicyatywy i nie umiejącego porywać serc słowem gorącem.

Walkę z Rzewuskim podjęło żywiej młodsze pokolenie.

W przypiskach do „Listopada", zgoła nie łączących się z jego treścią, Rzewuski powtarzał, niekiedy w jaskrawszy niż dawniej sposób, swoje paradoksy klerykalno-arystokratyczne i wyrazy zwątpienia o żywotności narodu, pozbawionego arystokracyi... Te przypiski, jak nie mniej usterki samej powieści dały pochop młodzieży postępowej z Litwy, oburzonej i na Rzewuskiego i na całą koteryę wogóle, do wypowiedzenia protestu swego w druku. Bawił r. 1845 w Petersburgu, jako plenipotent legitymującej się szlachty 26 letni samouk, z jednej powiastki („Noc Tarasowa") i jednego dramatu („Konaszewicz w Białogrodzie") już w literaturze znany, *Zenon Fisch* (albo: *Fisz*, ur. 1820, zm. 1870), który zebrawszy grono spółpracowników, postanowił ogłosić w samej

właśnie stolicy cesarstwa pismo zbiorowe p. t. „Gwiazda“. W ogłoszeniu o tem wydawnictwie brzmiał wyraźnie ton opozycyjny względem wszystkich zakamieniałych zachowawców wogóle a Rzewuskiego w szczególności. Założyciele nowego organu przychylili się, jak powiedziano w prospekcie, do rady kilku osób, dla których „literatura nasza nie jest jeszcze *martwą* cyfrą w rzędzie innych literatur“, którzy „nie zgadzają się jeszcze na to (na co zgodziło się już wielu), iż lepiej stać z opuszczonemi rękoma bezczynnie nade drogą, patrząc obojętnie na ogólny ruch i postęp oświaty, niźli odważyć się iść równolegle z nimi po swej własnej drodze...“ Pomimo tego tonu wszakże nie odważono się jeszcze pomijać firmy tak wówczas wziętej jak Rzewuskiego i poproszono go o artykuł. Rzewuski dał „Wyjątek z mojej podróży do Włoch“, gdzie nie zaniedbał wyrazić swoich arystokratycznych opinij w sposób zarówno oryginalny jak bolesny dla takich demokratów, jakimi byli młody wydawca i spółpracownicy nowego pisma. „Niechby kto pokazał podkowę—pisał tu między innemi—a złożył niezaprzeczone dowody, że ona była przybitą do kopyta rumaka Chodkiewicza w dniu, kiedy on gromił Szwedów pod Kircholmem; ta podkowa natychmiastby nabrała nadzwyczajnej wartości i ceny; — a potomek tegoż Chodkiewicza, krew krwi i kość kości jego, nie miałby ceny wyższej od tej, co mają wszyscy inni ludzie gminni? Przyznam się, że tego i nie rozumiem i nigdy rozumieć nie będę“. Wprawdzie w drugim tomie „Gwiazdy“ wykazano, że hrabia nie rozumie rzeczy bardzo prostej, bo opierającej się na różnicy martwego przedmiotu od osoby żywej; ale w pierwszym nie śmiano zrobić tej uwagi. Zrobiono natomiast inne piórem obdarzonego niepospolitą werwą pisarską *Antoniego Marcinkowskiego* (Alberta Gryfa, ur. 1823, zm. 1880), jeszcze wtedy studenta, który w listach do *Jakóba Jurkiewicza* (Benedykta Dołęgi ur. 1808 † 1875) wystąpił naprzód

przeciw ciasnym poglądom estetycznym Michała Grabowskiego, a potem przeciw przypiskom do „Listopada“. Gryf wyznawał, że „z grona osób zajmujących się u nas piśmiennictwem, najwięcej go zawsze pobudzał do myślenia hr. Rzewuski, jakkolwiek jego zdania niezawsze podzielać mógł i jakkolwiek w każdym prawie jego artykule znajdowało się coś, o co powadzić się z nim musiał“. I w „Listopadzie“ tedy zauważył wiele myśli niezgodnych nietylko ze swojemi myślami, ale nadto z dziejami ludzkości. Zaczął więc wytykać te błędy, uzasadniając zarzuty swoje albo rozumowaniem, albo faktami... We wszystkiem zaś, co pisał, chodziło mu o przywrócenie należnych praw „samodzielności rozumu” i filozofii niezależnej od więzów „jezuityzmu“ i wszelkiej chińszczyzny. Radził zatem Rzewuskiemu, żeby przezwyciężył swój wstręt do filozofii i „raczył choćby za użyciem jakiego eliksyru przeciw ckliwości, zbliżyć się niekiedy do niej; ona bowiem jako umiejętność ścisła uczy najlepiej gruntownego rozumowania, które, że każdemu, zwłaszcza dla publiczności piszącemu, na wiele i bardzo wiele przydać się może, o tem nikt nie wątpi...“

Cztery listy Alberta Gryfa, w pierwszym tomie „Gwiazdy“ pomieszczone, były prawdziwym manifestem młodzieży. Cześć dla filozofii i swobodnego rozumowania, uwielbienie dla Trentowskiego, spółczucie dla ludzi: oto główne punkta tego manifestu. Nie był on ani dokładnym, ani nawet zasadniczo umotywowanym, gdyż powstał doraźnie z powodu luźnych artykułów i uwag, znajdujących się w „Tygodniku Petersburskim“. Nie określając zaś stanowiska w kwestyi religijnej, podawał zachowawcom broń w rękę, a ci użyć jej nie omieszkali. Wszyscy młodzi postępowcy z Litwy, o ile z ich pism wnosić można, nie schodzili bynajmniej z drogi chrześcijańskiej, ale odebrawszy wykształcenie filozoficzne w duchu Hegla, chcieli szczegóły tej drogi podług

własnego rozumienia wykładać. Ta właśnie okoliczność zgubiła ich w opinii zachowawców. Józef Przecławski z sarkastycznym uśmiechem opowiedział w swym „Tygodniku“, jak niedowarzeni młodzieńcy, nie mogąc w tem piśmie ujrzeć artykułów swoich, a chcąc doczekać się druku, założyli własne, jak z „nieustraszonością kominiarza poszli dalej po drabinie filozoficznej naszego czasu“, jak „zawiało“ na nich potrosze Heglem, wpadło w rękę coś Trentowskiego, jak nadto, niby umyślnie dla uzupełnienia ich edukacyi, Dumas, Sue, Sand napisali kilka bardzo złych książek, z których oni mądrość swą czerpali. Fiszowi, który zresztą żadnego w „Gwieździe“ artykułu polemicznego nie napisał, tylko wiersze i parę zarysów powieściowych („Profile“),—nie darował nawet grubiańskiego przygryzku, że w nim zaszła „metamorfoza *prowentowego* na gwiazdowego pisarza“. Ignacy Hołowiński zaś, kończąc swą rozprawę, przeciwko Trentowskiemu wymierzoną „O stosunku bezpośredniej filozofii do religii i cywilizacyi naszej“, zarzucił Gwiazdarzom rozpowszechnianie bezbożnych doktryn, dążących do obalenia Kościoła i to pod obłudną pokrywką jego dobra, gdy dochód z pisma swego przeznaczyli na odbudowanie kościołka w Niemenczynie. Wreszcie dodał melancholicznie a zarozumiale: „Co się tyczy naszej w tych stronach nowej opozycyi, niech nie rozpacza; ze śmiercią tych *kilku* u nas piszących *wszystko ogłuchnie*, a prowincye nasze staną się tem, czem pragną ci nowi mędrcy, t. j. słabem, śmiesznem echem i niezręcznem podrzeźnianiem tego, co w innych stronach piśmiennictwa naszego prasy wytłoczą“.

Po takiem przyjęciu opozycyi przez zachowawców, walka musiała się zaognić. Redakcyę „Gwiazdy” objął po Fiszu, który czasowo usunął się z nieznanych dokładniej powodów, Jakób Jurkiewicz, człowiek już 39-letni, ale pełen zapału i energii, nie bogaty, ale niezależny i umiejący niezależność swą ce-

nić, bez wydatnego stanowiska w społeczeństwie, gdyż był małoznaczącym urzędnikiem w Kijowie, ale prawy i zacny, niezbyt utalentowany, rubaszny wielce, ale śmiały i dosyć ukształcony. „Gwiazda” od r. 1847 zaczęła wychodzić w Kijowie i w każdym z trzech tu wyszłych tomów zawierała przeważną ilość wycieczek przeciw koteryi Tygodnikowej. Najdzielniejszym zapaśnikiem swobodnego rozbioru był tu przez dwa lata Albert Gryf, biorący po kolei w swoje obroty to Rzewuskiego, to Grabowskiego, to Hołowińskiego, to nawet Kraszewskiego (za wystąpienie przeciw „Żydowi tułaczowi” Suego), który zresztą aż do roku 1849 otoczony był przez młodzież szczerą sympatyą i uwielbieniem. Pietyzm, jezuityzm, konserwatyzm, wstecznictwo pod barwnem a giętkiem piórem Gryfa („Listy do Benedykta Dołęgi,” „O dziełach Eugeniusza Sue,” „Prona animantia, czyli Empiryści w teoryi i w życiu,” „O jezuitach”) smagane były jak węże, oplatające swymi skrętami społeczeństwo, nie dozwalające mu iść ani naprzód, ani nawet swobodnie oddychać.

Obok Gryfa, Benedykt Dołęga swoim jowialnym, a nieraz rubasznym dowcipem, podawał na śmieszność i pretensye Tygodnikowe i paradoksy Rzewuskiego.

Nie zbrakło tu nawet i duchownego. Gwiazdarzy wspierał zdolny kaznodzieja wileński, ksiądz *Waszyński*, pod pseudonimem *Jana Chwaliboga* piszący. W poezyę (słabą wogóle) zapomagali „Gwiazdę” autorowie ze stron odległych; z Kaukazu przysyłali swe wiersze tęskne: *Leon Janiszewski* († 1861), *Władysław Strzelnicki* († 1846), *Tadeusz Łada Zabłocki* († 1847), co „lubił z zapałem ciszę pustyni, głąb niebios i serce człowieka,“ jeden z pierwszych u nas czytelników poezyj Shelleya („Poezye“ T. Ł. Zabłockiego wyszły w Petersburgu w sporym tomie r. 1845).

W r. 1848 wzmocniły się czy rozszerzyły raczej siły opozycyi, gdyż obok trzeciego tomu „Gwia-

zdy" wyszła książka składkowa pod redakcyą Alberta Gryfa: „Leviathan," gdzie między innemi mieściło się rozmyślanie powieściowe redaktora p. t. „Mara," nawołujące ludzi do udoskonalenia duchowego, do ożywienia duszy poezyą, do wzgardzenia materyalistyczną, „merkantylną" dążnością czasu. Powięść Sztyrmera „Kataleptyk" (1846), dziwaczna w sposobie przeprowadzenia wątku, a występująca przeciwko znaczeniu rozumu, zalecająca bierną rezygnacyę, jak u wszystkich postępowców, tak i w Gryfie wywołała oburzenie i skłoniła do pomieszczenia w „Marze" ustępu ostro potępiającego ten utwór, tak samo jak niedołężną i podobnym duchem przenikniętą powieść Hołowińskiego p. t. „Rachel." Dążność zaś ową do pogrążenia społeczeństwa w rezygnacyi, Gryf poddał krytyce z punktu widzenia chrześcijańskiego. „Nie czcze ekstazye — pisał — nie słowa, nie westchnienia, nie przewracanie oczu, nie całowanie ziemi i policzkowanie się, ale czyn jest objawem miłości Boga! Chrześcijanin nie fakirem, nie bonzem, a przedewszystkiem człowiekiem czynu być powinien. Miłość chrześcijanina ku Bogu nie jest bynajmniej miłością zaświatową. Bóg chciał, aby człowiek znalazł go w duchu swoim i uczuciu i wcielił go w życie; Bóg bowiem jest czynem i życiem!..."

W r. 1849 przybył jeszcze nowy sprzymierzeniec, mianowicie „Pamiętnik naukowo-literacki," wydawany w Wilnie przez *Romualda Podbereskiego* († 1863). Nie był to człowiek ukształcony, ani utalentowany, ale miał zamiłowanie do literatury i o własnych siłach zdołał się wybić nieco na wierzch. Już od roku 1843 ogłaszał w Petersburgu „Rocznik literacki;" lecz ten nie miał żadnego wybitnego charakteru pod względem przekonań filozoficznych i społecznych. Ale z czasem dążność demokratyczna, zgodna z usposobieniem redaktora, przemogła. Przeniósł swe wydawnictwo do Wilna i złączył się z młodzieżą postępową. Gdy wskutek intryg Rzewuskiego, „Gwiazda"

została zamknięta, Podbereski przyjął do swego „Pamiętnika naukowo-literackiego" artykuły dla niej przeznaczone i pozyskał współpracownictwo kilku zdolnych ludzi, a między innemi *Zofii z Chłopickich Klimańskiej* (1812 † 1870), zwanej *Zofią z Brzozówki*, która najśmielej karciła obłudę społeczną, bigoteryę powierzchowną, domagając się czczenia Boga w duchu i w prawdzie [1]). Niedługo jednak i to pismo trwać mogło. W r. 1850 musiało być przerwane: a współpracownicy jego smutnego doznali losu.

Nie brał w tych czasopismach udziału, ale od samego niemal początku zawodu swego piśmienniczego walczył z Rzewuskim, *Tytus Szczeniowski* (1808 † 1880), człowiek rozumny, utalentowany i bardzo namiętny. Urodzony na Ukrainie, wykształcenie odebrał w liceum krzemienieckiem, które później w „Powieściach domowych" (1852 r.) i indziej z wielką miłością opisał. Zaznajomiwszy się z filozofią Hegla, dużo w jej duchu rozmyślał nad dziejami i w 1842 roku ogłosił (w Wilnie) książeczkę pełną głębszych poglądów na rozwój społeczeństw, p. t. „Przygoto-

---

[1]) Publicystyka ówczesna wytykała brak kobiet ukształconych na Litwie. „Niedość, że każda z naszych kobiet — pisał niejaki Waleryan Kępis w zbioropiśmie *Lud i czas* (Wilno, 1845 roku, str. 136, 137) — czuje się obcą w naukach, unika poważnych rozmów o czemkolwiek, ani odezwie się w przedmiotach obchodzących każdego człowieka, że wychowanie postawiło ją u nas na (!) rzędzie serajowych, azyatyckich niewiast; niedość, powiadam, tego, one jeszcze mają jakąś fanatyczną pogardę do nauki. Ale cóż mówić o tem, kiedy poezya i lekka belletrystyka ich nie zajmuje!... Nasze kobiety na to się uczą czytać i pisać, by potem nigdy nie czytały, by potem zapomniały pisać; na to uczą się jakichś niby nauk i języków na pensyach, by potem robić pończoszkę i kabały ciągnąć..." Istotnie, oprócz Klimańskiej była wówczas na Litwie jedna tylko głośniejsza autorka, nieco młodsza od niej: *Gabryela Günterówna* (później *Puzynina* ur. 1815 † 1869), pisząca poczciwe, religijne, rozsądne, lecz bardzo słabe wiersze i powiastki („W imię boże" 1843, „Dalej w świat" 1845, „Proza i wiersze" 1856, 1857 i t. d.). Takiego grona kobiet, jak warszawskie entuzyastki, niema na Litwie ani śladu.

wania do nauki dziejów powszechnych i historyi," a w „Athenaeum" Kraszewskiego swoje rozprawki filozoficzne („Parafrazy Hegla," „Prawa konieczności"). Rychło atoli zwrócił się do zagadnień praktycznych („O urządzeniu banków gubernskich") i do satyry obyczajowej, chłoszczącej zarówno próżność pyszałków herbowych, bałagulstwo młodzieży, lekkomyślność kobiet, jak i przesadę, wydwarzanie w uczuciowości romantycznej i dramatyzowanie życia. W szeregu obrazków, słabą tylko nicią powieściową zwanych, p. t. „Bigos hultajski" (1844—49, Wilno, cztery tomy) przesunął on pod pseudoninem *Izasława Blepońskiego)* przed oczyma wyobraźni sporo postaci żywcem wziętych z otoczenia ukraińskiego lub też ze wspomnień krzemienieckich, a oświetlonych nieraż bardzo jaskrawo. Myśli, zawarte w „Mieszaninach" Bejły były zrazu w przedmowach jeno do poszczególnych tomów poddawane surowej krytyce, w samem opowiadaniu wyśmiewał Szczeniowski uroszczenia arystokratyczne. W 3 im tomie „Bigosu" (1848) zasadniczo wystąpił przeciw Rzewuskiemu, dowodząc, że „historya nasza jest ciągłem świadectwem niedołężności arystokracyi polskiej, i ile pojedyńcze dzieła tych, co przez nie w jej grono się wpisali, pobudzają cześć i uwielbienie nasze, tyle ona jako korporacya ani na wdzięczność, ani na uszanowanie nasze nie zasługuje, bo nie tylko narodowi, ale i sobie nic dobrego uczynić nie umiała." Wykazywał przytem, że „przyszłość a nie przeszłość jest ostatecznym celem ludzkości i tych co czynem lub piórem kierunek jej nadać pragna," że kto kocha swe społeczeństwo, nie kocha go „li jako trupa w kontuszu, ale jako żyjące i w nowożytnym fraku; nie jako rzecz martwą i pogrzebioną, ale jako rzecz żywą i z siebie jeszcze więcej życia snującą; nie jako zamarłą formę, która tylko jasnych farb do palety utalentowanego malarza udziela, ale jako gniazdo światła, co późniejszym sztukmistrzom okaże zajmujące strony wieku i pokolenia

obecnego.“ Sarkastycznie dodawał: „Gdy Radziwiłł Panie Kochanku swe kłamstwa i błazeństwa tworzył, nie marzyło się zapewne współczesnym uczonym, iż zostanie najważniejszą figurą, nadającą ruch utworom jednego z największych przedstawiaczy obecnej literatury, i że ten Achilles łgarstwa znajdzie godnego siebie Homera.“—Wydając tom 4-y „Bigosu“ w 1849 roku, zaniechał polemiki, a ze względu na czasy, w których się doniosłe w Europie dokonywały sprawy, porównał spory literackie do „bitwy much z pchłami obok walki lwów i tygrysów,” zachęcał wszystkie stronnictwa do zgody, piętnując zapasy „Tygodnika Petersburskiego“ z „Gwiazdą“ i innymi przeciwnikami: „Jakaś zajadłość i zgryźliwość wkradła się w karty i najlepiej pisane; jakiś upór i fałszywy wstyd, niegodny znakomitych zdolności, zatrzymał niejednego na błędnej ścieżce, i w niektórych widać, że koniecznie rozkazują rozumowi swemu, by walczył z uczuciem w głębi serca niewygasłem, ale tylko bądź widokami osobistymi, bądź wzruszoną żółcią, bądź inną jakąś nieszlachetną pobudką tłumionem.“ Radził wreszcie, by puste słowa, w czasach, kiedy społeczeństwo wzrusza się w swych posadach, nie odciągały umysłów „od uwagi nad żywymi czynami i rączemi działaniami...“

Do czynu „uduchowionego“ wzywał równocześnie inny jeszcze pisarz.

XXX.

Całkiem niezależnie od głosów opozycyi, podniesionych przez młodzież z Ukrainy, ale w tym samym duchu demokratycznym i postępowym zabrzmiała pieśń z Litwy, zanucona przez 26-letniego *Edwarda Żeligowskiego* (1820 † 1864). Mówię o tym pisa-

rzu na tem miejscu, gdyż większe on ma znaczenie jako publicysta, niż jako poeta. Urodzony w powiecie wilejskim, nauki uniwersyteckie odbył sumiennie w Dorpacie, zaznajomił się dobrze z literaturą poetycką nie tylko dawniejszą, lecz i nowszą (on pierwszy u nas brał motta z Heinego, znakomitego pieśniarza satyryka), jak niemniej i z literaturą filozoficzno-teologiczną (on pierwszy u nas wzmiankował prace krytyków biblijnych: Straussa, Bruno Bauera, Feuerbacha, oraz poglądy „realizmu filozoficznego" Herbarta). Nie stał się atoli zwolennikiem filozofii niemieckiej. Widział w niej wprawdzie „najwyższy szczebel," do jakiego się wzniosła wiedza ludzka, przyznawał, że wynalazła ona „najbardziej mistrzowski skalpel dla wszystkich psychicznych operacyj," że rozwinęła „najwyższą dyalektykę;" ale wyrzucał jej „zaślepienie pychy intellektualnej," chcącej wszystkie tajniki rozjaśnić, a „Jehowę odwiecznego przenieść z nieba do swoich traktatów i formuł;" gdy Jehowie w tych formułach za ciasno. Widział niepogodzone walczące z sobą dwie przeciwne zasady: idealizmu i realizmu, zarówno w filozofii, polityce (konserwatyści i radykalni), jak i w sztuce, która „niezadowolona warunkami subjektywno-idealnej romantyczności, biorąc żywy udział w dążności czasu, usiłuje stworzyć nowe ciało dla duszy piękności." Wygłoszone przez Cieszkowskiego wezwanie do „czynu" znalazło w nim echo silne, bo „i Księga mądrości (t. j. ewangelia) i pisma głębokich myślicieli przekazały nam tę prawdę, że ani indywidua, ani ludy, bez własnej pracy i ofiar, ani swojego wykształcenia, ani zbawienia dostąpić nie mogą." A czyn ten, zgodnie z twierdzeniem wielu filozofów, jak i Mickiewicza, musi się oprzeć na głębokiem pojęciu idei chrześcijańskiej i zamienieniu jej w rzeczywistość, we wszystkich stosunkach życia nie tylko domowego, ale i społeczno-politycznego. Wieki starożytne — to apoteoza materyi, wieki średnie—apoteoza serca, wieki nowożytne—apo-

teoza rozumu; dzisiaj świta nowa epoka — *apoteoza ducha*, wcielenie idei chrześcijańskiej w ludy, nie w kasty, które dotychczas ją pielęgnowały i „nieraz do swoich nachylały widoków i celów.“ „Trzeba nam wzlecieć na świętych skrzydłach ducha; trzeba się usposobić do wielkiego lotu; trzeba zabić swoją nikczemność, oczyścić się i uduchownić się. To nasza na dzisiaj najgwałtowniejsza robota, nim wzlecieć zdołamy. I tyle tylko razy udało się ciałom społecznym zrzucić z siebie splamioną i podartą odzież, a przyjąć nowe i świeże szaty; tyle razy tylko udało się postawić krok naprzód: ile razy organizm społeczny umiał rozeznać się w sobie, zgłębić swoje pierwiastki i elementa i w tem zrozumieniu swoją umiejętność i ducha swojego do pewnych zrozumiałych nakierować celów i dążeń.“

Z takiemi pojęciami i z tak entuzyastycznym nastrojem wróciwszy w strony rodzinne, osiadłszy na gospodarstwie i rozejrzawszy się po sąsiedztwie, Żeligowski doznał strasznego rozczarowania, bo w najbliższem otoczeniu nie znalazł nie tylko ludzi, coby z nim razem ku uduchowieniu społeczeństwa podążać chcieli, ale nawet i takich, coby go należycie zrozumieć potrafili. Wszędzie zobaczył jeno bezmyślne gonienie za cielesnem użyciem i za środkami do jego zaspokojenia, choćby z podeptaniem praw najświętszych; wszędzie dojrzał zanik poczucia moralnego i bezwstydny cynizm; wszędzie spotykał się z poniżeniem godności ludzkiej w prawdziwem znaczeniu wyrazu, a przechwalanie się herbami i dostojeństwami. Uogólnił swe spostrzeżenia w jednem słowie: spodlenie—i zawołał z głębi cierpiącego uczucia: „Jedno jest tylko prawdziwe nieszczęście równie dla indywiduów, jak i dla narodów całych, jedno jest tylko nieszczęście: spodlenie, ducha utrata! Wszystkie straty serca jako i straty materyalne, bolesne, często okropne, wybijają człowieka z jego własnych brzegów, wyniosą za granicę siebie; są wszak

że zwyczajnemi dolegliwościami ziemskiemi. Człowiek je znosi a Bóg wspomaga i cierpiących z pokorą ku boskiej podnosi godności. Inaczej jest z tem prawdziwem nieszczęściem spodlenia; bo tam niema gdzie szukać pociechy; tam człowiek nie wejdzie do głębi siebie, gdzie Bóg przeżywa. Idzie szukać szczęścia daleko, daleko; gotów dlań poświęcić życie i wszystko, powierzyć się burzliwościom mórz i lasów, lecz szczęścia znaleźć nie może, bo ono jest schowane w nim samym; lecz niestety! on odbiegł dalej od siebie, niżeli do ostatnich mórz krańców, do przeciwległych świata biegunów: on szczęścia nie znajdzie, bo je depce własnemi nogami. Aż się obejrzy i ukorzy i szczęście zdeptane zpod stóp swych podejmie."

Ażeby wyrzucić z serca tę palącą gorycz, a zarazem żeby oddziałać na społeczeństwo, wystawiając mu jego grzechy jak w zwierciedle, Żeligowski ogłosił r. 1846 pod pseudonimem *Antoniego Sowy* fantazyę dramatyczną p. t. „Jordan" (Wilno). Podziałała ona piorunująco na wrażliwsze umysły; w przeciągu kilku miesięcy trzeba było nowe zrobić wydanie. Dzisiaj niektóre tylko z niej ustępy mogą być uznane za ładne; jako całość jest mętną, niezharmonizowaną mieszaniną wysokich wzlotów poetyckich i najpowszedniej rymowanej prozy, pstrokatym obrazem idealistyczno-realistycznym; ale w swoim czasie miała znaczenie czynu społecznego; na wady formy nie zważano wcale, a ceniono szlachetną dążność poety-publicysty, przemawiającego „z najwyższą szczerością ducha, z nieprzełamaną wewnętrzną potrzebą."

W poemacie wyróżnić potrzeba trzy motywy główne: ostrą satyrę na wady ogółu szlacheckiego, przedstawienie grupy młodzieży ożywionej lepszemi uczuciami i spragnionej działania, nakoniec ideał uduchowionego człowieka. Wady wytknięte szlachcie: bezmyślność, brak wykształcenia, próżnia-

ctwo, karciarstwo, zmateryalizowanie, cynizm w rozmowie, ucisk poddanych, pycha i samolubstwo, były już niejednokrotnie w literaturze naszej podnoszone; Żeligowski nie starał się nawet o jaskrawość w doborze barw do ich odmalowania; mimo to obrazek zebrania szlachty w „Salonie Marszałka Ćwika“ czyni silne wrażenie, wydaje się nowym a żywym, a to w skutek potężnego a szczerego poczucia moralnego, jakie autor potrafił w czytelniku obudzić. Co gdzieindziej uważałoby się za objaw nikły, małoznaczący, to tutaj przedstawia się nam jako świadectwo strasznego zgangrenowania społeczeństwa. Drugi obraz satyryczny: „Obywatelskie posiedzenie,” gdzie mowa głównie o przywilejach szlachty, o pańszczyźnie i poddaństwie chłopów, nie wywiera już takiego wstrząśnienia, chociaż kończy się efektownie śmiercią szlachcica, uchodzącego za filantropa, który, jak się okazuje, obdarł swego wychowańca. Niektóre tylko zdania zwięzłością swoją wrażają się w pamięć:

Gdy chłop własnością być tylko przestanie,
Cóżby się wtenczas z całą szlachtą stało?
Wtenczas dla szlachty kres ostatni klęski,
Wtenczas szlachectwo jest rzeczą zbutwiałą...

Trzeci wreszcie ustęp satyryczny p. t. „Deklamator,“ wymierzony przeciwko przymuszaniu panien przez rodziców do zawierania małżeństw wbrew skłonności, ma ładne liryczne porywy tu i owdzie, a piętnuje niegodną matkę, doradzającą swej córce, żeby, zanim się przyzwyczai do niecierpianego męża, oddała mu tylko ciało, a wyobraźnią zlewała się z obrazem kochanka...

Wśród takiego zbestwionego społeczeństwa obraca się poeta Prot, niegdyś szlachetnemi przejęty uczuciami, teraz podzielający hulanki nikczemne swych współobywateli, lecz mszczący się za swe poniżenie ironią i szyderstwem. Nie jest on jeszcze zepsuty całkowicie i jedna chwila rozrzewnienia

zwraca go na lepszą drogę; po pięknym monologu, w którym wystawił swe dotychczasowe życie bez celu, łączy się on z kółkiem młodzieży, zbierającem się w „Pieczarach“ i rwącem się do czynu. O ile z niewyraźnych napomknień wnieść można, czyn ten ma objąć także sprawę wyzwolenia włościan, ale do skutku nie dochodzi. Autor uważa oczywiście życie tej grupy za nieporównanie wyższe od życia reszty bezmyślnych obywateli, lecz nie poczytuje go jeszcze za swój ideał; jeśt ono tylko szczeblem, prowadzącym na wyżynę udoskonalenia duchowego.

Na samej wyżynie uduchowienia znajduje się Jordan. Mało on żyje z ludźmi, którzy poczytują go za dziwaka lub waryata, woli przebywać wśród natury, na szczytach gór, i rozmawiać z duchami. Jest w nim pierwiastek panteistyczny silnie rozwinięty, a zarazem to przekonanie, wypowiedziane u nas przez Mickiewicza, że udoskonalenie wewnętrzne winno być pierwszą troską naszą, a reszta sama się znajdzie. Głosi on ideę miłości braterskiej dla wszystkich; wypomina szlachcie, że rozpaja lud i przygnębia nadmiarem pracy („bogom ambrozyę gotują w browarach, a smołę dyabłom pędzą z swego lasu, a to, by z piekłem i z niebem być w zgodzie“)— lecz się do owego kółka młodzieży nie zapisuje, a nawróconego Prota, mówiącego o czynie i proszącego o radę, odpowiada w stylu Krasińskiego z „Przedświtu“:

Czyn bez ducha zlepek gliny,
Kruchy garnek. Próżne trudy,
Nie zgotujesz ty w nim strawy,
Co ma karmić szczęściem ludy,
Co ma zawieść lud do sławy.

Zawiedziony w miłości, nie myśli, na wzór Wertera i Gustawa, samobójstwem zakończyć męki; on duchowo przeszedł już wszystkie cierpienia; ale pragnie się umocnić w swem dążeniu do doskonało-

ści, zanim wystąpi do działania. Wielkim i mądrym jest ten, „kto chce, jak chcieć powinien, z siłą bóstwa i obrazem, niebu, ziemi da, co winien.“ Odrzuciwszy wszelkie poszepty samolubstwa, uduchowiwszy się, ukochawszy ludzi, trzeba w sobieześrodkować wolę i wtedy dopiero do czynu przystąpić:

Gdy pierś taką zagrzmi wolą,
Gdy się chęci tak zespolą,
Ja chcę!—powiesz ty do siebie,
A Bóg: stań się—powie w niebie,
Bo głos Boga i głos ludu
Zlewają się w jedno brzmienie;
Lecz ma boskie być twe chcenie,
Kiedy pragniesz doznać cudu!

Na pole czynu miał wystąpić Jordan w drugiej części poematu. Drugą tę część napisał Żeligowski, ale jej drukiem nie ogłosił; znamy tylko jej treść i niektóre wyjątki. [1]) Właściwie jednak i tu bohater, przezwany „Zorskim“, nie działa; wiemy tylko, że poddanych swoich obdarzył ziemią, ale o tem dowiadujemy się jeno z boku; w samym dramacie 5-aktowym, występuje on zaledwie trzy czy cztery razy i wtedy wypowiada swoje zasady i marzenia; wpływa przez to na postępowanie bliźnich, ale sam nic nie robi. Akcya rozgrywa się pomiędzy innemi osobami, a idzie w niej o stosunek do ludu, o podniesienie mianowicie uczuciowej strony ludu, lekceważonej w czasach poddaństwa tak, że małżonków dziewczętom dobierali nieraz sami dziedzice. Przedstawicielem najwsteczniejszych przesądów szlacheckich jest Knipruć, ale już jego żona, córka i syn mają szlachetniejsze uczucia i nie dopuszczają oburzających gwałtów, jakie miały być na chłopach

[1]) Podał je Leonard Sowiński w rozprawie: „O niewydanym dramacie Antoniego Sowy“ (w „Ateneum“ 1884, t. 4).

spełnione. Nawróconym przez Zorskiego młodzieńcem jest Wodzicz, który zamierzał dokonać myśli przewodniej zbratania się z ludem przez poślubienie wieśniaczki i byłby zamiaru dokonał, gdyby wybrana przezeń nie miała już swego ulubionego. Oczywiście uczucie dwojga młodych wieśniaków zostało uszanowane i dramat kończy się pogodnie. Zasadnicza dążność „Zorskiego“—wystawienie znaczenia ludu w przyszłości:

Bo wy nie wiecie, że ludu potęga,
Jak alfabetu rozprzężone dźwięki,
Z których się wieku wielkie słowo sprzęga,
Że to są tony wiekowej piosenki,
Bez których pieśni żaden mistrz nie złoży.

I Żeligowski oczywiście podzielał hasło Krasińskiego: „z szlachtą polską polski lud“, ale je inaczej rozumiał i stał się, można powiedzieć, twórcą nieco późniejszej chłopomanii. Trzeba zejść do ludu, poślubić jego pojęcia i zwyczaje:

Kto myśl ludu wypiastuje,
Pośród domu, sioła, miasta,
Na wzór króla-chłopa Piasta,
Kto się duchem z ludem stopi,
Przejrzy dziejów w nim koleje,
Po królewsku kto się schłopi
I po chłopsku skrólewszczeje;
Zedrze z życia kir grobowy
I rozpocznie żywot nowy,
Życie swoje walką zrobi
Swoich, bratnich ułomności,
Ten się tylko usposobi
Do kościoła wejść przyszłości...

Przybywszy do Petersburga, wydał Żeligowski roku 1858 swoje „Poezye“, i opowiadanie prozą pod tytułem „Dziś i wczoraj“; ale nowych myśli tu już nie wyraził; a ponieważ pod względem artystycznym nie mogły one zadowolić, nie zwróciły

więc już na siebie baczniejszej uwagi. Zasadniczej swej myśli—duchowego udoskonalenia — jako rzeczy najważniejszej zarówno dla jednostek jak i społeczeństw—pozostał on wiernym, a zasadę miłości rozciągał nie tylko do członków jednego narodu, lecz do narodów między sobą, zwłaszcza zaś słowiańskich.

W dziejach poezyi naszej pozostanie on tylko jako autor „Jordana", śmiały rzecznik sprawy ludodowej i karciciel zdrożności, popełnianych przez tych, co się za czoło narodu uważali.

XXXI.

Jakże się wobec tych wszystkich objawów postępowych zachowywał Kraszewski?

W r. 1840 osiadł on w Gródku na Wołyniu; z powodu „Mieszanin" ochłódł jego stosunek do Rzewuskiego i do „Tygodnika petersburskiego;" zajęty przytem redagowaniem „Athenaeum" i coraz to bardziej rosnącą twórczością powieściopisarską, mało miał czasu na spółpracownictwo w obcych czasopismach.

Z właściwą sobie wrażliwością na wszystkie nowe prądy, zajął się studyowaniem filozofii niemieckiej i zrazu był zachwycony „Logiką" Hegla; niebawem wszelako uczucia i dogmata religijne w nim przemogły; napisał tedy surową choć powierzchowną krytykę „Systemu Trentowskiego" (1847) a nicość rozumu w zbadaniu istoty rzeczy starał się wykazać powieściowo w „Tomku Prawdzicu" (1850).

Ruch demokratyczny odbił się żywo w miękkiem sercu jego i wywołał szereg powieści, poświęconych zobrazowaniu doli ludu wiejskiego na Polesiu i Wołyniu. Wykazując za pośrednictwem malowniczo kreślonych sytuacyj, w jak nieszczęśliwem po-

żeniu lud ten się znajdował w skutek gniotących go poddaństwa i pańszczyzny, malując nadużycia popełniane przez tych, co nad nim władzę prawie nieograniczoną posiadali; wystawiając dobitnie ciążenie zakorzenionych przesądów na dzieciach pochodzenia włościańskiego, wówczas nawet, gdy te szczęśliwym zbiegiem okoliczności ukształceniem dorównały warstwom szlacheckim, Kraszewski dzielnie się przyczynił do uświadomienia stanu nienormalnego, przemówił do niejednego serca i usposobił choć pewną cząstkę umysłów do pożądania reformy, a dokonał tego w sposób niewątpliwie skuteczniejszy, aniżeli ktoś inny za pomocą artykułów rozumowanych. To też takie utwory jak: „Historya Sawki“ (1841, wcielona później do „Latarni Czarnoksięskiej“), „Ulana“ (1843), „Ostap Bondarczuk“ (1847), „Budnik“ (1848), „Jaryna“ (1850) będą zawsze uważane za pisma największej zasługi społecznej Kraszewskiego. Różna jest ich wartość artystyczna, nie zawsze myśl w nich wyrażona została trafnie, lecz uczucie, co je podyktowało, wypłynęło z najszlachetniejszych skłonności serca i wywołało w czytelnikach odgłos sympatyczny. Ale i w tej sprawie nadzwyczajna wrażliwość powieściopisarza na wpływy atmosfery duchowej odwiodła go niebawem od demokratycznych poglądów — na czas jakiś. Już w „Dziwadłach“ pisanych r. 1849 słyszymy jakby zapowiedź mniemań, ukazujących ideały nie w przyszłości, ale w przeszłości. „Dawniej pan i wieśniak—czytamy tu—byli jedną rodziną, a jak w rodzinach są źli ojcowie, tak byli i źli panowie włości; jednak to były tylko *wyjątki.*“ A dla wyjątków przecież nie przemienia się instytucyj odwiecznych. Co więcej, wykształcenie chłopa uważał już wtedy za rzecz niezbyt pożądaną, bo „niedowarzeni wieśniacy, którzy poznawszy litery, poczęli czytać, co im do ręki wpadło, *najczęściej psują się* i wyrastają na najgorszych ludzi...“

Z „Tygodnikiem Petersburskim“ rozstał się gło-

wnie z przyczyn osobistych, gdy coraz natarczywiej go tam dotykano; lecz nie przeszedł do opozycyi stanowczej. W pierwszych dwu latach istnienia „Gwiazdy“ dawał jej artykuły, z których jeden o „Dowcipie“ był widocznie wymierzony przeciw Rzewuskiemu; ale otwartej polemiki z „Tygodnikiem“ nie wszczynał. Wiedział on i głośno zaznaczał, że „nieszczęsne pokrajanie się ludzi na partye pełne namiętności“ robiło stanowisko jego najdziwniej niebezpiecznem; twierdził, że od wieków ludzie tacy jak on, idący z boku, „bywali kamienowani“, ale zapewniał, że go to „nie ustrasza bynajmniej.“

Wyznanie swej wiary społecznej złożył we wskazaniu drogi pośredniej między krańcami za najlepszą. „Obu dziś walczącym stronnictwom — pisał w końcu r. 1846—powiedziećby można: Nie macie słuszności, a nie macie jej i mieć nie będziecie, dopóki nienawiść dzielić was będzie. Bez miłości braterskiej, tej spójni powszechnej, nic się nie rodzi i nic nie trwa. Dlaczegóż nie chcecie okiem prawdziwej filozofii z jednej strony, z drugiej okiem chrześcijan prawdziwych spojrzeć na siebie? Dlaczego, miasto kłócić się o słowa, nie dobijacie się myśli? Wypadki filozofii, które wyraża socyalizm, nie sąż wypadkami ewangelii?... Chcecie braterstwa, miłości, dobra dla wszystkich a zwłaszcza dla tych, co cierpią wieki przez odwieczne niedbalstwo lub samolubstwo? Czegóż innego żąda i co innego nakazuje ewangelia? Wielkie i za nowe dziś uważane słowa: ludzkości, postępu, braterstwa, miłości pierwszy raz prysnęły ze krwią krzyża Golgoty. Wyście je przyswoili i uczynili wypadkiem własnych myśli, gdy wistocie one są tylko zapomnianem prawem Chrystusa. O cóż więc chodzi?—o słowa A potrzebaby było?—czynu. Tak jest, nie rozprawiać tyle o filozofii niemieckiej i katolicyzmie, a filozoficzniej i bardziej po katolicku żyć i działać. Uznać braćmi tych, których Chrystus braćmi nazwał, i kochać, jak on przykazał. A ko-

chać nie słowy, ale uczynkami. W czynie miłości, braterstwa pojednałyby się może zwaśnione stronnictwa. Dziś spór zajątrza, rozżarza niepotrzebny ogień i z obu stron ściele trupem żywotne prawdy, bez korzyści dla tego postępu i ludzkości, o których tyle gadamy."—Bardzo piękne były to zdania, dobre w poezyi i powieści, lecz niestety bardzo ogólnikowe. Pogodzić stronnictw, ani też stać się zawiązkiem nowego nie mogły.

Sam też Kraszewski niedługo wytrwał na tej wyżynie ponad stronnictwami i zstąpił w r. 1849 do szpalt „Tygodnika Petersburskiego", kiedy się główni kierownicy: Rzewuski, Grabowski, Hołowiński, Sztyrmer usunęli; a ze szpalt tych prażył młodzież postępową bolesnymi docinkami, alluzyami nie tylko do szczupłego zasobu ich wykształcenia, ale i do chętki paradowania na koniku postępowym — kosztem sensu. Wywołało to pierwszy głośny objaw niechęci ku Kraszewskiemu wśród młodego pokolenia, a wyrazem jej był „List Zofii z Brzozówki do Benedykta Dołęgi" (1850), przypominający znakomitemu powieściopisarzowi a uprzedzonemu krytykowi własne jego słowa o potrzebie miłości braterskiej. Draśnięty, nic na to nie odpowiedział bezpośrednio, lecz się do kółka postępowego do reszty zniechęcił i niepochlebnemi malował je barwami w powieściach wtedy tworzonych np. w „Starym Słudze" (1852), gdzie mianowicie Romuald Podbereski i jego „Pamiętnik nieukowo-literacki" został wyszydzony. Prawie równoczeeśnie jednak zerwał z „Tygodnikiem Petersburskim." Tym sposobem w tej walce dwu stronnictw nie zajął wcale stanowiska wpływowego, nie wyzyskał swego rozgłosu na rzecz pogodzenia walczących, albo, gdyby się to okazało możliwem, na rzecz haseł uznawanych przez siebie za słuszne.

Jako powieściopisarz, Kraszewski w drugiem dziesięcioleciu swej twórczości niewiele się rozwinął pod względem artystycznym, ale znacznej uległ

zmianie pod względem tonu. Nie szyderstwo i ironia, jak poprzednio, lecz rzewność zaczyna w jego utworach przemagać. Są jeszcze naturalnie powieści, przeważnie satyryczne, jak np. ośmiotomowa „Latarnia Czarnoksięska“ (1843—44), ale i w niej nastrój jest o wiele poważniejszy, aniżeli poprzednio. Chciał tu autor zobrazować wszystkie stany i wszystkie dzielnice. Rozległe to zadanie w części tylko wykonał z powodzeniem. Żydzi, chłopi, szlachta, arystokracya wołyńska, kontrakty kijowskie, zabawy, polowania są odmalowane znakomicie. Natomiast stosunki warszawskie, czy to w salonie literackim, czy wśród rzemieślników, naszkicowane zostały z posłuchów tylko, a nie z obserwacyi, i muszą być uznane za chybione. Charakterystyka wreszcie przedstawicieli różnych dzielnic (Koroniarza, Litwina, Lwowianina, Poznańczyka) jest dość powierzchowna i odnosi się tylko do pewnych jednostek, które uderzyły wyobraźnię powieściopisarza. Oprócz „Latarni“, w nielicznych tylko powieściach przemaga ton swobodny, żartobliwy, wesoły i satyryczny; wszystkie ważniejsze, pod wpływem filozoficznych rozmyślań, czy osobistych i ogólnych smutków pisane, owiewa tchnienie tęsknoty i rozrzewnienia. Z utworów, w których się ten nowy pierwiastek żywiej przejawia, najważniejszymi są: „Pod włoskiem niebem“ (fantazya), „Pamiętniki Nieznajomego“ i „Sfinks“. W pierwszym z nich (r. 1845) jest najwcześniejszy *wyraźny* ślad oddziaływania studyów filozoficznych na twórczość powieściową. Mało tu chodzi autorowi o wypadki; zewnętrzna strona ludzi traktowana mimochodem; natomiast takie zagadnienia, jak: co to jest życie, co miłość, co szczęście, jak godzić zadowolenie własne z ogólnem dobrem wydobywają się na plan pierwszy i one istotne budzą w czytelniku zajęcie, chociaż z powodu braku pogłębienia w ich rozpatrywaniu nie mogą w nim zaspokoić silnie zaostrzonej ciekawości. Przejście Jana w poszukiwaniu

prawdziwej miłości są odczute, więc gorąco i poletnie skreślone; morał natomiast o potrzebie poświęcenia życia dla dobra społeczeństwa dosyć sucho wypowiedziany.

Na wyższej skali moralnej musimy postawić życie Juliusza, przedstawione w „Pamiętnikach Nieznajomego“ (1846), a mieszczące w sobie wiele szczegółów z życia samego twórcy. Juliusz to człowiek z początku ufny we wszystko, entuzyasta, pragnący przycisnąć świat cały do gorącej swej piersi, marzący o szczęściu i sławie, przekonany o możności urzeczywistnienia tych pragnień. Powoli opadają przed nim mgły szlachetnych złudzeń. Nadzwyczaj miękki i wrażliwy na powaby niewieście, kocha się on, to w wielkoświatowej damie, robiącej próby wdzięków na młodych mężczyznach, to w poetycznej pannie, co dla poratowania rodziny wychodzi za mąż bez miłości, to w dziewczynie gospodarnej, prostej, serdecznej i dobrej, to wreszcie w wykształconej wysoko, rozumnej, trochę emancypowanej. Wszystkie te miłości przynoszą mu rozczarowanie, zawód, cierpienie; a jednakże Juliusz, krzepiąc słabe serce myślą, że płacz i narzekanie są bezpłodne, spełnia jak może ciążące na nim obowiązki rodzinne i obywatelskie. Jestto pierwszy dodatni ideał Kraszewskiego, jaki w powieściach jego spotykamy. Był on, co prawda, wątły, ale w porównaniu z dawniejszemi postaciami, w których przeważały cienie, musiał blaskiem swym i jasnością odbić się sympatycznie w umyśle czytelnika. W „Pamiętnikach Nieznajomego“ rozlana już była szeroko rzewność, melancholia, tęsknota, ból skrywany; chwytają one za serce i każą pobłażliwie patrzeć na dzieje Juliusza. Uwyraźniona w nim została właściwie tylko czułość, miękkość, nadzwyczajna wrażliwość, szlachetne uniesienia, żądza wiedzy; życie zaś jego czynne, udział w wypadkach roku 1831 zaledwie napomknięte, a co do późniejszego zawodu same ogólniki, że pracował, że spełniał obowiązki

obywatelskie; ale Kraszewski nie pokazał w sposób artystyczny przykładów tej pracy, tak że ów obowiązek poświęcenia się dla dobra bliźnich, który Juliusz za hasło postępowania ogłasza, zjawia się tylko jako wymagalnik etyczny, nie daje bohaterowi nawet zadowolenia wewnętrznego, bo nie jest w nim wynikłością życiową, lecz rozumowym jedynie wnioskiem, przedstawiającym się wprawdzie nie tak luźnie, jak „Pod włoskiem niebem," nie posiadającym jednak cechy ścisłego organicznego związku z dziejami głównej osobistości. Dużo uwag pięknych, rozumnych, ogół osób uczciwych, zacnych, nastrój wszędzie szlachetny, wyrzeczenie się prawie zupełnie szyderstwa sprawiają, że czytanie „Pamiętników Nieznajomego" jeżeli nie pokrzepiające, to przynajmniej miłe wywołuje wrażenie. Mają one cechę wybitnie subjektywną tak dalece, że nawet w rozmowach się ona odbija. Wszystko, co jest powszedniem, codziennem, trzymał autor w ogólnikach; tak Cesia gospodarna, z którą się Juliusz ożenił, traktowana od początku do końca, jako istota niższa, z pewną ironią; tak ojciec jej, poczciwy gospodarz, zreumatyzmowany, zapalony polityk; tak rodzina kochająca się po angielsku w słowach. Tylko dwie postacie nakreślone żywiej; każda z nich jest oryginałem w swoim rodzaju. Wrzosek, wychowaniec XVIII wieku, wstydzi się uczuć szlachetnych, a pełni tajemnie dobre uczynki, rozrzewnia się, modli; nie przyznaje się do nauki, szydzi z niej, a jest rzetelnie uczonym. Jasieczek znów jest doskonałą, lubo zapewne więcej z książek zagranicznych, niż z naszego życia wziętą postacią gastronoma, rozprawiającego uczenie o filozofii używania wszystkiego, co może nas w stan błogości cielesnej i duchowej wprawić...

Już nie tylko rozmyślającego, ale także usiłującego działać człowieka o niepospolitym umyśle i szlachetnem sercu odmalował Kraszewski w „Sfinksie" (1847). Na utworzenie tej powieści złożyły się jako

pobudki: z jednej strony ożywienie ówczesne w zajęciu się dziełami i teoryami malarstwa, ożywienie ujawnione w licznych o tem rozprawkach, mianowicie *Michała Grabowskiego* [1]), a z drugiej—idące z niem w parze zamiłowanie samego autora w zbieraniu zabytków sztuki,—oraz filozoficzne rozpatrzenie się w jej zadaniach. Kraszewski zostawał wtedy pod bardzo silnem wrażeniem entuzyastycznych zachwytów nad artystami, mocarzami ducha, pojmującymi życie ze strony „prawdziwej" w porównaniu ze światem prozaicznym, bezdusznym. Świat zwykle się zadawala robotami partaczy, umiejących wyzyskać brak istotnego smaku artystycznego i działających na chwilowe usposobienia; ci, co umieją mu się narzucić, odbierają w nagrodę hołdy i pieniądze; ale biada umysłowi wyższemu, któryby chciał służyć ideałowi sztuki; zmarnieje on wyszydzony, zginie z nędzy, lub musi uciekać z pośród gwaru, chroniąc się do celi klasztornej. Symbolem prawdziwej osobistości artystycznej jest sfinks: „Głowa ludzka to duch wielki, to cząstka bóstwa w piersi jego, ciało bydlęcia to zwierzęcej natury więzy, co nas pętają; rozwite skrzydła to zapał, który przecież nie uniesie kamiennego potworu od ziemi obrzydłej! Kamienny, żelazny, nigdy żywy; to artysta, którego nie stworzyła natura, ale potrzeby cywilizayyi, ale ręka i umysł ludzki! Dlatego zawsze w świecie, nie dla świata. pogodzić się z nim nie umie, i dobrze mu być nie może." Nie było też dobrze Janowi, co przeszedłszy ciężką szkołę wykształcenia w Wilnie, Warszawie i we Włoszech, za powrotem do kraju znalazł się wśród społeczeństwa, najdziksze mającego wyobrażenia o sztuce, wśród współtowarzyszów zawodu, po większej części ograniczonych, zawistnych, chci

[1]) Zebrał je potem razem w dziełku: „Artykuły literackie krytyczne, artystyczne" (1849, Warsz:)

wych partaczów. Ciernistą była droga jego życia, a on niewielki posiadał zapas sił do walki z przeszkodami; wcześnie się też rozstał ze światem, poszukał przytułku w klasztorze, znalazł go i oddał się malarstwu religijnemu, nie o sławę się ubiegając, ale o wypełnienie życia wcielaniem ideałów. Jedna połowa zadania powieściowego tj. przedstawienie trudności w rozpowszechnianiu się zamiłowania do sztuk plastycznych u nas spełniona została w „Sfinksie" znakomicie; sceny, malujące stosunek publiczności do artystów i ich utworów, są pełne prawdy, widocznie pochwycone z natury; sylwetki malarzy rzemieślników (Szyrko, Mruczkiewicz, Perli) nakreślone są grubo wprawdzie, ale żywo. Druga natomiast połowa zadania—odtworzenie pojęć i życia artystów prawdziwych, posiadających talent rzeczywisty, o wiele słabiej się tu uwydatniła. Jan należy do tej-że rodziny duchowej, co Jan z fantazyi „Pod włoskiem niebem" i Juliusz z „Pamiętników Nieznajomego"; nadzwyczajna wrażliwość na wdzięki niewieście, słabość woli, nieopatrzność, nierówność charakteru są tak samo przyczyną jego niepowodzeń i cierpień, jak i nieprzyjazne warunki rozwoju. Że takich ludzi utalentowanych nie brak, to nie ulega wątpliwości; przeciw malowaniu ich w powieści nic by powiedzieć nie było można, gdyby nie zamiar autora przedstawienia ich jako męczenników cierpiących niewinnie, na co czytelnik zgodzić się nie może, widząc ich wady, co na nich bóle i zawody sprowadzają. Jan ma więcej stron sympatycznych, aniżeli Gustaw w „Poecie i Świecie", ale daleko mu jeszcze do ideału dodatniej postaci artystycznej; patrzymy nań z litością, ale nie z głębokiem spółczuciem. A jednak miał Kraszewski w pogotowiu charaktery tęższe, dzielniejsze, takie, jak żyda Jonasza, malarza zrezygnowanego, serdecznego, szlachetnego, jak Tytusa Mamonicza, rzeźbiarza, pełnego zapału, energii, wytrwałości,

chociaż w równie smutnych, co i Jan, znajdował się okolicznościach życia. Kraszewski wolał postaci te usunąć na plan drugi, stawiając na pierwszym miękkiego, niezaradnego Jana, będącego raczej igraszką losu, niż człowieklem samoistnie myślącym i działającym—a czynił to gwoli przeprowadzenia tezy, że artyście nie może być dobrze na świecie. Pojęcia estetyczne, do których Jan w ciągu wędrówek swoich dochodzi, są to poglądy właściwe chwili spółczesnej pisaniu powieści, kiedy estetyka idealistyczna wszechwładnie się rozpościerała. Estetyka ta nie była w zgodzie z tym sposobem realistycznego tworzenia, jaki w większości swych utworów Kraszewski rozwijał; ale ponieważ sam on nie doszedł do żadnych szerszych uogólnień, któreby mógł przeciwstawić wywodom estetyków niemieckich i ich zwolennika, Józefa Kremera, co około tego czasu wydał pierwszy tom swoich „Listów z Krakowa“ (1843), przyjąć je musiał *teoretycznie* i splótł je z opowiadaniem dziejów Jana, rzucając tu i owdzie spostrzeżenia całkiem niezgodne z głoszonemi ogólnikowo zasadami. Kierunek religijny zaś, któremu w końcu złamany życiem Jan się oddaje, wypływa w „Sfinksie“ po części z religijnego nastroju autora, po części zaś—i to w znaczniejszej mierze—jest skutkiem wielkiego rozgłosu, jakim się cieszył naówczas Overbeck i wogóle rzereg malarzy, czerpiących natchnienie w ascetyczno-mistycznych poglądach. Z tego też źródła wynikła obrona życia klasztornego i narzekanie na „czasy industryalizmu i teoryi dobrego bytu,“ pomieszczone w przedmowie do drugiej części „Sfinksa“, a będące w pewnej sprzeczności z uznaniem dla przemysłu, handlu, jakie mało co przedtem wygłaszał Kraszewski w „Latarni Czarnoksięskiej“ i w „Athenaeum“. Treść „Sfinksa“ rozwija się niby przy końcu XVIII wieku, ale bynajmniej nie jest obrazem pojęć i stosunków owej doby. Wogóle należy powiedzieć, że nie tylko tu, gdzie nie zamierzał

PAMIĄTKI

JPANA SEWERYNA SOPLICY

CZEŚNIKA PARNAWSKIEGO.

Polonus sum, Poloni nihil a me alienum puto.

WYDANIE DRUGIE.



Paryż.

—

1841.

malować przeszłości, ale i w próbach, z takim zamiarem podjętych, Kraszewski i w tem jeszcze dziesięcioleciu nie potrafił stworzyć powieści historycznej, którąby za względnie dobrą uznać było można. Przyzwyczajenie do kreślenia scen drobnych, objawów życia pospolitych nie dozwalało mu objąć rozleglejszych widnokręgów dziejowych, odmalować czy to wielkich postaci, czy potężnych kollizyj, lub wogóle dać zarysu cywilizacyi w obranej przez siebie chwili. I „Żacy Krakowscy", i „Zygmuntowskie Czasy", i „Maleparta" mają szczegóły dobre, żywe, barwne, lecz jako całość artystyczna są mierne.

XXXII.

I inni pisarze nie zdołali dać w tej dobie kompozycyi rozleglejszej, lepszej, wspanialszej nad „Listopad". Sam Rzewuski ani w jednej ze swych późniejszych powieści nie tylko nie wzniósł się nad ten swój utwór, ale mu częściowo nawet nie dorównał. Dopóki mógł czerpać z zasobów tradycyi ustnej, tworzył postaci żywe, plastyczne; gdy się przeniósł w czasy odleglejsze, które trzeba było wystudyować na podstawie dokumentów pisanych i różnorodnych zabytków i ożywić w ten zdobyty sposób materyał fantazyą twórczą, popełniał wciąż rażące błędy. W „Zamku krakowskim (1847/8), osnutym na tragicznych dziejach Samuela Zborowskiego, było bardzo dużo motywów, mogących dać możność rozwinięcia świetnego obrazu. Pierwsza w Polsce elekcya, dokonana gromadnie, walki dyssydentów z katolikami, wielka wojna z mocarstwem północnem; takie postaci, jak Stefan Batory, Jan Zamojski, Zborowscy—jakże to ponętny temat! Ale Rzewuski zanadto mało znał wiek XVI i jego literaturę, ażeby się mógł pokusić o zobrazowanie prądów cywilizacyj-

nych, co wytworzyły świetne i różnobarwne objawy życia owoczesnego. Brak też „Zamkowi“ skupienia około jakiejś wielkiej idei, lub niepospolitego charakteru. Najlepiej odmalowanemi postaciami są podrzędne, gdyż w ich kreśleniu mógł się autor posługiwać takimi rysami, jak w malowaniu podobnych figur w „Listopadzie“; wszystkie natomiast wydatniejsze osobistości, nie wyłączając nawet Samuela Zborowskiego, są mało uwypuklone, a często nawet niewyraźnie i blade.—Dowolność w ustawianiu wypadków, w traktowaniu nawet wielkich zdarzeń dziejowych i wzajemnego stosunku osób do siebie, już wydatna w „Zamku Krakowskim", jaskrawiej jeszcze występuje w „Adamie Śmigielskim" (1851), gdzie tytułowy bohater we wprost przeciwnej został odmalowany roli, aniżeli w tej, jaką odgrywał rzeczywiście, a inne osoby w fałszywem ukazują się oświetleniu. Znakomicie tu tylko nakreślił Rzewuski dzieciństwo i młodość Śmigielskiego, oraz kilka podrzędnych postaci.—Słaba, jak poprzednie, pod względem kompozycyi, obfituje w świetne charakterystyki powieść p. t. „Rycerz Lizdejko" (1852); mianowicie postać Dorohostajskiego, dwór Bogusława Radziwiłła, i zarysy tych partyzantów, co pod przybranymi nazwiskami walczyli dzielnie i przyczynili się do oswobodzenia Polski od wrogów za czasów Jana-Kazimierza, powiodły się Rzewuskiemu znakomicie.—Najgorszym jest „Zaporożec" (1854), chociaż w nim sam wątek jest wielce interesujący. Opowiadanie ociężałe, opisowość konwencyonalną zastępują tu zupełnie akcyą, sprawiając, że rzecz z siebie ciekawa staje się nudną. Parę tylko figur świadczy o talencie plastycznym autora, lecz i te figury są już kopiami dawniejszych, wybornie co prawda wykonanemi. Wogóle można powiedzieć, że jak w życiu narodu widział Rzewuski najdokładniej i malował najtrafniej stronę domową, obyczajową, a po części rycerską, nie umiejąc wznieść się do obrazowania wielkich sto-

sunków politycznych i wogóle cywilizacyjnych; tak też w rysunku postaci, w ich charakterystyce, niższe umysłowo osobistości lepiej mu się udawały od wyższych.

W znaczniejszym jeszcze stopniu uwagę tę zastosować należy do pisarza, władającego niepospolitym talentem plastycznym, nie mającego wprawdzie tej umysłowej potęgi, jaką obdarzony był autor „Listopada", ale obdarzonego serdecznem uczuciem. Pisarzem tym, swojego czasu bardzo wysoko cenionym, jest IGNACY CHODŹKO (1794 † 1861), pochodzący z rodziny, która w wieku naszym kilka osób na niwie literackiej pracujących wydała. Z pomiędzy nich on był niewątpliwie najsławniejszym. Urodził się w Zabłoczyźnie (powiecie wilejskim), dziedzicznym majątku swego dziada po matce, Widmonta, którego tak ładnie potem opisał w „Domku mojego dziadka"; wychowywał się zaś w Dziewiętniach, przy dziadku po ojcu, wojskim oszmiańskim, pod wpływem ducha religijnego; opowiadania dziadunia o świetnym dworze Radziwiłła Panie-Kochanku w Nieświeżu wywierały silne wrażenie na wyobraźnię dziecka. W dziesiątym roku życia oddany został do szkoły w Borunach (pow. oszmiańskim), utrzymywanej przez księży bazylianów, a serdecznie potem przez jej wdzięcznego ucznia odmalowanej. Ukończywszy ją, wszedł w r. 1810 do uniwersytetu wileńskiego, kiedy rektorem był Jan Śniadecki, a wymowę i poezyę wykładał Euzebiusz Słowacki; otrzymał tu stopień kandydata sztuk i nauk wyzwolonych. Po śmierci rodziców w r. 1814 przeszedł pod opiekę stryja, Jana, znanego z książki dla ludu („Pan Jan ze Świsłoczy"), komedyjek i powiastek. Z nim odbył r. 1815 podróż do Warszawy, gdzie się z wielu literatami i wolnomularzami zapoznał. Potem pracował w kancelaryi Radziwiłłowskiej, został członkiem „Towarzystwa Szubrawców" pod imieniem Wirszajtosa, oraz członkiem lóż wolnomularskich w Wilnie

i Mińsku; przygotowywał artykuły satyryczne do „Wiadomości brukowych"; niektóre z nich, p. n. „Próby nowego dykcyonarza“ ogłosił drukiem dopiero pod koniec życia (r. 1860). Z Antonim Edwardem Odyńcem i Julianem Korsakiem, lubo młodszymi od siebie, związał się ścisłą przyjaźnią, ale ich upodobań romantycznych z początku zgoła nie podzielał. Ślad sporów, staczanych z nimi, pozostał w „Dzienniku Wileńskim“ z r. 1824, gdzie się mieści list poetyczny Chodźki do Odyńca, doradzający temuż kończenie rozpoczętego przekładu tragedyi Racine'a. Do narzeczonej Ignacego, Ludwiki Mackiewiczówny, odnosi się wiersz Mickiewicza z r. 1824: „Nieznajomej, dalekiej—nieznany daleki.“ W życiu ówczesnem obywatelskiem brał Chodźko czynny udział Z pisaniem się nie kwapił; rymów zaniechał, wziął się do prozy. W noworoczniku „Melitele“ na r. 1829, wydanym w Warszawie przez Odyńca, pomieścił pierwszą swą próbkę powieściową p. t. „Poddany.“ Odbijają się tu pojęcia i poglądy „wieku oświeconego“, dążność do zrównania stanów i filantropia; pod względem stylu widać wpływ Krasickiego. W ośm lat potem w noworoczniku „Biruta“ na r. 1837 wydrukował drugą powiastkę, tym razem żartobliwą, p. t. „Samowar." I tu niema jeszcze śladów wpływu nowej poezyi, i tu co do artyzmu nie wyszedł Chodźko po za koniec XVIII i początek XIX wieku. Dopiero po czterdziestce autor zaczął rzewnem okiem spoglądać na niedawno ubiegłą przeszłość, przypominać sobie podania zasłyszane w dzieciństwie, rozmiłowywać się w widzianych krajobrazach, dostrzegać w ludziach strony miłe, sympatyczne, grać na strunie uczuciowej. Wtedy już „wiek oświecony“ ze swą filozofią „z piekła rodem“ i ze swą krytyką wydał mu się „bezbożnym niedowiarkiem, starcem, skonałym (!) w zgryzotach i obłąkaniu, który oniemił ziemię dla Boga.“ Wtedy postaci staroszlacheckie przedstawiły mu się w świetle ideal-



Ignacy Chodźko

nem, gdyż lubo ujemnych w nich stron nie zaprzeczał, taką otaczał je serdecznością, tyle w nich dopatrywał mądrości prawdziwej, bo opartej na religii, tyle im przypisywał uczuć ofiarności i poświęcenia, że nie podobna ich było nie ukochać, kiedy się na nie przez jego pryzmat patrzyło.

Taki nastrój, takie przekonania i poglądy znajdujemy już w kilku zarysach, objętych pierwszą seryą „Obrazów litewskich", wydaną w Wilnie r. 1840; a rozwinięte szczegółowiej w dalszych seryach, których do r. 1850 ukazało się pięć. Chodźko nie był tu naśladowcą Rzewuskiego, poszedł on właściwym sobie, bardziej uczuciowym torem, lecz poglądy jego były w znacznej części zgodne z tem, co głosił autor „Pamiątek Imć Pana Seweryna Soplicy"; znalazł się więc w atmosferze literackiej zupełnie dla siebie odpowiedniej, a pisma jego harmonizowały z tem usposobieniem i z temi zasadami, jakie popierała i chwaliła koterya „Tygodnika Petersburskiego." Najwyraźniej to widać w ocenie stosunków poddańczych. Dawniej, jako wolnomularz, jako członek „Towarzystwa Szubrawców", Chodźko patrzał z goryczą na „niewolę" chłopa i wyraził to dobitnie w „Poddanym", gdzie chłop ukształcony, nauczyciel w szkołach, poznany przez dziedzica, zmuszony został do powrotu na wieś dla odrabiania pańszczyzny. Teraz, wystawianie ucisku chłopów wydawało się autorowi „Obrazków litewskich" krzyczącą niesprawiedliwością względem szlachty. Zaczął on w dziejach stosunku panów do wieśniaków odróżniać trzy okresy. Pierwszy z nich, patryarchalny, odznacza się miłością i łagodnością chrześcijańską ze strony rządzących, a przywiązaniem i ufnością ze strony rządzonych. „Urodzenie — powiada Chodźko — rozdzielało te dwie kasty głęboką przepaścią, ale tę przepaść zapełniała miłość chrześcijańska, za którą idąc, przebywali ją panowie i z ojcowskiem sercem wnosili do chat włościan swoich troskliwość, radę,

pomoc wszelką i pociechę; przechodzili ją wzajemnie i włościanie, niosąc śmiało do dworu swoje potrzeby i troski, pewni opieki i wsparcia.“ O ile z niewyraźnych napomknień wnieść można, trwał ten stan patryarchalny, według Chodźki, aż do końca XVIII wieku. Nastąpiły potem w szybkiem tempie dwa inne. Okres drugi nacechowany był obniżeniem moralności a wzrostem potrzeb materyalnych w skutek wkradającego się do domów szlacheckich zbytku. Zmuszało to „do jeszcze ściślejszego zajmowania się gospodarstwem, i ciągnienia zeń coraz większych dochodów“, co powodowało coraz większe wymagania robocizny od włościan. Rwały się wtedy dawniejsze ogniwa zabopólnej życzliwości, ale równocześnie powstała myśl, że „od stanu zamożności włościan zależał i stan dziedzica.“ Interes zastąpił serce: „skutek materyalny prawie ten-że sam, bo wzbudzający takąż samą troskliwość pana o byt jego chłopków; ale moralnie zeszliśmy daleko niżej.“ Trzeci wreszcie okres wynikł z bankructwa wielkich majątków i zajęcia ziemi przez tych, co swe kapitaliki na tych majątkach niegdyś lokowali. „Improwizowani nowi dziedzice—powiada Chodźko—napłynęli na ziemię, bez innych celów i usiłowań, jak wynagradzanie sobie przymusowo na niej lokowanych kapitałów. Usiłowania te powiększyły zapewne masę ziarna w kraju, ale też powiększyły i pracę około niego, a zatem i znoje włościanina, poglądającego na nowego pana, z którym go żadna przeszłość nie łączy, nienawistnie, a często z poniewierką, jeżeli zwłaszcza był to parweniusz, w którym ekonomski pierwiastek przebijał się w każdym kroku (a takich było bardzo wielu); i nastąpiło jakieś rozstrojenie, w którem zdawało się, że los włościan najmniej nie obchodził właścicielów.“ Tak więc nie szlachta z dziada pradziada, lecz parweniusze, wzbogaceni ekonomowie uciskali chłopów, zdaniem przemienionego w swych pojęciach Chodźki. Owszem szlachta

sama dawała inicyatywę do wyzwolenia włościan, a autor z chlubą powoływał się na sejmiki gubernialne z r. 1817, o których i Mickiewicz w przypiskach do „Pana Tadeusza" wspomina; gdy jednakże przyszło z czasem (r. 1858) zdecydować się co do losu włościan, Chodźko był za utrzymaniem pańszczyzny...

Z pięciu seryj „Obrazów litewskich" najwięcej się podobały „Brzegi Wilii" (1842), ubogie w wątek powieściowy, ale bogate w przepyszne krajobrazy i zarysy znamiennych postaci, oraz „Pamiętniki kwestarza" (1844), uważane powszechnie za najznakomitszy utwór Chodźki i liczące rzeczywiście największą liczbę wydań (dziesiąte wyszło w Wilnie r. 1894). „Pamiętniki" te nie stanowią zaokrąglonej w sobie całości; składają się z urywkowych obrazków i opowiadań, przedstawiających, z kilku przerwami, stosunki prowincyonalne (polityczne, a głównie obyczajowe) z końca XVIII i początków XIX stulecia. O psychologię autorowi nie szło, tak dalece, że fakt wewnętrzny najważniejszy tj. przyczyna rozstania się Michała Ławrynowicza, domniemanego autora pamiętników, z wojewodą, został przemilczany, a powód wstąpienia do zakonu—zbyty ogólnikiem. Tam natomiast, gdzie chodziło o nakreślenie charakterystycznych postaci (książę Radziwiłł Panie-kochanku, ksiądz gwardyan, a później ksiądz definitor; Marcin woźnica kwestarski; Świeboda wdówka pijaczka; mąż sierdzisty pod pantoflem; gwardyan symplak itp.)—lub też o opis zwyczajów, obyczajów, praktyk sejmikowych, konceptów staroszlacheckich, przygód powszednich, umysłów płytkich, Chodźko wywiązuje się ze swego zadania wybornie. Wielkie wypadki dziejowe, widziane z ciasnego kącika i obejmowane nierozległym umysłem (Napoleon w Wilnie 1812 r.) również są dobrze odtworzone. Sytuacye wzniosłe, tragiczne (śmierć Wołodkiewicza, śmierć księdza definitora) są natomiast słabo wykonane... Do lepszych

liczono także „Dworki na Antokolu", nie powieść, ale ładną i liczną galeryą doskonale nakreślonych typów i scen. Romans Ludwika Dowiata ze Staro-ścianką służy tylko za kanwę do przedstawienia już to widoków samych, jak np. długo ciągnących się dworków, jeziora Świrskiego, Szemetowszczyzny, już to wspomnień, jak np. o sali Müllerów, już to znamionujących epokę dawniejszą wypadków, takich np. jak dwaj Turcy na maskaradzie, zagajenie trybunału litewskiego, pełne uroczystości wniesienie na krześle umierającego Łopacińskiego, podróż księcia Radziwiłła Panie-kochanku, kompromisy rozsądzane przez niego itd.

Ogół przyjmował „Obrazy litewskie" życzliwie, gdyż tchnące z nich uczucia religijne i rodzinne działały na serca; poziom zaś wyobraźni autora nie różnił się od poziomu przeciętnej inteligencyi szlacheckiej, a Chodźko nie raził takimi krzyczącymi paradoksami jak Rzewuski. Ponieważ bezwarunkowo wiekszość czytelników składała się ze szlachty, a Chodźko w pismach swoich był malarzem i rzecznikiem szlachetczyzny, ogół był zatem z autorem w zupełnej zgodzie i chciwie pochłaniał jego opowiadania. Pod względem artystycznym zachodziła przepaścista niemal różnica pomiędzy „Obrazami litewskimi", a „Poddanym" lub „Samowarem". Nie szło już autorowi o zwięzłość opowieści, lecz raczej o plastyczne odtworzenie szczegółów, o opis malowniczy miejscowości, domów, sprzętów, o żywe odwzorowanie ludzi, jeżeli mieli w sobie coś znamiennego. Chodźko jest w szczegółach realistą, lubo całość owiewa tchnieniem uwielbień i rozrzewnień, a więc podmiotową idealnością. Fantazyę plastyczną okazał on tu bardzo silnie wyrobioną, jakkolwiek obejmującą tylko przedmioty najbliższego otoczenia.

Po „Obrazach" nastąpiły „Podania litewskie" w 4 seryach (od r. 1852 do 1860), sięgające w dalszą przeszłość. Drobne powiastki w nich zawarte

OBRAZY
LITEWSKIE.

PRZEZ

Ignacego Chodźkę.



SERYA TRZECIA.

Tom Piérwszy.



Wydanie Adama Zawadzkiego.



WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1843.

(„Wyklęty“, „Kamień w Olgienianach“, „Pustelnik w Proniunach“) są ładne; większe natomiast kompozycye, a mianowicie przechwalony niegdyś „Żegota z Milanowa Milanowski“ (1854) w szczegółach jeno, w charakterystyce osób średniej miary można podziwiać; lecz jako obrazy ważnych wydarzeń, jako powieści historyczne, malujące pewną epokę, muszą być poczytane za chybione. I Chodźce jak Rzewuskiemu brakowało—w większym jeszcze stopniu—wyższej, prawdziwie twórczej fantazyi, i on czuł się wtedy tylko silnym, gdy się opierał na żywej, ustnej tradycyi. Rzewuski i Chodźko stali się najlepszymi przedstawicielami „powieści tradycyjnej“, zapoczątkowanej przez Niemcewicza „Dwoma panami Siechami“ tylko w innym społecznie duchu, w duchu zachowawczym, a nawet wstecznym. Właściwości swego usposobienia i talentu trafnie sam Chodźko wskazał w swojej autobiografii, mówiąc: „Nigdym ja nie był poetą we właściwem znaczeniu, jakie dzisiaj temu przymiotowi nadano; ale imienia rymotwórcy odrzec-bym się nie mógł niegdyś; bo też dziś poznano, że to, co w owych czasach nazywało się poezyą, było po największej części rymotwórstwem tylko; rymów więc nam nigdy nie brakowało w potrzebie; nie zabrakło też natchnienia, ani treści, bośmy cudze i obce sobie przywłaszczali. Ale wiek dojrzalszy mój na dojrzalsze i w literaturze trafił zdania i poczucia; przekonałem się i ja, że źródła prawdziwej poezyi w sercu własnem szukać należy; a serce to moje napawało się natenczas uczuciami najsłodszemi człowiekowi, miłością szczęśliwego męża i ojca; napawało się rozkoszą spokojnego życia, pobudzającą mię w tkliwszych godzinach do poezyi prostej, rzewnej, bogobojnej, do wierszy, oznaczających niejako w pamiętnikach mych domowych peryody mego błogiego żywota...“ („Peryody życia“ w „Tece Wileńskiej“ 1858, Nr. 3). Co tu o wier-

szach swoich powiedział autor, z jednaką słusznością powtórzyć można o jego utworach powieściowych; tchną one uczuciem spokoju, zadowolenia, mają ustępy wesołe, to rzewne, wolne są od goryczy i zwątpienia; polotu wyższego, „ani utajonej iskry świętego ognia, któraby z duszy autora przekradła się w duszę czytelnika i z wielkim bólem dała jej wielkie pokrzepienie“—nigdzie w nich niema; Chodźko w głąb duszy ludzkiej nie zajrzał, kwestyj ważnych nie dotykał, wielkich namiętności nie malował, prądów wieku zrozumieć należycie nie mógł. Wielbicielka jego plastyki i rzewności, *Wilhelmina Kościałkowska*, nie ukrywa bynajmniej jego braków umysłowych. „Chodźko—mówi ona—którego talent jest nawskroś realny, trzeźwością poglądów artystycznych zarył się umysłem we wszystkie przesądy, we wszystkie rojenia ludzi wstecznych i ciemnych. Gdzie idzie o zasady, o przekonania, zdobywa się zaledwie na niedołężne komunały, nie wytrzymujące krytyki, staje się echem biernem, chociaż i krzykliwem tego, co słyszy na prawo, tego, co słyszy na lewo... Ta wrodzona mu trzeźwość, która tylko przed filozoficzno-społecznymi wywodami daje nurka, ostrzega go, że na drodze postępu bądźcobądź stawać niebezpiecznie, bo obali nieprzepartą siłą i zdepce. Dogodniej jest zatem obwieścić coś pośredniego. Jak raz nawinął mu się postęp chrześcijański i to go zbawia kłopotu. Za przewodnika postępu XIX stulecia wskaże krzyż, wysnuje kilka mglistych frazesów na cześć grobu i zamknie spokojnie tak wyczerpaną, czyli raczej umysł jego wyczerpującą kwestyę. Ekonomiczne wycieńczenie kraju—przy karmazynowych ferezyach, brylantowych spinkach, kosztownych furdymentach, iluminacyach w Nieświeżu, potokach miodu, zalewających rynki miasteczek, w których gromadzi się sejmikująca szlachta, stołach, uginających się pod jadłem, spienionych puharach, po których okładają wojewodom lodem dymiące się łby—

nie ściągnęło na siebie ani razu jego uwagi... Ten, co tak prześlicznie malował dwory i dworki, ani jedną czarną kreską nędzy nie zeszpecił harmonii swego dzieła. Kreska ta wprawdzie przewija się spodem, natrętna, coraz wyraźniejsza, ujawniająca się przed czytelnikiem, choć ją pominięto, i dlatego może ujawniająca się tak wyraźnie, że ją pominięto... Gdy idzie o zjawiska codzienne, należące do epoki, w której żyje, ten, tak szeroko o zaletach skromnego bytu rozprawiający pisarz, tak czuły na gangreny idące z dołu, niezbyt się gorszy, gdy pan prezydent targuje się z przyszłym zięciem o intercyzę i gotów w braku zapisu zerwać ułożone małżeństwo córki... Gromi lenistwo, zachwala pracę, ale obraca się najswobodniej w bawiącem się bez troski o jutro kole, nie może się powstrzymać od apoteozy kielicha... Więcej jeszcze niż to filozoficzne niedołęstwo, niż ten zamęt w społecznych i etycznych zasadach i wyobrażeniach, razi czytelnika obojętność pisarza na rzeczy obchodzące ogół, na kwestye palące, dotkliwe..." [1]) — Najnowsze zbiorowe wydanie „Pism" Chodźki wyszło w Wilnie w 11 tomach od r. 1875 do 1877.

Pokrewieństwem poglądów religijnych i społecznych łączy się z Chodźką umysł bystrzejszy, lepiej ukształcony, lecz talent mniejszy *Kazimierza Bujnickiego* (1788 † 1878), przedstawiciela Inflant polskich w ówczesnej publicystyce i powieści. Wychowany najprzód w domu pod okiem wielce światłego ojca, potem w Krasławiu, pod wpływem jezuitów, łatwo się poddał prądowi reakcyjnemu, jaki wśród możnych rodzin zarówno na Wołyniu, jak w Inflantach i na Białej Rusi w dobie dojrzewania jego umysłu uwydatnił się w początkach XIX stule-

---

1) W. Kościałkowska: „Ignacy Chodźko" w „Ateneum" 1884, t. I i II.

cia... Pod względem upodobań literackich podzielał oczywiście panujący jeszcze smak pseudo klasyczny, pisywał szumne ody, źle zresztą przez krytykę przyjmowane. Od r. 1811 po stracie rodziców aż do 1838 spełniał obowiązki, związane wtedy ze stanowiskiem obywatela wiejskiego, i to z zadowoleniem spółpowietników. Ruch piśmienniczy, ożywiony w różnych prowincyach i wywołujący ich spółubieganie się, zainteresował i takich, co przedtem tylko po francusku mówili i czytali. Bujnicki złożył w końcu hołd nowoczesnemu kierunkowi, podobnie jak Chodźko, chociaż dawnych klasycznych przyzwyczajeń, a mianowicie stylu trochę sztywnego i niezbyt obrazowego, oraz wspomnień mitologicznych w poezyi się nie pozbył. Miał już lat 42, kiedy romantyzm odniósł stanowcze zwycięstwo; trudno mu więc było zreformować pojęcia, a zwłaszcza przywyknienia, do gruntu. Jako poeta, nie posiadał ani obfitej, ani ruchliwej wyobraźni; chwytał najłatwiej, jak inni, powierzchowne rysy osób i przedmiotów, nie odczuwał głęboko piękności natury. Skłonnym był do ironii i szyderstwa; to też obrazki z życia powszedniego, gdzie ani silnych namiętności, ani wzniosłych natchnień, ani wielkich myśli niema, najlepiej mu się udawały. Z tego powodu gawęda jowialna: „Moje przygody" (1841, Wilno) wyższa jest od „Siostry Gertrudy" (1842), a tem bardziej od „Stanowiska poety" (1848).—Podobnież i powieściowe jego utwory: „Wędrówki po małych drogach" (1841, dwa tomy), „Pamiętniki księdza Jordana" (1849—52, dwa tomy), „Nowa wędrówka po małych drogach" (1852, dwa tomy), „Stara Panna" (1854), „Biurko" (1862, dwa tomy) są, jako całostki artystyczne, bardzo słabe, w ustępach wznioślejszego polotu—dalekie od doskonałości, ale w szczegółach życia potocznego nieraz wyborne; łagodną satyrą i dowcipem salonowym Bujnicki umiał władać naprawdę; psychologia jego nie jest głęboka, ale zazwyczaj trafna. Był on

w gruncie rzeczy nie artystą, lecz publicystą; forma piękna i skończona nie tyle go obchodziła, ile rozpowszechnianie umiłowanych przez siebie przekonań, szczepienie ich w umysłach. Założenie pisma zbiorowego „Rubon“ (jest to starożytna nazwa Dźwiny zachodniej) uczyniła zadość temu pragnieniu. Wydawał je od r. 1842 do 1849, drukując w Wilnie, pobudził lub zachęcił do wytrwałości w zawodzie literackim kilku obywateli ze swojej prowincyi i rozszerzył w niej chęć do czytania. Dziesięć tomów tego wydawnictwa daje nam pewne pojęcie o ówczesnym stanie umysłowym Inflant i Białorusi i zawsze posiadać będzie wartość historyczną. Zwykłymi współpracownikami „Rubona“ byli, prócz samego redaktora, następni pisarze, dziś zapomniani zupełnie: *Michał hr. Borch*, *Adam i Józef hr. Platerowie*, trzej bracia *Grzymałowscy*, *Aleksy Horodzieński*, *Ignacy Chrapowicki*, *Wojciech Potocki*, *Józef Wyżycki*, oraz znany już nam poeta i publicysta, *Aleksander Groza*. Jeżeli mówię z uznaniem o tej stronie działalności Bujnickiego, to mam na uwadze tylko wpływ na rozpowszechnienie czytelnictwa i na powołanie do pracy sił, któreby bez tej pobudki wcale może do literatury się nie wzięły.

Co do dążności, to „Rubon“, jak się wyraził *Feliks Zieliński*, tak się miał do „Athenaeum“ Kraszewskiego, jak akademia połocka do uniwersytetu wileńskiego. Bujnicki nie darmo się urodził, wykształcił i żył na granicy tej prowincyi, w której się jezuici najdłużej, bo do roku 1820 utrzymali. Nienawidził on spółczesnego sobie ruchu demokratycznego i filozoficznego, poczytując go za sympton zepsucia i upadku moralności, a wstręt do tak zwanego przez siebie „postępu materyalnego“ tak daleko posuwał, że nawet angielskiego komfortu nie znosił... Był wielbicielem nawet czasów saskich, zwłaszcza gdy ją z nowożytną epoką porównywał; a zakon Synów Lojoli przedstawiał mu się jako szczyt do-

skonałości chrześcijańskiej i w „Pamiętnikach księdza Jordana“, malujących Inflanty w wieku XVII-ym, starał mu się najświetniejszy panegiryk napisać, uprzątając dość zręcznie, bo jakby nieumyślnie, wszystkie zarzuty, jakie od dawna jezuitom robiono tak, że nie pominął nawet rzeczypospolitej paragwajskiej, którą podawał za wzór urządzeń polityczno-społecznych. To też nie dziw, że Eugeniusz Sue, twórca postaci ojca Rodin'a, był dla niego „najniebezpieczniejszym ze wszystkich dzisiejszych francuskich sofistów, nie głębokością, ani uczonością, ale osobliwszą sztuką bawienia.“ Ludzkość poczytywał Bujnicki za wiecznie niedojrzałe pacholę, któremu zawsze potrzebny będzie pasek duchowny, ażeby nie upadło i nie zbłąkało się... Te jego przekonania, daleko więcej niewątpliwie niż średni talent, wyjednały mu dyplom znakomitego powieściopisarza u ówczesnego rozdawcy godności literackiej, *Michała Grabowskiego*, który sam coraz lichsze pisał powieści historyczne („Stannica hulajpolska“, „Tajkury“ itd.). Te przekonania połączyły go związkiem przyjaźni z przedstawicielami zachowawczości a nawet wstecznictwa; pisywał do „Pielgrzyma“ i „Tygodnika Petersburskiego.“

Z czasem pojęcia jego nieco się zmodyfikowały; nie tak już fanatycznie, jak dawniej, wojował, chłódł w swem uwielbieniu dla arystokracyi, a obraz Marnowieckiego i jego żony wraz z l'abbé Gémicourt i M-elle Regard, nakreślony w „Biurku“, wykazuje bardzo dosadnie ujemne jej strony... Ostatnią jego pracą było ogłoszenie w roku zgonu (1878), dawniej już przezeń dokonanego przekładu „Psałterza.“ Przekład ten wogólności jest bardzo słaby i dowodzi jedynie prawdy słów, wypowiedzianych niegdyś przez tłomacza w „Moich przygodach“: „Ach! kto się raz zachłyśnie wodą Hipokreny, Wiek rymy krztusić będzie; nic go nie uleczy!..“

Przez koteryę Tygodnikową popierany był ró-

wnież z powodu wygłaszanych poglądów religijnych i wstrętu do filozofii niemieckiej, *Placyd Jankowski* (1810 † 1872), poczytywany w swoim czasie za największego „humorystę." W gruncie rzeczy był to tylko gawędziarz i dowcipniś, piszący lekko, polotnie, choć niezawsze poprawnie. W swojej „Autopopobiografii" ładnie i ujmująco opisał swe dzieciństwo. „Wśród wioski biednej, jak wszystkie wsi litewskie, stoi jeszcze dotąd (r. 1840) domek, w którym żyli moi rodzice. Odróżnicie go od innych wiejskich po murowanym kominie, ogródku owocowym i bramie wjezdnej, która również rzadko, jak drzwi kościoła Janusowego, bywała zamykana. Była to moja ulubiona huśtawka. Nie strzegły jej nigdy psy, nauczone do rzucania się na obcych ludzi, gdyż mój ojciec zwykł był mawiać, że jest sługą wieśniaków, a zatem mieszkanie jego we dnie i w nocy powinno stać dla nich otworem." Wioska ta leżała w gubernii grodzieńskiej, ojcem był ksiądz unicki, „siwy, lecz pełen zdrowia starzec", posiadający „tę równość duszy, tę przyrodzoną słodycz charakteru, która umila wszystko, z czem tylko graniczy, również uprzejmy dla ludzi wyższego stanu, jak i dla biednych wieśniaków; czcił on władze, urzędy, lecz nie mniej szanował imię człowieka." W dwu izdebkach mieściło się całe rodzeństwo. Pierwsze wiadomości z historyi biblijnej, jeografii i historyi otrzymał Placyd od ojca, w sposób praktyczny, przeglądając ryciny, lub bawiąc się na podłodze, wysypanej piaskiem, na której robił rzeki palcem, a góry—z większych kupek piasku. W 11 ym roku życia utracił chorowitą matkę, a niebawem potem oddany został do szkół. Po ukończeniu uniwersytetu i seminaryum głównego w Wilnie, ożenił się i został, jak zmarły już wtedy ojciec, kapłanem unickim, otrzymawszy stopnie duchowne w Połocku. Ścierające się jeszcze prądy literackie—klasycyzm i romantyzm—nie pociągnęły go w żadnym skraj-

nym kierunku. Skłonność do wesołości i rozrzewnienia zarazem pchnęła go do uprawiania niwy „humoru“, który bezpośrednio przed Jankowskim był u nas głównie reprezentowany przez Fryderyka Skarbka. Pierwszy zbiorek pomysłów swoich ogłosił r. 1835 pod pseudonimem *Witalisa Komujedzie*, a pod napisem: „Chaos, szczypta kadzidła cieniom wierszokletów” (Wilno; drugie, zmienione i znacznie powiększone wydanie, 1842; tu się uskarża autor, że wydawca pierwszego, A. Dworzec, przeinaczył kilka artykułów i dodał kilka innych „własnego wyrobu jedynie dla powiększenia objętości książki”). Były tam luźne uwagi, anegdoty, dowcipki i koncepta, czasami dla nauki czytelnika, czasami dla ubawienia go, niekiedy dlatego, żeby coś napisać... ale wśród owoczesnej posuchy literackiej przyjęto tę zbieraninę dosyć dobrze i uznano w Jankowskim humorystę. W r. 1839 autor „Chaosu”, porzuciwszy unię, został protojerejem przy katedrze żyrowickiej (w pow. słonimskim), oraz wiceprezesem litewskiego konsystorza prawosławnego w Żyrowicach, a później w Wilnie. Na działalność literacką zmiana ta nie wpłynęła bynajmniej. Gdy w r. 1840 Jankowski ogłosił zamiar ogłoszenia wielkiej księgi ilustrowanej o Litwie i Litwinach zbiorowemi siłami, przyjęto projekt serdecznie, obiecano spółpracownictwo, a nawet rozebrano pomiędzy siebie poszczególne działy. Projekt nie został wprawdzie urzeczywistniony, ale Jankowski zaczął wydawać inne swoje utwory oryginalne i tłomaczone, w wielkiej obfitości. Przybrawszy pseudonim angielski z odwróconego imienia (*Dycalp)* i przetłomaczonego nazwiska *(John)*, wystąpił teraz jako *John of Dycalp*, chociaż humoru w znaczeniu angielskiem niewiele posiadał, sceny bowiem satyryczne i rzewne nie łączą się zazwyczaj ze sobą w jedną całość, nie wypływają z jednolitego nastroju, lecz są zestawione obok siebie mechanicznie. Dowcipu miał sporo, lecz nieraz posługiwał się nim

d 26 Stycznia 1

Kochany Józefie!

(w

Moja żona prosi cię ju

między innemi rzeczami

wyborne flaki, które

któremi nie pogardził, n

jak dla tej przyjemna

wtorku, konsumując je

godziny 2½ - a w ostat

Życzliwy

J.K

List do Józe

(Ze zb. Zygmun

w sposób naciągany. Opowiadał łatwo, ale ani barwnością, ani oryginalnością wyraźną się nie odznaczał. Najlepszemi z pism jego są: „Zaścianek" (1841), „Pisma przedślubne i przedsplinowe" (t. r. dwa tomiki), „Pamiętnik Elfa" (1843), „Doktór Panteusz w przemianach" (1845), rzecz wymierzona przeciw filozofii niemieckiej; filozof, spadłszy z innej planety na ziemię, odbywa tu „kurs pokory", przemieniając się kolejno w trawę, świetlika, skowronka, konia itd., a nakoniec w człowieka, który w skutek doznanych przygód uczy się „cierpieć, czuć i kochać."—Po r. 1847 zamilkł Jankowski na lat kilka, a gdy się znowu odezwał, najmniejszej już nie zwrócił na siebie uwagi; a ostatnie lat 16 przeżył w całkowitem zapomnieniu.

XXXIII.

Nie należąc do żadnego stronnictwa, nie wdając się w spory i polemiki, uprawiał niwę dramatyczną w dalszym ciągu główny jej w kraju pracownik, JÓZEF KORZENIOWSKI. Gdy otwarto uniwersytet w Kijowie, zajął on tu najprzód katedrę wymowy i poezyi polskiej, a po rychłem jej zniesieniu, wykładał filologię klasyczną. Na wiosnę roku 1838 przyjechał do Charkowa na dyrektora gimnazyum. Pobyt jego w tem mieście oddziaływał korzystnie na młodszych szczególnie członków polskiej ludności, tu zamieszkałej, gdyż pomimo licznych i kłopotliwych zajęć Korzeniowski prowadził dom otwarty i raz na tydzień przyjmował u siebie gości, pomiędzy którymi było paru profesorów uniwersytetu charkowskiego, jako to filolog *Alfons Walicki*, prawnik *Aleksander Mickiewicz* (brat Adama), kilku miejscowych urzędników wraz z rodzinami, oraz studenci Polacy. Młodzież uniwersytecka znajdowała tu

zasiłek duchowy rodzimy. Pobyt w Charkowie przeciągnął się, pomimo starań Korzeniowskiego, do roku 1846, kiedy wreszcie przeniesiony został do Warszawy, gdzie jako dyrektor gimnazyum, później wizytator szkół, w końcu dyrektor wychowania publicznego, resztę życia przepędził.

I w tym drugim okresie działalności swojej nie osiągnął jeszcze Korzeniowski powszechnego uznania, a krytyki wydawanych przezeń dramatów były niekiedy tak surowe, że aż mu rozpaczliwe myśli nasuwały, choć wskutek swego umiarkowanego usposobienia nie tak łatwo im się poddawał. Jego religijność, lubo nie formułkowa, lecz wcale nie lekceważąca form, oddalała go od postępowców, czczących i wielbiących chrześcijaństwo, ale wykładane nieraz symbolicznie i allegorycznie, a w każdym razie indywidualnie; równocześnie nie zbliżała go do grupy „Tygodnikowej", gdyż miała w sobie dużo wyrozumiałości i tolerancyi. Ten właśnie umiarkowany liberalizm jego, zastosowany do oceny wartości różnych warstw społecznych, odpychał go od zachowawców, którzy w arystokracyi jedynie widzieli filary narodowości i dobrego porządku; nie mógł atoli zjednoczyć z demokratami, którzy klasy uprzywilejowane w czambuł zazwyczaj potępiali, gdy tymczasem Korzeniowski, chociaż ostro wytykał błędy i nikczemności t. zw. „wyższego" towarzystwa, nie myślał upatrywać jedynego zbawienia w ludzie, a sam osobiście chętniej lubił przebywać w gronie salonowem, co postępowcy wielce mu za złe mieli. Różnił go także od postępców pogląd na miłość i emancypacyę kobiet. Korzeniowski, chociaż wysoko stawiał uczucie miłości, nie był jednak romantycznym jego bałwochwalcą, nie przypuszczał, jak Żmichowska np., iżby ono mogło być jedynym drogoskazem życia, jedynem prawem, któremu ludzie bezwarunkowo zawsze posłuszni być winni; nie sądził też, żeby nie podobna było uczucia tego pokonać w sobie, gdy

SPEKULANT.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Józefa Korzeniowskiego.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

Wilno.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.



1846.

Podobizna pierwszego wydania.

względy wyższe, np. obowiązek, tego wymagają; nie godził się również na doktrynę, że pierwsze uczucie, jako instynktem wskazane, jest zarazem najprawdziwsze, najgłębsze tak, iż złamanie go pociąga za sobą zwichnienie życia całego. Przytem potępiał nasz autor (tak samo, jak Sztyrmar) poświęcanie się kobiet spekulacyom filozoficznym, jako wysuszającym uczucie, niepochlebnie się wyrażał o emancypantkach, a chociaż nie bronił niewiastom autorstwa, wykazywał przecież dobitnie, na jakie przykrości narażało je ono wśród naszego społeczeństwa.

Tym sposobem Korzeniowski, żadnego ze stronnictw nie zadawalając w zupełności, poszczególnymi tylko utworami zyskiwał oklask, lecz stanowiska przewodniczącego wśród rzeszy piszącej i teraz jeszcze nie osiągnął.

Z początku pisywał wyłącznie dramata. Do dawniejszych wzorów, na których się kształcił, a które uwielbiał i teraz, przybywały z rokiem każdym dramata Wiktora Hugo, Dumasa-ojca i wielu innych. Budziły one w jego umyśle dążność do rozwinięcia żywszej akcyi, oryginalnej lub przynajmniej świeższej intrygi, niespodziewanych efektów i rączego, dowcipnego dyalogu. Temperament naszego autora nie pozwalał mu przyswoić sobie namiętnego sposobu malowania uczuć; lecz w udoskonaleniu techniki dramatycznej niewątpliwie szukał wskazówek u autorów francuskich, a w pomysłach spotykał się z nimi często. Dramatów Juliusza Słowackiego, o ile je znał, nie cenił bardzo wysoko, umieszczając je na tym samym co własne poziomie.

Stosunki rodzinne, towarzyskie i społeczne ze sfer wykształconych stanowiły zwykły temat dramatów Korzeniowskiego; głębszych zagadnień psychologicznych nie poruszał wcale, a wielkie wypadki dziejowe mimochodem jeno. Z kilkunastu jego dramatów jeden tylko dotykał częściowo historyi polskiej („Andrzej Batory"); inne osnute bywały na tle cy-

wilizacyi obcej („Umarli i żywi", „Izabella d'Ayamonte", „Sąd przysięgłych", „Gentile Bellini") lub na tle obyczajów, w których drobne jeno szczegóły zabarwiał kolorytem narodowym („Dziewczyna i Dama", „Kasztelanowa", „Okno na pierwszem piętrze", „Autorka", „Cyganie" i inne). Jeden tylko dotykał warstwy ludowej i ten, zarówno ze względów społecznych, jak i artystycznych musi być uznany na jego arcydzieło. Są to „Karpaccy górale" (druk. 1843). Kollizya dramatyczna jest w nich oparta na prawdzie; uczuciom i namiętnościom dano tu rozwinąć się swobodnie, bez lękliwych zastrzeżeń. Rzecz się dzieje w Galicyi Wschodniej, w miejscowości rzeczywistej, w ogromnej wsi, Żabie zwanej. Autor wystudyował miejscowość, osobiście ją zwiedzając i poznając obyczaje Huculów. Mandataryusz, urzędnik mający niby bronić sprawy włościan wobec dziedzica, nakreślony zapewne z natury, choć z pewnemi reminiscencyami kaznodziei obozowego w „Wallensteinie" i sędziów w „Zbójcach" Schillera, butny i groźny wobec potulnych i słabych, obrzydliwy tchórz wobec siły, zmieniający swą postać jak figurka gumelastyczna, podbudzony przez strzelca rządowego Prokopa, żywiącego nienawiść do młodego górala, Antosia Rewizorczuka, staje się głównym sprawcą całego szeregu nieszczęść wśród gromadni wieśniaczej, powierzonej jego pieczy. Oderwawszy od matki i kochanki, oddawszy Antosia w rekruty wbrew przepisowi prawa, przeciw któremu łatwo znalazł kruczek, podrażniwszy tym sposobem w duszy Hucuła, miłującego swobodę, stronę najdotkliwszą, wywołuje nieuniknione następstwa namiętności. Antoś staje się dezerterem, mści się krwawo na Prokopie i chroni się w góry, by pędzić życie wolne jako opryszek, w ostatecznej jedynie konieczności zabijający ludzi. Nawet gdy mu wpadł w ręce mandataryusz, to po ochłonięciu z pierwszego gniewu, widząc przed sobą drżącego nikczemnika, wypuszcza

go na wolność. Dobrodziejstwo to zwiększa tylko w duszy spodlonej chęć zgnębienia Antosia. Naprowadziwszy żandarmów na obóz opryszków, dokonywa zamiaru, choć doznaje znowu upokorzenia i to ze strony tych organów władzy, które wezwał na pomoc. Antoś schwytany, szlachetnem zachowaniem się budzi spółczucie w komisarzu rządowym, który pragnąłby go ocalić, gdyby mógł tylko. Prowadzony koło swej chaty, widzi zmarłą matkę i dowiaduje się, że obłąkana jego kochanka znalazła już spokój na dnie Czeremoszu, pchnięta litościwą reką jego przyjaciela Maksyma. „Wszyscy moi już w miejscu bezpiecznem—powiada Antoś—czas i mnie... w drogę!"—Charaktery są dobrze utrzymane, choć język ludowy został uidealizowany; rozwój zdarzeń jest prostym i naturalnym wynikiem swobodnie działających namiętności; żadnego tu naciągania, żadnego nieprawdopodobieństwa; na tem polega psychologiczna wartość utworu. Pod względem artystycznym doskonałym nie jest; wolelibyśmy bardziej skupioną budowę niż częste przenoszenie nas z miejsca na miejsce; wolelibyśmy w słowach Antosia więcej uczucia niż refleksyi, a w słowach obłąkanej Praksedy mniej przypomnień z Ofelii, a raczej mniej literackich upiększeń. Ale ogółem wady są zanadto drobne w porównaniu z zaletami, ażeby mogły wielce zaciążyć w sądzie o wartości dramatu... Doszedłszy w „Karpackich góralach" kulminacyjnego punktu w wytworzeniu dobrej *całości* dramatycznej, Korzeniowski w dalszych utworach nie mógł już osiągnąć zharmonizowania wzmożonych sił charakterystyki, działania i dykcyi w jakąś całość jednolitą, lecz uwydatniał tylko *oddzielnie* różne strony tychże i wytwarzał *cząstkowe* piękności.

I z komedyami jego stało się toż samo. Zaczął je pisywać w dobie zupełnej dojrzałości męskiej. Z początku, podobnie jak w dramatach, wybierał charaktery i sytuacye ze świata obcego („Zakład")

albo też konwencyonalnego, który we wszystkich krajach mniej więcej jest jednakowy („Zaręczyny aktorki", „Mąż i artysta"); ale daleko wcześniej niż w dramatach zwrócił się na grunt swojski, malując osoby i zwyczaje prowincyj, które poznał najlepiej (Wołyń, Podole, Ukrainę); i raz wszedłszy na tę drogę, już jej nigdy nie opuszczał. Pisząc spółcześnie ze *Stanisławem Bogusławskim* (1805 † 1870), który po staremu, w najlepszych nawet swych komedyach: „Stara romantyczka", „Lwy i lwice" starał się tworzyć *typy*—Korzeniowski, za przykładem francuskich komedyopisarzy, zaczął tworzyć *charaktery* i dokonał tym sposobem ważnej zmiany w tej gałęzi literatury. Nie posiadał on nieprzebranej kopalni wesołości, jaką rozporządzał Fredro; a nie doznając gwałtownych wzruszeń, nie mógł ich udzielić i stworzonym przez siebie postaciom; ale w ciągu życia zebrał wielki zapas trafnych spostrzeżeń i umiał się niemi bardzo umiejętnie, z wielkim nieraz dowcipem posługiwać; wymagania sceny znał dobrze; natomiast z umotywowaniem szczegółów, z układem sytuacyj, z kompozycyą oraz z dyalogiem komicznym musiał dopiero odbywać próby, ażeby w nowej dla siebie dziedzinie twórczej umieć się znaleźć. Początkowe jego komedye, na tle swojskiem osnute, są raczej dyalogami lub szeregiem obrazów niż utworami dramatycznemi, mają bardzo wyraźny cel dydaktyczny; rozmowy w nich są zbyt często drewniane, bez polotu ni werwy („Doktór medycyny", „Stacya pocztowa w Hulczy", „Fabrykant", „Stary mąż"). Na końcu tego szeregu stają „Żydzi" (1843). Swoją wyższość nad innemi zawdzięcza ta komedya śmiałości krytyki społecznej, dosadności charakterystyki osób głównych i podrzędnych, oraz żywości a barwności rozmów, lecz bynajmniej nie kompozycyi. Szachrajów z wielkopańskiego świata nazwał komedyopisarz żydami, a żyda Arona Lewe, nie fałszując jego charakteru, jako wzór dla nich postawił. Hra-

bia, główny przedstawiciel owego szachrajstwa, obdłużający majątek swój, swojej żony, niszczący dobra swojej wychowanicy, księżniczki Zofii, twardy względem poddanych, korzystający nikczemnie z nieszczęścia swego dzierżawcy, nie jest oczywiście postacią komiczną; ale jest charakterem w znaczeniu satyrycznem, doskonale odmalowanym Dodatnie postaci, prócz Arona, są znacznie słabiej nakreślone. Pierwiastek komiczny reprezentują: Hrabina, mówiąca z francuska i poprawiana przez Zofię, a zwłaszcza siostra Hrabiego, Szenionowa, stara elegantka i kokietka, wybornie wystudyowana; atoli komizm jej polega więcej na słowach niż na sytuacyach, które są dla niej przykre i upokarzające. W całym utworze, złożonym raczej z luźnych scen niż z części spójnie przylegających, panuje nastrój seryo, a chociaż dowcipu tu niewiele, nie brak przecież wyrażeń trafnych i znamiennych, uwag rozumnych i trzeźwych. Myśl, żeby uboga szlachta nie pięła się na wysokie progi pańskie, nie sięgała po rękę księżniczek, za całkiem zdrową przestrogę uznać wypada, choćby motywa przez Staroświęckiego (dzierżawcę) przytoczone o czci dla krwi poczytywało się za zabytek przebrzmiałej dworszczyzny, w której się poczucie godności ludzkiej zacierało.

Najdoskonalszą jako całość przedstawia się komedya, wystawiona po raz pierwszy na scenie warszawskiej r. 1844, p. t. „Panna mężatka", zajmująca w swoim rodzaju toż stanowisko co „Karpaccy Górale" wśród dramatów. Ani przedtem, ani potem nie stworzył Korzeniowski lepszej całości komicznej, lubo w kreśleniu charakterów i sytuacyj poszczególnych nieraz świetniejszym zabłysnął talentem.Ześrodkowanie wszystkich czynników komizmu i charakterów, sytuacyj, dyalogu w organiczną, z zupełnem prawdopodobieństwem i z niepospolitem życiem rozwijającą się akcyę nadaje temu utworowi tak wyso-

kie artystyczne znaczenie. Cecylia należy do najsympatyczniejszych, a wprost z życia pochwyconych charakterów niewieścich, w których uczciwość, rozum, dowcip, takt nie wyłącza ani głębszego uczucia, ani trzymanej w mierze zalotności, nadającej życiu towarzyskiemu ruch i powab. Jej ukochany Adolf, przezwany przez poczciwego Majora Fabiuszem Kunktatorem z powodu zwlekania z ożenieniem się, jest człowiekiem, w którym rozwaga przytłumia chwilowo popędy uczuciowe, każe mu się trzymać na ostrożności wobec zalet i wdzięków niewieścich, pobudza go do krytycznego zapatrywania się na panny do wzięcia, ostudza zapał i tamuje pochopność do stanowczego kroku; ale w którym uczucie bynajmniej jeszcze nie zastygło i potrzebuje tylko bodźca, by wybuchnąć płomieniem—co prawda dość bladym. Takim bodźcem jest właśnie podstęp Cecylii, podającej sie za mężatkę i stającej przed Kunktatorem jako owoc zakazany, Z tego podstępu wysnuwa się z wielką prawdą i konsekwencyą cały szereg sytuacyj komicznych, którym przychodzi w pomoc dowcip słowa. Podstęp ten wszakże musi być ukaranym. Adolf udaje wyleczonego z miłości do Cecylii, zwierza się jej z nowym swym afektem i dręczy ją szczegółami o swym niedalekim ślubie—a te udręczenia są dla widza nowem źródłem wrażeń wesołych. Poboczne figury: Major i Pułkownikowa wybornie kompletują to kółko, które sprawia nam tak wysoką przyjemność. Żaden fałszywy ton, żadna niepotrzebna lub niewczesna scena nie bróżdżą w tej dobrze pomyślanej i ładnie wykonanej sztuce. Gdy ją pierwszy raz wystawiano, szkodziła jej troszkę ta okoliczność, że przed nią dawano w teatrze warszawskim komedyę tłomaczoną z francuskiego: „Panna pełnoletnia“, gdzie pomysł główny był podobny; ale dziś gdy sztuka francuska poszła w zupełne zapomnienie, „Panna mężatka“ budzi żywsze jeszcze niż dawniej zajęcie. Nie podzielimy wprawdzie zdania, wypo-

PANNA MĘŻATKA.

KOMEDYA WE TRZECH AKTACH.

PRZEZ

Józefa Korzeniowskiego.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.



1845.

Podobizna pierwszego wydania.

(Ze zb. Bibl. Ordynacyi hr. Krasińskich)

wiedzianego wówczas przez jednego z krytyków, *Karola Wittego* († 1878), że była ona „jedyną i pierwszą na scenie polskiej dotąd przedstawioną komedyą", bo okazalibyśmy się niesprawiedliwymi względem „Zemsty" i „Ślubów panieńskich"; ale możemy twierdzić bez obawy zaprzeczenia, iż była to pierwsza prawdziwie dobra komedya polska, w nowym kierunku – malowania charakterów indywidualnych—napisana, pełna świeżości, dowcipu w przedstawieniu stosunków towarzyskich i uczuć...

We wszystkich późniejszych komedyach Korzeniowskiego, ta lub owa strona bywa niekiedy lepszą niż w „Pannie Mężatce", ale całości lepszej nie znajdziemy; w każdej jest jakaś wada, nie pozwalająca zaliczyć tych utworów do równych arcydziełu komicznemu naszego autora. Niektóre miały i mają powodzenie w teatrze pomimo swych wad, jak: „Majster i czeladnik", „Okrężne", „Pierwej mama" i „Qui pro quo". Inne zyskiwały sobie uznanie krytyki w chwili pierwszych przedstawień, jak: „Młoda wdowa", „Wąsy i peruka", „Reputacya w miasteczku" i inne.

W okresie tym zaczął także pisać Korzeniowski najprzód powiastki, potem powieści; czasopisma drukowały je chętnie, księgarze wydawali w osobnych tomach; ale krytyka obchodziła się z niemi bardzo surowo; nie brakło nawet drwin i to ze strony takiego, jak Kraszewski, pisarza. O tych początkach powieściopisarskiego zawodu dramatyka powiem łącznie z dalszym świetnym jego rozwojem, kiedy w następnym okresie stał się on jednym z naczelnych autorów, nadających ton piśmiennictwu.

Przebiegliśmy dwudziestoletni okres rozwoju literatury naszej zarówno za granicą jak w kraju i wszędzie dostrzedz mogliśmy, że pod jego koniec wielcy i mniejsi poeci, filozofowie, publicyści umie-

rają albo milkną, że zacięta walka dwu stronnictw, arystokratycznego i demokratycznego, wolnomyślnego i opartego na powadze tradycyi, znużyła umysły, a rewolucya r. 1848 we wszystkich główniejszych stolicach stałego lądu europejskiego, złudziwszy chwilowo nadzieją polepszenia i odrodzenia stosunków społeczno-politycznych, przemienia się w swoich dążnościach na chęć utrzymania w karbach żywiołów śmielszych, przezywanych anarchicznymi. Pozostawił ten okres obok dobrych powieści, dramatów i komedyj, wielkie dzieła natchnienia, rozległe pomysły filozoficzne i społeczne; nie przepadły one marnie dla przyszłości, ale jako albo zbyt wysokie dla pojęcia ogółu, albo zbyt niepraktyczne, musiały na czas jakiś ustąpić miejsca obniżonym, lecz czyniącym zadość potrzebie mas inteligentnych, powszedniejszym ideałom. Wchodzimy w okres reakcyjny.

KONIEC TOMU PIĄTEGO.



